

Vera Henriksen

Córka wikingów

Znak

Przełożyła z norweskiego

Beata Hłasko

Wydawnictwo „Książnica”

Rok nieurodzaju nawiedził trondheimski okręg.

Dzień po dniu ciężkie, ołowiane chmury snuły się nad wzgórzami, dzień po dniu mżył drobny deszcz. Zimna wilgoć pełzająca po stokach wślizgiwała się do izb, do skrzyń w lamusach, wciskała się wszędzie, aż w końcu nie tylko odzież, ale i skóra przesiąkła mdłym zapachem pleśni.

W porze sianokosów było kilka pogodnych dni, toteż prawie wszystko siano zdążono zwieźć. Natomiast zboże gniło na pniu, a jeśli nawet dojrzało, nie sposób było je wysuszyć.

Po gminach nie było niedostatku, bo dawnym obyczajem kmiecie starali się przechowywać zapas zboża wystarczający na trzy lata klęski. Ale smutne szare dni wywierały wpływ na ludzi, kładły ciężar na sercu.

Od pięciu lat panował w Norwegii Olaf Haraldsson, wkrótce też okazał się nie mniej gorliwym krzewicielem chrześcijaństwa niż jego poprzednik Olaf Tryggvasson.

Jeździł po całym kraju wzdłuż i wszerz; kazał naprawiać kościoły wzniesione przez Tryggvassona, budował nowe tam, gdzie ich nie było, i wszędzie osadzał księży. Gwałtem a przemocą szerzył nową naukę. Nawet Islandia i wyspy Morza Zachodniego poznały ucisk wywołany jego zapałem dla chrześcijaństwa.

Tego lata płynął na północ wzdłuż brzegów Haaloga-landu i kolejno zmuszał gminy do przyjęcia chrztu. Opor-

nym odbierał dwory i ziemię, kazał ich okaleczać lub mordować.

Ciężkie to były czasy dla przeciwników króla; wielu straciło życie lub majątność. W Opplandzie pojmał od razu czterech konungów z rodu Pięknowołosego; z początku byli jego poplecznikami, jednakże ostatecznie do uszu królewskich doszło, iż knują spiski przeciwko niemu. Jednemu z nich, imieniem Rorek, kazał wyłupić oczy, a potem obwoził go po kraju; niech ludzie zobaczą, jaki los spotyka tego, kto się sprzeciwia Olafowi Haraldssonowi.

Natomiast ci, którzy ugięli się przed Olafem, zażywali lat spokoju.

Nawet z królem Szwecji zawarł ugodę, chociaż Olaf Skottkonung był oburzony wygnaniem z kraju swego dziewierza, jarla Svena. Nie ułagodziło go także, gdy Olaf Haraldsson bez zgody ojca pojął za małżonkę córkę jego Astridę. Cudem wprost nie doszło wówczas do wojny między nimi; ludzie przypisywali to wyjątkowemu szczęściu króla, podobnie mówiono, kiedy jarl Sven wkrótce po opuszczeniu kraju zmarł śmiercią naturalną.

Mówiono także, że może Chrystus nie jest złym panem, skoro zapewnia aż tyle szczęścia królowi.

W pierwszym roku swego panowania król nie zapuszczał się do Inntrondheimu. Ale kiedy po gminach wokół fiordu rozeszła się wieść o śmierci jarla, wielu mieszkańców tego okręgu pojechało do Nidaros ofiarować swe usługi królowi. Inni wyprawili posłów z przysięgą na wierność.

Następnej jesieni Olaf przybył do Maerinu. Zwołał ludzi na wiec i został obrany królem we wszystkich gminach. Jednakże mimo królewskiego rozkazu przyjęcia chrztu większość tutejszych mieszkańców była chrześcijańska tylko z imienia.

Nikt nie śmiał jawnie składać ofiar, ale w porze zwykłych obiat poświęcano nadal bogom miód i zwierzęta. Starszyzna zbierała się w Maerinie; dwunastu na zmianę przewodniczyło cichej uroczystości.

Wielu z ochrzczonych za czasów jarla Svena odstąpiło od wiary.

Ksiądz ze Steinkjeru umarł, nowego nie przysłano. A jeśli nawet nieliczni wierni zbierali się na modlitwy w kościele, ubywało ich z roku na rok.

Olve Grjotgardsson wrócił tej jesieni do Egge z kmiecej gildii na powitanie zimy bardzo niezadowolony.

— Złożyli obiatę starym obyczajem — rzekł do Sygrydy kładąc się spać.

— Brałeś w niej udział?

— Nie, powiedziałem, że nie wierzę w składanie ofiar. Ale oni się boją, strach nimi powoduje.

— Sądziłam, że bojaźń przed królem powstrzyma ich od jawnego składania ofiar.

— Zależy, czego człowiek się bardziej lęka, Sygrydo. Ostatnimi laty bali się więcej króla niż bogów. Teraz natomiast wierzę, że bogowie zesłali nieurodzaj, ponieważ mieszkańcy Haalogalandu dali się ochrzcić. Wobec tego zlekli się gniewu bogów i składają obiady.

— Nie wiedziałam, że w Maerinie znowu są wizerunki bogów. Myślałam, że król Olaf wszystkie zniszczył.

— Nie wiem skąd, ale były. Pewno powyciągali stare czerepy ze skrzyń. — Olve cisnął pas na zydel, — Słyszałem także, że twój brat Tore został królewskim namiestnikiem.

— Spodziewałeś się tego — powiedziała Sygryda. Słowa te rozjąrzyły dawną ranę. Nie widziała Torego Hunda od czasu, kiedy rozstał się z Olvem w nieprzyjaźni i po bitwie pod Nesjarem odjechał na północ.

— Tak. I czasem zastanawiam się, czy to nie ja mam źle w głowie. Mogłem także zostać królewskim namiestnikiem, gdybym łatwiej uginał kolana i mówił to, czego nie myślę.

— Ty także w pewien sposób zawarłeś pokój z Olafem. Olve się roześmiał.

— Przyjął przysięgę na wierność, jaką mu złożyłem w Maerinie, tylko dlatego że chciał pozyskać kmieci. Wtedy gorliwie zabiegał o stronników, toteż nie nalegał ze zwykłą surowością na krzewienie chrześcijaństwa.

— Jeżeli nawet Erling Skjalgsson złożył królowi pełną przysięgę na wierność, nie rozumiem, dlaczego ty jesteś tak oporny — rzekła Sygryda.

— Zanim krewni nakłonili Erlinga do uległości, powiedział: „Najlepiej będę służył królowi, jeżeli uczynię to z dobrej woli”. Ja zaś dotrzymam tyle, ile przyrzekłem — stwierdził Olve.

Wkrótce potem król wezwał kmieci do Nidaros. Wymienił też naczelników, z którymi chciał mówić, między innymi Olvego.

Sygryda z przykrym uczuciem patrzyła na wyjazd małżonka. A kiedy wracała z dziećmi od przystani, Grjotgard ujął ją za rękę.

Grjotgard Uczył już sobie dwanaście zim i pod nieobecność ojca czuł się niemal gospodarzem we dworze. Był ogromnie podobny do Olvego, smukłej budowy, zwinny jak kot, miał oczy i przelotny uśmiech ojca, ale włosy jaśniejsze.

Tore był szerszy w barach i już wyższy od brata. Sygryda nieraz myślała, że jeżeli wyrośnie na takiego mężczyznę, jak się zapowiadał, będzie ogromnie podobny do brata matki, Sigurda syna Torego.

Gudrun natomiast nie była podobna do nikogo z rodu. Ruchliwa jej twarzyczka zmieniała się ciągle, chwilami przypominała to jedną, to drugą osobę z rodziny. A maleńki Trond drepczący obok matki, która go trzymała za rękę, od czasu do czasu zerkał na Gudrun niespokojnie.

Pewno myślał, że nigdy nie wiadomo, co starszej siostrze przyjdzie do głowy. Gudrun czasem zadrezczała braciszka istic macierzyńską miłością, to znowu nagle miała go dosyć, nawet jeśli sama prosiła, by pozwolono jej opiekować się Trondem. Wlokła wtedy bez litości malca do matki, nie zważając na jego rozpaczliwe krzyki, i z wściekłością pytała, dlaczego ma ciągle niańczyć smarkacza.

Sygryda usiłowała uśmiechnąć się do idącego obok Grjotgarda. Ale sama czuła, że ten uśmiech jest wymuszony.

Po powrocie do dworu syn odciągnął ją na ubocze.

— Niczego nie potrzebujesz skrywać przede mną, matko. Nie jestem dzieckiem, wiem, jak sprawy się układają między ojcem i królem Olafem. Możesz liczyć na mnie, gdyby stało się nieszczęście.

Sygyda nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok chłopca dumnie wyprostowanego, poważnego.

Dwanaście zim — pomyślała. Jej brat Tore miał dwanaście zim, kiedy spalili ich ojca. Sigurd miał lat czternaście, a ona trzy, jak teraz Trond.

Z poważnych chłopięcych oczu wyczierała męska stanowczość.

Kilka najbliższych dni upłynęło im w niepokoju, z ulgą też witano wszystkich powracających.

— Czego król chciał? — spytała Sygyda, gdy zostali sami.

— Chodziło o obiadę powitalną zimy — odparł Olve. — Wieść o niej doszła do uszu króla, jak można było się spodziewać. Torald, królewski zarządca z Haugu, postarał się zawiadomić o tym swego pana.

Haug położone w dolinie Ver, niedaleko Maerinu, należało do króla.

— Torald jest rozżalony, bo ludzie nie chcą mieć z nim nic wspólnego — ciągnął dalej Olve. — Ale czego się spodziewał? On się urodził na niewolnego, a nawet jeśli został wyzwolony i jako królewski parobek zarządza dworem w Haugu, to jeszcze nie stawia go na równi z możniejszymi kmięciami okręgu.

— Czy król był srodze zagniewany?

— Rad nie był.

— Ty przemawiałeś za kmięci?

— Tak.

— Czy nie mógłbyś mi wszystkiego opowiedzieć, muszę wyciągać z ciebie słowo po słowie?

— Król posłyszał, że w Maerinie złożono obiadę powitalną zimy. Powiedziałem, że jak zwykle o tej porze zjechaliśmy się na przyjacielską ucztę i że nie brałem udziału w żadnym składaniu ofiar. Powiedziałem także, że nie mogę odpowia-

dać za to, co pijacy i obłąkańcy gadają przy miodzie, a nadto ze każdy, kto ma odrobinę oleju w głowie, umie pilnować języka. — Olve uśmiechnął się. — Moje słowa nie przypadły do serca tym, co przy biesiadzie najgłośniej pokrzykiwali, wierzaj mi! W powrotnej drodze wściekali się niczym tury, ale nie śmieli gęby otworzyć. Wiedzieli, że uratowałem im skórę, w zamian musieli przełknąć obrazę.

Im dłuższe stawały się noce, tym strasliwszy lęk szerzył się w gminach położonych w głębi fiordu. Ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami, po zapadnięciu zmierzchu tylko najodważniejsi wychodzili z domostw.

Szeptano, że dzieją się przedziwne rzeczy. Zmarli nie zażywali spokoju w kurhanach, a karły i trolle schodziły z gór i ukazywały się ludziom.

Zaczęło się od tego, że guślarka mieszkająca koło Vasau-ne wyszła z ukrycia, by włóczyć się po gminach.

Twierdziła, że wypłoszył ją śmiech rozbrzmiewający z mogił i górskich pustkowi oraz że duchy podziemia pokazują się w biały dzień.

Potem mówiono, że widziano zjawę w pobliżu Bardalu. Później jakiś mężczyzna przechodzący o zmierzchu obok opustoszałego dworu w Steinkjerze przysięgał, iż widział na dziedzińcu jarla w pełnym bojowym rynsztunku.

W jasną księżycową noc dwie dziewczki z Heggvinu śmiertelnie przerażone wpadły do izby. Ujrzały bowiem otwarty kurhan i nieboszczyka, który siedząc w łodzi mrugał na nie pustymi oczodołami w białej poświacie.

Następnie jakby wszystkie złe moce się rozpętały; w każdym dworze szeptano o zjawach i trollach. Ochrczeni wycinali znak krzyża na drzwiach i dymnikach od wewnątrz i z zewnątrz, inni znaki runiczne. W Lundzie, gdzie mieszkała wiedźma, odśpiewano pieśni odczyniające, równocześnie kreśląc runy.

Guślarka zaś chodziła do dworów po całej okolicy, odczyniała uroki, zamawiała i odpędzała złe moce. Nawet chrześcijanie zaczęli wątpić w moc krzyża i zapraszali ją do swoich dworów.

Im bliżej było zimowego przesilenia, tym głębsze ciemności pochłaniały coraz więcej dziennego światła i coraz potworniejszy lęk dręczył ludzi.

— Ragnarók stoi u progu — szeptano.

Bo czyż ostatnie zimy nie były ostrzejsze niż zwykle? Mroźne i długie zimy mające poprzedzić Ragnarók nazywano srogimi. Ostatnie lato też było niepodobne do poprzednich, tak samo jak obecna zima deszczowa, a nie śnieżna.

Czas miecza i czas mordu nastąpi przed końcem świata. A czyż od przeszło stu lat ludzie nie ciągnęli na wikingowskie wyprawy i nie mordowali? Może bogowie teraz znikną, bo nie zechcą ulec Olafowi i jego chrześcijaństwu? Może brat powstanie przeciwko bratu, może nadejdzie czas wichru i wilkołaków, jak przepowiadali starzy?

— Srogie zimy! — wybuchnął któregoś dnia Olve. — Jeśli kiedykolwiek nadejdą, nie będzie ich dzieliło lato.

Po czym dodał z lekką drwiną, że większość przerażających wydarzeń miała miejsce przede wszystkim w Lundzie, siedzibie władzy.

Sygyda jednak spostrzegła, iż o zmroku ludzie starali się nie wychodzić z domu i niespokojnie zerkali na wszystkie strony. Szczerze mówiąc sama niechętnie wychodziła wieczorem. Zresztą Olve także pozwolił nakreślić runy.

Pewnej soboty przed porównaniem słonecznym guślarza, choć nieproszona, przyszła do dworu obdarta, z długimi siwymi kosmykami w nieładzie i z dziwnie przenikliwym wzrokiem.

Sygyda widziała ją pierwszy raz. Wiedziała jednak, że wielu chodziło do niej do Vasaune, pytali o przyszłość albo szukali pomocy przeciwko zarazie i niebezpieczeństwu. Inni znowu pragnęli kupić napój miłosny lub tajemnicze zaklęcia zdolne unieszkodliwić wrogów.

Jednakże odkąd Olaf Haraldsson doszedł do władzy, ścieżka wiodąca do jej chatki powoli zarastała.

Za wchodzącą do świetlicy snuł się dławiący zapach; Sygyda pomyślała, że kąpiel by jej nie zaszkodziła. Ale na

samą myśl, że mogłaby to powiedzieć, ulękła się i prędko zatkała usta ręką nie chcąc urazić bieglej w czarach kobiety.

Olve powiedział tylko parę słów zgodnie z dobrym obyczajem, ale wiedźmę posadzono na zaszczytnym miejscu. Rozsiadła się wygodnie, plecy wsparła o ścianę nie wypuszczając z rąk kostura. Byстрыm wzrokiem kolejno obiegła zebranych, chwilę przyglądała się każdemu z osobna w głębokiej ciszy.

Sygyda wzdrygnęła się, gdy oczy wiedźmy z kolei na niej spoczęły, wejrzenie jej bowiem było złe, a równocześnie przenikliwe, jakby ta straszna istota umiała czytać w najtajniejszych myślach.

W końcu guślarzka przemówiła. Głos miała ochryple i bezdźwięczny, a cedząc powoli słowa, złowroźnie mrużyła oczy.

— Bogowie są zagniewani. Sam Odyn nawiedził gminę. Wędruje od dworu do dworu karząc odstępców, którzy wzgardzili wiarą w Asy. — Podniosła głos: — Jednooki był ostatnio w Byrze, przyszedł owinięty w płaszcz czarny niczym bezksiężycowa noc. Pani na Byrze przyjęła chrzest i ją to wskazał jego nieubłagany palec. Trzeciego dnia leżała zimna i... martwa! — Ostatnie słowo wiedźma krzyknęła.

Niejednemu w świetlicy mrowie przeszło po krzyżu. Wszyscy wiedzieli o zgonie małżonki gospodarza z Byru.

Olve z brodą podpartą na rękę patrzył na guślarzkę ze spokojną twarzą.

Nagle zwróciła się ku niemu i wyciągając kościsty palec zawołała:

— Ty, coś był ofiarnikiem bogów, i tyś ich zdradził!

Wtedy Tora powstała z ławy i przeżegnała się mówiąc głośno:

— W imię Jezusa.

Wiedźma zerwała się drżąca z gniewu. Po czym nie spuszczać oczu z Tora wycofywała się z wolna z izby obrzucając zebranych przekleństwami. Olve nie uczynił najmniejszego ruchu, by ją powstrzymać.

Zaledwie jednak zniknęła, rozległ się krzyk, który poderwał siedzących w izbie. Lecz zanim ktokolwiek zdołał

wybiec, by sprawdzić, co się dzieje, na progu stanęła Gyda córka Halldora, a za nią druga dziewczyna. Gyda tak szczękała zębami, że słowa przemówić nie mogła.

— Pewno coś zobaczyła — wyjaśniła mniej przestraszona dziewczyna.

Sygrida usiłowała uspokoić Gydę, ale długo trwało, zanim przyszła do siebie na tyle, że mogła opowiedzieć, co się zdarzyło.

Wychodziły z lamusa, gdy guślarka szła przez podwórze.

— Nagle mnie zobaczyła, podeszła, chwyciła moją rękę i wskazując palcem powiedziała: „Patr! Widzisz, kto tu idzie?” Spojrzałam tam, gdzie wskazywała, i zobaczyłam go także. Był stary, zgarbiony, podpierał się kijem. Zamiast twarzy miał ranę, jakby go niedźwiedź ze skóry obdarł. Potem od razu zniknął mi z oczu... — Gyda zaniósła się szlochem.

— Ty też go widziałaś? — spytał Olve dziewczyny.

— Nie. Ale słyszałam, co guślarka przepowiadała, jeśli on się pokaże.

Tora zbladła.

— To był Trond Haka, mój dziad.

Potworna groza obezwładniła wszystkich.

Tora przeżegnała się powtórnie.

— Zły duch nas kusi — powiedziała. — A ci, którzy w grzechu umarli, wstają z grobów na jego rozkaz.

Spokój jej wywarł głębokie wrażenie, ale nie zdołał rozproszyć niepokoju i smutku, które jak ciężka mgła spowiły dwór.

Wkrótce po godach Olve i kmieca starszyzna mieli spotkać się w Maerinie.

Sygridy nie opuszczał lęk. Bała się, co król uczyni, jeśli dojdzie do złożenia obiaty i on się o tym dowie. W głębi duszy dręczył ją także inny strach: zapamiętała przerażających bogów i mimo tego, co utrzymywali Olve i ksiądz Anund, rozważała, czy jednak...

Olve wrócił z Maerinu wcześniej, niż go oczekiwano.

Na pytanie Sygridy potwierdził, że składano ofiary.

Nie wiedziała, czy te słowa wzmogły jej strach, czy też sprawiły ulgę.

— Odradzałem im — opowiadał Olve dalej. — Mówiłem, że jeśli wieść dobiegnie króla, nie mogą oczekiwać łaski. Nikt nie chciał mnie słuchać, wróciłem tedy do Egge.

Wkrótce przyjechał umyślny z Nidaros, król chciał mówić z kmieciami.

Olve oświadczył, że mają jechać ci, którzy składali ofiary, on sam nie miał o czym mówić z królem.

Jeden za drugim ciągnęli do Egge; w końcu zebrali się wszyscy. Przyjechał Björn ze Saurshaugu, Orm z Hustadu i Blotolf z Gjevranu; gospodarze z głębi Inndalenu, a także z gmin leżących po drugiej stronie fiordu. Wszyscy nalegali, by Olve jechał z nimi do króla.

Twierdzili, że najskładniej potrafi mówić. A nadto mógł jechać spokojnie, bo nie brał udziału w obiacie.

W końcu Olve uległ i pożegłował do Nidaros.

Wrócił ponury, ludziom, którzy zebrali się, by usłyszeć o wynikach podróży, odpowiadał zwięźle i szorstko. Król wiedział o obiacie i nie zamierzał okazywać łaski. W końcu ustąpił. Olve jednak musiał ręczyć głową, że niezależnie od tego, co było, w przyszłości żadne obiady nie będą składane w Maerinie.

— Według mnie — zakończył Olve — nie wolno nam ani razu spotkać się w Maerinie, póki sprawa nie pójdzie w zapomnienie.

— I ty to mówisz! Przecież to twoja kolej przewodniczyć wiosennej gildii — zauważył Björn z Saurshaugu.

Wszyscy huknęli śmiechem, a to tym szczerzej, że odczuli swobodnie wiedząc, iż raz jeszcze zdołali uniknąć gniewu króla. Tylko Olve zachował powagę.

— Nikt nie powie, że odmawiam wydania uczyty dla przyjaciół, którzy nie szczydzili mi jadła i napitku. Ale musicie przody złożyć przysięgę, że nie będzie obiady.

Wszyscy przyrzekli.

Jednomyślnie stwierdzili, że pojedą do Maerinu, bo dwór tamtejszy był przestronny i dogodnie położony. Ale mieli się

spotkać nieco wcześniej niż zwykle, aby nie budzić podejrzliwości króla.

Olve mówił, iż sądząc ze słów króla, doniesiono mu nie tylko prawdę. Było jasne, że zausznik królewski, który powiadomił Olafa, niegorzej od siebie dołożył.

Nikt nie wymienił imienia Toralda, królewskiego zarządcy, ale wszyscy o nim myśleli. Haakon z Olvishaugu odezwał się pierwszy:

— Musimy rozpuścić po gminach wieść, iż wiemy, kto łgarstwa powtarza królowi. A wtedy donosiciel zrozumie, że mądrzej uczyni trzymając na drugi raz język za zębami.

Postanowiono zastosować się do tej rady.

— Nie powinienem był tak głośno wykrzykiwać do Torego o fałszywych przysięgach po bitwie pod Nesjarem. Teraz i ja złożyłem królowi fałszywą przysięgę — powiedział trochę później Olve do Sygrydy.

W jego głosie przebijało znużenie, a na docieklive pytania Sygrydy, zaczął mówić o czym innym.

— Na królewskim dworze spotkałem twego dawnego przyjaciela Sigvata. Siedział na zaszczytnym miejscu u boku króla i przy wieczerzy układał pieśni.

— A jakież one były?

— Chyba lepsze niż dawniej. A może tylko ja wyżej je oceniłem — wykrzywił usta jakby w uśmiechu. — Właściwie wygłaszał pieśni układane, gdy król Olaf jeździł w zaloty do Szwecji, tak sam opowiadał. I te były istotnie dobre, choć mniej mi się podobało, że w jednej mi przygadał. — Zauważywszy ciekawość Sygrydy, dodał: — W drodze nikt nie chciał udzielić gościny Sigwatowi skaldowi wraz z jego poczem, choć podróż mieli uciążliwą. Szparko pomykali z dworów, mimo odparzonych nóg — mówił Sigvat. A potem zuchwalec mrugnął na mnie i ku mojej czci powiedział:

Trzej imiennicy mniemając,
żem żebrak, wskazali bramę.
Mogaż rycerscy panowie
zaszczytnej żądać pochwały?

Lękam się teraz nieomal,
iż męże imieniem Olve
ten mają zwyczaj niegodny:
wypędzać precz swoich gości.

Sygyda nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Później mnie odszukał i spytał, czyjego pieśni mi się podobają. Odparłem, iż nie przystoi mi wydawać sądu o tym, co przeznaczone dla króla. Nie był rad. Zapytał, czy nadal mam tę samą ładną żonę, czy też może inni skaldowie islandzcy zagłądali do Egge.

Kazałem mu jechać do Apy i nażreć się rybich łbów. Wtedy zaczął się śmiać, pytał o Kjartana Pogromcę Eskimosów, odparłem, iż dobrze mu u nas. W końcu Sigvat powiedział, że jeśli potrzebuję pomocy zaufanego królewskiego, chętnie przemówi w mojej sprawie. Podziękowałem i podaliśmy sobie ręce przed rozstaniem. On jednak niewiele zmienił się ostatnio; już odchodził, gdy nagle zawrócił, klepnął mnie po ramieniu mówiąc: „Wcale nie jestem pewien, czy owi trzej Szwedowie nosili imię Olve!”

2

Pierwszy brzask zabarwił niebo nad wzgórzami płomiennym, lecz zimnym blaskiem. Drzewa liściaste wyciągały ku nowemu dniowi drżące nagie gałęzie, świerki dygotały na wietrze i jakby otulały się szczelniej zielonymi płaszcami.

Sygyda także drżała idąc przez dziedziniec. Szybko przestąpiła próg świetlicy, prędko zatrzęsnęła za sobą drzwi, po czym stanęła przy palenisku i grzała ręce.

Ragnhilda odłożyła szycie, podniosła się z ławy i podeszła do niej.

— Chyba mądrze uczynimy bardziej oszczędzając sera, boję się, że może go nie starczyć tego roku — powiedziała Ragnhilda pełniąca obowiązki szafarki.

— I ja o tym myślałam wczoraj, kiedy szłam do lamusa — odparła Sygryda.

Wyjęła robotę i również usiadła na ławie. Tego dnia jednak wszystko jakby szło na opak, coraz jawniej się złościła, bo nic supłała się nieustannie. Sporo czasu minęło, nim skończyła cerować niewielką dziurę. Wygładziła cerę i niecierpliwym ruchem rzuciła na stół szklaną półkulę.

Tora podniosła oczy znad wyszywanej makatki, spojrzała na Sygrydę z wyrzutem.

— Cierpliwość jest jedną z cnót, których Jezus uczył nas przebywając na ziemi.

Sygryda, zajęta nawlekaniem igły, nie odpowiedziała. Uważała, że chrześcijaństwo z każdym rokiem przydawało świekrze więcej zarozumiałstwa. Tora coraz częściej udzielała tego rodzaju budujących pouczeń; nieraz usiłowała pokroić popędliwość Sygrydy i zdawała się nie pojmować, że jej rady działały niczym tłuszcz rzucony na ogień. Równowaga i spokój Tory jeszcze bardziej drażniły synową.

Niewątpliwie jednak pod wpływem chrześcijaństwa życie Tory przeobraziło się i nabrało dla niej odmiennego znaczenia. Sygryda sięgnęła myślą wstecz do chwili, gdy świekra od nowa uczyła się chodzić. Do końca swoich dni siedziałyby nieruchoma jak kaleka, gdyby bojaźń Boga nie skłoniła jej do ujawnienia, że oszukiwała. Działo się to dawno temu, kiedy ksiądz Anund był w Steinkjerze, a ona sama skłaniała się do przyjęcia chrztu.

Teraz nie umiałaby powiedzieć, kim jest. Nie otrzymała chrztu, ani nawet pierwszego pomazania. Na pomoc wzywała świętych na równi z bogami lub boginiami, w niebezpieczeństwie żegnała się znakiem krzyża.

Bezpośrednio po bitwie pod Nesjarem rzeczywiście myślała o przyjęciu chrztu, rozmawiała o tym z Olvem. On jednak odparł, iż nic nie nagli. Najpierw dlatego, że nie podobał mu się ksiądz przysłany ze Szwecji do Steinkjeru przez Anunda. A po jego śmierci tak się złożyło, iż nie chciał księży wyznaczanych przez króla Olafa. W ostatnich latach w ogóle o tym nie mówili, chociaż Olve dotrzymał danej obietnicy i nigdy więcej nie składał ofiar.

Sygryda zwinęła robotę na podołku; dym z paleniska słał się po izbie i szczypał w oczy. Oparła się wygodnie o ścianę, wśród szmeru rozmów starała się wyłowić poszczególne głosy.

Z najodleglejszego kąta dobiegał ją chrapliwy głos Kjartana, który uczył Grjotgarda wiązania sieci. Ogromnie się zaprzyjaźnili, Sygryda dziwiła się, co za przyjemność chłopak znajduje w przebywaniu ze starym bajdułą. Prawie wszyscy we dworze drwili z Kjartana i jego przechwałek, Grjotgard natomiast odnosił się do niego jak do równego. Kjartan odwzajemniał się za to chłopcu całkowitym oddaniem i choć uskarżał się na bóle w nogach, ilekroć mówiono o wyprawie, za Grjotgardem bez wątpienia skoczyłby w ogień.

Sygryda słyszała także głos Ragnhildy rozmawiającej ze służebną.

— Powiadają, że najmłodszy chłopiec gospodarzy z Heggvinu zachorzał!

Od razu powróciła myślą do sprawy, która od wczesnego ranka pozbawiła ją równowagi. Słyszała bowiem także, że niemoc złożyła jednego z synów Kolbeina.

Już przed godami zaczęto mówić, że w Inntrondheimie szerzy się zaraza przywleczona z Inndalenu. Potem przenosiła się kolejno na inne gminy. Najczęściej chorowały dzieci. Z początku bolały je gardła, następnie przychodziła śmierć.

Ledwo przycichł strach przed porównaniem słonecznym, zaczął się szerzyć lęk wobec gardlanej zarazy. W miesiąc po godach rozeszła się wieść o zgonie dziecka w Leinie, po drugiej stronie fiordu Steinkjer, z kolei inne zachorowały w Lod, a potem cios już spadał za ciosem.

Sygryda nie śmiała spojrzeć w oczy nieszczęściu czającemu się dookoła. Szeptano o składaniu obiat, o wiedźmie i jej gusłach. Szeptano także, że w pobliżu Lómsenu jakiś gospodarz złożył w ofierze dwóch niewolnych dla ratowania jedyne go syna.

Dopóki jednak nikt nie padł ofiarą choroby w sąsiednich dworach, Sygryda nie chciała mówić o zarazie. I nawet

dzisiaj, gdy dowiedziała się, iż nadeszła do Heggvinu, usiłowała odpowiedzieć myśl o niej.

W Egge pierwsza zachorowała Gudrun córka Olwego. Rankiem bawiła się wesoło jak zazwyczaj; wyciągnęła stare matczyne szaty i przebierała się. Jedną z sąsiadek naśladowała w ruchach i mowie w sposób tak doskonały, że Olve pokładał się ze śmiechu. Ale już po południu zaczęła się skarżyć na gardło, następnego zaś dnia leżała cichutko w łożu.

Olve siedział przy córce, która go prosiła o opowieści. Patrzyła szeroko otwartymi oczami słuchając dawnych sag o bogu Torze. Potem ojciec prawił baśnie o leśnych zwierzętach, które potrafią rozmawiać. Ona jednak napraszała się rzeczywistych przygód.

Opowiedział jej zatem, jak jechał do Bizancjum przez kraj Rusów, jak to statek przebywał ogromne rzeki lub był przeciągany lądem. Potem płynęli różnymi rzekami do morza, skąd mogli dotrzeć wprost do wielkiego miasta. Kiedy pierwszy raz znaleźli się na tamtym morzu, mgła spowiła cieśninę i miasto; był wczesny ranek, opary rozwiewały się z wolna, ukazując najpiękniejsze budowle i zamki niczym zjawiska. Ogromny zaś kościół zdawał się potężną skałą w morzu mgieł.

Szeroko otwarte oczy Gudrun błyszcząły, a policzki płonęły rumieńcem.

— Opowiadaj jeszcze — prosiła.

Olve opowiadał zatem o chłopcu zwanym Ali Baba, który wyprowadził w pole czterdziestu rozbójników. Bajkę tę słyszał w Kordobie.

Później jednak Gudrun była taka chora, że już nie chciała słuchać o przygodach. Kaszłała, krztusiła się, bo coś dławilo ją w gardle.

Wkrótce zaniemógł mały Trond. Od tej chwili Sygryda nie wiedziała, czy jest dzień czy noc.

Kobiety chciały zastąpić ją w czuwaniu, zdarzało się, że chwilami zapadała w krótką drzemkę, natychmiast jednak zrywała się z niespokojnego snu, lęk bowiem dręczył ją

nieustannie. Miała wrażenie, że zmora ją dusi ogromnymi kosmatymi łapami.

Czwartego dnia z małą Gudrun było bardzo źle, prawie wcale nie mogła złapać oddechu. Twarz jej posiniała, mięśnie szyi miała napięte i stwardniałe, drobna postać drżała, gdy usiłowała zaczerpnąć powietrza. Chciała krzyknąć, łzy napływały do oczu, które zdawały się wyłazić z oczodołów, ale mogła wydać tylko cichy jęk.

Próbowali wszystkiego.

Obnosili ją wokół ognia, wynieśli ją na dwór i przeciągali przez wykop w zmarzniętej ziemi. Tora zegnała ją krzyżem wzywając na pomoc znanych świętych; kreślili także runy. Na pytanie Sygrydy, czy nie należałoby złożyć ofiary, Olve bez słowa, własnorecznie uczyniwszy należne przygotowania, poświęcił najpiękniejszego konia. W końcu posłali po guślarkę.

Czuła się urażona, ale przyszła, a choć zdawała się cieszyć z cudzego nieszczęścia, mruzczała zaklęcia przeciwko złym duchom i mocom.

Nic nie pomogło.

Olve i Sygryda klęczeli przy łożu. Olve podtrzymywał Gudrun, która walczyła o każdy oddech. Tora przyszła także do komory. Wśród zupełnej ciszy słychać było tylko rżenie dziecka.

Sygryda wzdrygnęła się na dźwięk głosu Olwego, bo wydał jej się zupełnie obcy.

— Dajcie mi wody w czerpaku, matko!

Tora podała mu czerpak z wiadra stojącego w izbie. Sygryda patrzyła na uroczystą powagę malującą się na obliczu męża.

— Gudrun... — zaczął, lecz dalszych słów, które wymawiał polewając wodą córkę, nie zrozumiała, bo wypowiedział je w obcej niezrozumiałej mowie. Potem oddał matce czerpak i uczynił nad dzieckiem znak krzyża.

Wkrótce potem Gudrun, córka Olwego, zasnęła snem wiecznym. Leżała drobna, cichutka, a twarzyczka, na której radość pojawiała się na przemian z nieopanowanym gniewem, zeszytniała na zawsze.

Nie mieli czasu na rozpaczanie, bo stan Tronda pogarszała się z godziny na godzinę.

Następnego dnia i jego zmaganie się skończyło.

Zanim skończył, Olve połał go również wodą. Tym razem wyjaśnił, co znaczyły niezrozumiałe słowa: „Chrzczę ciebie w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”.

Jakże ciężką walkę musiał stoczyć biedny Trond — myślała Sygryda patrząc na nieruchome maleństwo. Nigdy w życiu nie zdoła zapomnieć, jak bezradnie wyciągał ręce.

Trzykrotnie obniesiono małe trupki wokół ognia. Potem wyrąbano otwór w ścianie, przez który je wyniesiono. Następnie dziurę starannie zatkano, aby zmarli nie mogli powrócić i dręczyć żywych albo pociągnąć ich za sobą w krainę śmierci.

Pogrzebano ich w Steinkjerze w opuszczonym kościele.

Po pochówku dzieci Sygryda była tak znużona, że nawet myśleć nie mogła, toteż natychmiast zapadła w głęboki sen. Nikt nie chciał jej powiedzieć, że tymczasem Grjotgard zachorzał.

W ciągu nocy mimo wszystko postanowili ją obudzić.

Pobiegła do świetlicy, gdzie położono chłopca. Był przy nim Olve, a Kjartan, o którego się dopytywał, opowiadał mu teraz o trollach mieszkających w Islandii.

Podczas tego opowiadania Grjotgardowi musiało się pogorszyć, bo jakby nic nie słyszał, tylko łapczywie chwycił oddech; Sygryda zacisnęła pięści, aż paznokcie wpiły się w ciało.

Nagle Kjartan się poderwał i przyłożył usta do warg chłopca.

Olve także wstał, ale nie wiedział, co począć. A wszystko stało się tak szybko, że nikt dokładnie nie pojmował, co zaszło.

Kjartan się wyprostował, charknął i wypluł na podłogę coś białego, obrzydliwego. Grjotgard natomiast leżał odychając swobodnie, jakby cud się stał.

Sygyda nigdy by nie uwierzyła, gdyby jej ktoś powiedział, że rzuci się na szyję Kjartanowi Samochwalcy, a to właśnie uczyniła. Olve bez słowa uściśnął mu dłoń.

Pytali go potem, jak wpadł na tę myśl. Tym razem gadatliwy Kjartan był dziwnie wstrzemięźliwy w słowach.

Wstydliwie spuścił oczy i wybąkał, że nie wie, dlaczego tak postąpił. Nalegali jednak i powoli wyciągnęli od niego prawdę.

Wówczas kiedy przebywał w Irlandii, dużo ludzi zapadało na tę zarazę. Sam także chorował, ale ozdrowiał. Tam właśnie widział, że jedna matka zrobiła ze swoim dzieckiem to samo, co on z Grjotgardem. Wyszło mu to z pamięci, dopiero na widok męczarni chłopca nagle wszystko sobie przypomniał.

Od tej pory Grjotgard powoli wracał do zdrowia.

Śmierć zebrała bogate żniwo w Egge: umarł synek Guttorma Haraldssona i Ragnhildy, o rok młodszy od Tronda, jedna córka Gydy córki Halldora oraz kilkoro innych dzieci.

Później zaraza powoli traciła niszczycielską moc, słyszano już tylko o pojedynczych wypadkach choroby.

Sygyda miała wrażenie, że smutki, jakie dzielili z Olvem, nadały nową treść ich wzajemnej miłości. Poznawała teraz zupełnie nowego człowieka.

Jeśli nagle przerywała robotę i chciała zapytać: „Gdzie Trond?“, wystarczyło, by poszukała wzrokiem Olwego, i wiedziała, że on ją rozumie. Tak samo wiedziała, że on pojmuje jej uczucia, gdy kazała jednej z kobiet dokończyć tkania wełny, która miała stanowić pierwszą sztukę wyprawy Gudrun.

Czasem płakała wsparta na jego ramieniu, pozwalając jej wtedy ronić łzy bez zbędnych słów. Dawał jej tylko do zrozumienia, że ją miłuje.

Sam znosił nieszczęście w milczeniu. Mimo to zauważyła, iż coś głęboko rozważał. Często udawał się do Steinkjeru.

Pewnego dnia poszła za nim.

Miesiąc przedwiośnia* dopiero się zaczynał, ale słońce już przygrzewało, drogi zrobiły się błotniste. Kilka dni tylko pozostało do zjazdu w Maerinie, toteż wymijając kałuże Sygryda rozważała, jak najlepiej wszystko urządzić. Gyda, gospodyni z sąsiedniego dworu w Gjevrane, ofiarowała się z pomocą, Tora zatem mogła przyjechać do Maerinu, gdy wszystko będzie gotowe. Guttorm i Ragnhilda mieli zostać w Egge.

Znalazła Olwego w kościele. Ledwo wrota skrzypnęły w zawiasach, Olve poderwał się i wyszedł jej naprzeciw. Usiłował przybrać spokojny wyraz twarzy, ale to mu się nie udało, zauważyła, że płakał.

Nagle jakby otchłań otworzyła się przed **Sygryda**. Wydawało jej się, że Olve ma nadludzkie siły, że wobec tego można zawsze szukać w nim oparcia, złożyć na jego barki własne troski, podczas gdy on nie potrzebuje żadnej podpory.

Zarzuciła ręce na szyję męża i przyciągnęła ku sobie. Czuła na wargach słony smak łez, które scałowywała z jego oczu.

Przy wejściu stała ławka, Olve objął ją mocno i usiedli obok siebie. Chwilę trwał w milczeniu, jakby chciał się opanować, a kiedy w końcu przemówił, ze zdziwieniem ujrzała uśmiech na jego twarzy.

— Jest takie powiedzenie, że wikingowie nie opłakują ani swoich zmarłych, ani swoich grzechów. Jeśli to prawda, kiepski ze mnie wiking.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, ale mu nie przerywała.

— Dzieci pomarły z mojej winy — rzekł nagle.

Spojrzała na niego przerażona.

— W głowie ci się mąci. Jak możesz tak mówić!

Olve potrząsnął głową.

— Mój upór to sprawił. Gdybym się poddał podczas ostatniej rozmowy z Anundem, może by wszystko ułożyło się odmiennie.

* Okres od 15 marca do 15 kwietnia (przyp. aut.).

— A właściwie o co posprzeczaliście się z Anundem? — spytała Sygryda. Dotąd niewiele wiedziała o tej rozmowie.

— O mięso ofiarne. Według Anunda jedzenie ofiarnego mięsa jest grzechem, nie chciałem się z tym pogodzić. Później jednak doszedłem do tego, że miał słuszość. Sobie może i nie zaszkodziłem jedząc wtedy mięso i pijąc miód poświęcony bogom. Ale wszyscy obecni w Hovnes brali to poważnie, po moim zachowaniu w kościele każdy zważał, co czynię. A pamiętam, iż w Bizancjum uczono mnie, że niektóre nasze postęпки, choć nie są złe same w sobie, mogą stać się grzechem, jeśli odwiodą innych od wszechmocnego Boga.

— Olve nie próbował już teraz narzucać sobie spokoju, toteż twarz jego wyrażała głęboką rozterkę. — Powiniem być uwierzyć Anundowi na słowo, kiedy utrzymywał, że zgrzeszyłem. Choć nie umiał mi wytłumaczyć, dlaczego tak jest, to jednak przemawiał w imieniu Kościoła, a nie swoim. O orzeczeniach Kościoła stanowią ludzie bardziej uczeni niż Anund. Powiniem być o tym pomyśleć i słuchać go także w innych sprawach.

Olve umilkł, Sygryda rozejrzała się po pustym wnętrzu: polepa była lodowata, zamarznięta, ciężko musieli się napracować ludzie kopiący grób dla Gudrun i Tronda. Ołtarz był obnażony, bez obrusa i świec, tylko krzyż na nim pozostał.

Olve podchwycił kierunek jej wzroku.

— Tu mogę zebrać myśli — rzekł. — Przypominam tu sobie, czego uczono mnie w Bizancjum, i wszystko to wiąże się ze słowami Anunda. Dlatego też łatwiej pojmuję, czemu dzieci musiały umrzeć. Anund słusznie powiedział, że Bóg będzie zmuszony zesłać na mnie nieszczęście, abym ugiął się przed Jego wolą. Już to wszystko zrozumiałem, Sygrydo. Dziękuję teraz Bogu, ponieważ ustrzegł mnie od potępienia i pozwolił ochrzcić dzieci. Ale nigdy chyba nie wybaczę sobie, że na ciebie sprowadziłem niedolę.

— Nie twoja to wina — przerwała mu Sygryda. — Dzieci musiały umrzeć, bo los tak sprawił.

— Bóg wszechmogący jest potężniejszy od losu.

Nie dowierzała temu, by coś mogło być silniejsze od losu.

— Po powrocie z Maerinu pojedę do Szwecji i spróbuję znaleźć księdza, który by zechciał tu przybyć.

— Czy nie łatwiej pojechać do Nidaros i sprowadzić jednego z królewskich kapelanów?

— Nie lubię tłustego Olafa... — w głosie Olvego znowu przebijała lekka drwina, jak to często się zdarzało. — A jeszcze mniej podoba mi się sposób, w jaki krzewi chrześcijaństwo, chociaż trochę lepiej rozumiem go dzisiaj. — Przerwał i mówił teraz z powagą: — Rozważyłem, co czułem chrzcząc dzieci. Nie mogłem postąpić inaczej, nie mogłem zezwolić, by umarły w pogaństwie. Może król Olaf czuje podobnie zmuszając ludzi do przyjmowania chrztu. Według mego mniemania nie postępuje on słusznie, bo dorosłego człowieka nie można nakłonić strachem lub przymusem do uwierzenia w Chrystusa, i król to powinien rozumieć. Często można by sądzić, że więcej mu chodzi o okazanie własnej mocy niż o chrześcijaństwo. Ale to nie jest takie proste, jak sądziłem. Pamiętasz naszą rozmowę o agape? — spytał po chwili.

Sygyrda dobrze pamiętała tę noc; jak dziwne jej się wydawało to, że Olve mówił o miłości, która nie wymaga odwzajemnienia.

— Myślę, że w tym kryje się odpowiedź na wszystko — ciągnął dalej Olve. — Podobno święty Jan, kiedy był tak sędziwym starcem, że musieli go nosić do świątyni, błogosławił swoim wiernym, mówiąc: „Miłujcie się, moje dzieci — i to wszystko!” Nie zamierzam ci wmawiać, że to pojmuję lub kiedykolwiek pojmem. Ale nikłe światło mi błyska i za tym musi kryć się wielka jasność.

Rozmyślałem także o śmierci Chrystusa za ludzi. I wtedy wspomniałem Odyna, który raniony włócznią wisi na jesionie Ygdrasilu, aby ofiarą samego siebie pozyskać dar runów dla bogów i ludzi... Nie wiem, skąd pochodzi ta saga, ale rozważałem, w jakiej mierze chrześcijaństwo mogło być znane jej skaldom. Bo przecież kiedy Chrystus umierał na krzyżu, Bóg również ofiarował siebie dla dobra ludzi.

Powtarzałem, że nie mogę zrozumieć, dlaczego chrześcijaństwo stanowi nakazy i prawa, według których zwykły człowiek prawie wcale żyć nie potrafi, i dlaczego wybawia go

ofiara człowieka. Teraz już rozumiem, Sygrydo. Bo gdyby łatwo było nagiąć się do przykazań, nie pochodziłyby one od tego Boga, który poprzez Chrystusowe życie pokazał nam, co znaczy czystość i prawda. Ukrzyżowanie Chrystusa nie było ofiarą człowieka, bo ofiara złożona z człowieka nigdy by nikogo nie zbawiła. To Bóg w ludzkiej postaci ofiarował się sobie samemu, istocie wszechmocnej, a miłość zawarta w tej ofierze to jakby pomost między ludźmi i Bogiem. Nie wiem, jak to się stało, Anund twierdził, że to należy do cudów. Ale pewne jest jedno: miłość promieniująca z tej ofiary raz na zawsze wskazuje, że jeśli mimo najuczciwszych usiłowań nie potrafimy zachować Bożych przykazań, On zawsze chętnie czeka na nas z przebaczeniem.

Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo On jest samą miłością — tak powiadał święty Jan. Przykazania też mówią o miłości: o miłości do Boga, do ludzi, o wybaczeniu grzechów, a w tym mieści się pokuta i uczta u Stołu Pańskiego. Odpuszczenie grzechów jest darem dla nas od Boga miłości, a przystępując do Stołu Pańskiego bierzemy udział w tej miłości. W pokucie możemy Mu okazać, że Jego miłość w nas zapłonęła, że tak jak On zechciał ofiarować siebie za nas, tak samo my chcemy ofiarować trochę z siebie. Jeśli się nie mylę o moich grzechach, uważam za prawdziwy dar to, że będę mógł za nie odpokutować.

Olve nagle pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

— Och, Sygrydo, bardzo dużo muszę odpokutować, ciągle i ciągle od nowa zdradzałem wszechmocnego Boga. Przynikałem, że nie złożę więcej obiady, i złamałem obietnicę. Ja także jestem winien składania ofiary w Maerinie; gdybym jako prawdziwy chrześcijanin zatroszczył się o sprowadzenie księdza do naszej gminy, nigdy by się to nie stało. Powinienem należeć do tych, którzy chrzczą nasz kraj, a zamiast tego działałem przeciwko Chrystusowi.

— Nie wszystko zrozumiałam z tego, co rzekłeś — zauważyła po chwili Sygryda.

— Nie troszcz się o to. Powoli zrozumiesz. A tymczasem będziemy się jeszcze silniej miłowali.

Podniosła na niego wzrok i pomyślała, że chyba nie można kochać silniej, niż ona jego miłowała. Ale w głębi jej serca zapalał się nowy żar: wycucie miłości wszechogarniającej i zupełnie odmiennej, niż sobie wyobrażała.

3

Olve postanowił, iż na zjeździe w Maerinie niczego zbraknąć nie może. Zabrano więc z Egge nie tylko zapasy jadła i picia, ale również kuchenne naczynia, różne domowe sprzęty, makaty i kobierce dla ozdobienia biesiadnej sali, wszystko, co mieli najlepszego.

Statkiem dopłynęli do Borgafiordu, po czym cały ładunek przewieziono do maerińskiego dworu. O wielu sprawach należało pomyśleć, wszystkim zarządzić, Sygryda krzątała się z zapalem, lubiła taką pracę.

Wychodząc na dziedziniec po wieczerzy czuła zmęczenie. Olve z obu synami stali przy wejściu do dawnego chramu; skierowała się w ich stronę, lecz przystanęła z wahaniem. Chłopcy ciekawie słuchali opowiadania Olwego o dawnych czasach, o dziejach maerińskiego wzgórza. Nie chciała mu przerywać, minęła ich zatem i poszła dalej ścieżką między stodołą a chramem. Zatrzymała się dopiero w olchowym gaju i rozejrzała się dokoła.

Tegoroczna cienka powłoka śniegu zniknęła z pól. Na północnych stokach leżały jeszcze pojedyncze białe spłachetki, poza tym ziemia była wszędzie naga; woda srebrzyła się w małym stawku i w kałużach, obok ścieżki złocił się jeden jedyny kwiat podbiału. W dali natomiast między drzewami jeszcze przebłyskiwał śnieg na wyżynach.

— Nic nie zakłóciło spokoju tego wzgórza — powiedział kiedyś Olve. Sygryda czuła, że i ją ogarnia ten błogi spokój, jaki spływał na nią, gdy pierwszy raz przyjechała z Olvem do Maerinu. Bo tu w jakiś dziwny sposób skupiało się równocześnie wszystko, co pokochała w okręgu Inntrondheim:

pokój, bezpieczeństwo i szerokie przestrzenie związane z sagami, klechdami, z wiarą w bogów i... tak, nawet i z chrześcijaństwem. Tutaj bowiem od najdawniejszych czasów oddawano cześć bogom, tutaj także królowie przynieśli nową naukę; tutaj przybył Haakon wychowaniec Adelsteina i Olaf Tryggvasson, a ostatnio także Olaf Haraldsson. Obejrzała się na Olvego i chłopców, stali pod chramem i gwarzyli. Olve spojrział w jej stronę i uśmiechnął się, odpowiedziała uśmiechem. Od czasu rozmowy w kościele pojęła, dlaczego od śmierci dzieci był dla niej ponad wszelką miarę dobry. Zauważyła także, że zmagął się, by poskromić swoją zawziętość oraz zmienność usposobienia. Kiedyś mu o tym napomknęła. Roześmiał się w odpowiedzi.

— Nie bierz nigdy poważnie gorliwości nowo nawróconego grzesznika — rzekł. — Przypomina ona nową przyjaźń i z początku płonie silniej niż ogień. Próba przychodzi później, kiedy gorliwość się wyczerpuje.

Sygridzie jednak lżej było teraz na duchu aniżeli kiedykolwiek od zgonu dzieci. To, co Olve powiedział w kościele i później także, wzbudziło w niej uczucie, że śmierć dzieci nie była daremna i pozbawiona znaczenia, i to jej przyniosło ulgę.

Różowy odbłask padał na drzewa, patrzyła na pąki, które lada dzień się rozwiną. Może śmierć dzieci przypominała opadanie liści jesienią, może była zapowiedzią nowej wiosny kiełkującej w jędrnych drobnych pączkach?

Uśmiech pojawił się na wargach Sygridy. Inne znaki także jej zapowiadały nadzieję na nowe życie. Jeszcze im nie dowierzała, ale z każdym dniem zyskiwała pewność.

Drugiej nocy, którą spędzili w Maerinie, Sygridę zbudziło walenie w drzwi. Poderwała się, jeszcze zaspana. Rozległy się nowe uderzenia, krzyki i wrzawa na zewnątrz, po czym ktoś ostro zawołał:

— Jesteście osaczeni! Wychodźcie i poddajcie się królowi!

W ciemnościach coś zaszurało, ktoś zapalił świecę. Olve już wstał, był odziany, przypasywał miecz. Nagle jakby się rozmyślił.

— Nie. Lepiej, bym dzisiaj nie był uzbrojony. — Odpiął pas i odłożył miecz.

Ludzie podnosili się z ław, z oczu ich wyczierało przeżenie.

Olve przed wyjściem pochylił się nad Sygryda, przytulił twarz do jej policzka, po czym zwrócił się do synów, którzy podeszli do niego.

— Cokolwiek się stanie, musicie być dzielni — rzekł. Po czym przystąpił do drzwi i odsunął rygiel.

Sygryda wrzuciła na siebie suknię, stanęła pod ścianą i przywarła do niej uchem, by słyszeć, co dzieje się na podwórku.

Chór głosów odezwał się, gdy Olve wyszedł na dziedzińiec. Mimo to słyszała wyraźnie jego spokojne pytanie:

— O co chodzi?

I prawie równocześnie okrzyk:

— Zabij!

Odgłos upadającego ciała i nowy rozkaz rzucony tym samym głosem:

— Zostawcie go! Niech pocierpi, nim skona, zasłużyła na to.

Sama nie wiedziała, co robi. Nie zdając sobie sprawy z grożącego niebezpieczeństwa, wypadła za drzwi. Na jej widok mężczyźni się rozstąpili.

W szarej rannej poświacie zobaczyła go tuż za progiem, krew obficie broczyła z rany na brzuchu. Przypadła do niego.

— Olve — szepnęła — Olve... — Łzy ją oślepiały, ale ze względu na niego opanowała się, otarła oczy rogiem chustki.

— Bardzo cierpisz? — spytała szeptem.

Twarz miał wykrzywioną.

— Tyle zdołam wytrzymać... zasłużyłem na gorsze...

Ostrożnie pogładziła go po włosach.

— Sygrydo, może znajdziesz księdza — szepnęła. — Prędko...

— Księdza króla Olafa? — nie mogła powstrzymać się od zadania tego pytania.

— Tak.

Tuż obok stał mężczyzna wysokiego wzrostu, miał ostre rysy twarzy i lekko garbaty nos. Sygryda zwróciła się do niego.

— On prosi księdza.

— A po co mu ksiądz? — spytał śmiejąc się szyderczo. Sygryda zwróciła się ponownie do Olwego:

— Po co ci ksiądz?

— Do spowiedzi — głos jego był ledwo uchwytny.

— On chce się wyświadczyć — powtórzyła Sygryda stojącemu obok mężczyźnie.

Roześmiał się znowu grubiańsko, bezlitośnie.

— Spowiadać! On! Żył w pogaństwie jak pies, to niech zdycha tak samo!

Sygryda znów nachyliła się nad Olvem, usiłował coś powiedzieć. Z trudem dobywał słowa.

— Powiedz... Anundowi... że ja... żałuję... za moje grzechy... i za... ofiarne mięso... także... i ochrzczij siebie... i synów...

Sygryda skinęła głową, mówić nie mogła.

Olve zmagął się, by coś powiedzieć, w końcu jęknął.

— Przeżegnaj... mnie...

Spełniła jego prośbę.

Raz jeszcze w oczach konającego błysnęła iskra świadomości, poruszył ręką, jakby szukał Sygrydy. Ujęła jego dłoń

— Sygrydo... dzięki...

Bełkotał niezrozumiałe słowa. Po chwili głos zamarł, a zaraz potem głowa osunęła się na bok.

Czy długo siedziała bez ruchu trzymając rękę zmarłego, nie umiałaaby powiedzieć. Chciała płakać, nie mogła. Dopiero kiedy ktoś stanął obok niej, podniosła głowę — zobaczyła synów. Nie zdołała dobyć głosu, lecz kiedy uklękli po obu jej stronach, objęła ich ramionami.

W końcu trzeba było wstać, nic więcej uczynić nie mogła. Rozejrzała się wkoło.

W bladym świetle poranka budynki rzucały ostre cienie, broń lśniła zimnym blaskiem, ponure twarze mężczyzn rysowały się ostro, jakby były z kamienia. W odstępach między

domami widać Straumen i fiord. Wszystko jednak wydawało się martwe, jakby pod wpływem czarów stwardniałe, pozabawione życia niczym szkło.

„To wzgórze dużo widziało...” Kiedy słyszała te słowa? Spojrzała na zwłoki. Na twarzy Olwego malował się spokój.

— Kobieto!

Wstrząsnęła się słysząc ostry głos, obróciła się w stronę mówiącego. Nie był wysoki, ale tęgi, bystrooki, budził lęk.

— A wy kto? — spytała, choć wiedziała, z kim mówi. Spiorunował ją wzrokiem.

— Kimże ty jesteś, skoro nie poznajesz swego króla?

Śmiało patrzyła na niego i dziwiła się, dlaczego wcale się nie boi. Nagle pojęła. Nie miała czego się bać, skoro najgorsze już się stało.

— Byłam małżonką Olwego — odparła. Maleńkie słówko „byłam” piekło niczym otwarta rana.

— Czy mogę was prosić o łaskę, panie? — rzekła znowu, choć słowo „panie” niemal uwięzło jej w gardle.

Król podniósł rękę w sposób, który oznaczał, iż wolno jej mówić dalej.

— Olve umarł jako chrześcijanin. Chciałabym go pochować po chrześcijańsku.

Król przymrużył oczy, miała wrażenie, że błysnęły niczym ślepiec żmii.

— Nie! Był pogańskim psem i nie ma prawa do poświęconej ziemi.

Dał Sygrydzie znak, by odeszła.

Zanim weszła do izby, zwróciła się do mężczyzny stojącego w progu. Wskazała na wysokiego męża, z którym przedtem rozmawiała.

— Kto to? — spytała.

— Jeden z synów Arnego Arnmodssona z Giske, królewski namiestnik w Móre, na południu kraju. Na imię mu Finn.

Skinęła głową, raz jeszcze spojrzała na Olwego i weszła do świetlicy.

*

Trzy dni minęły od zgonu Olwego. Sygryda nie była obecna przy pochówku. Król nie zezwolił. Tylko Grjotgard, który podglądał z daleka, powiedział, że go pogrzebano na północnym stoku wzgórza.

Pierwszego dnia Sygryda siedziała jak skamieniała, jeśli ktoś ją zagadywał, nie odpowiadała. Kobiety pytały, dlaczego nie płacze, jak wszystkie inne owdowiałe niewiasty? Nie mogła płakać, bo jej cierpienie nie było żywe i palące, lecz lodowate, wyniszczające.

Wielu zamordowano w ciągu tych dni; zginął gospodarz z Maerinu, Björn z Saurshaugu oraz inni z okolicznych gmin. Olaf kazał stawić przed swoje oblicze kmieci, którzy w jego mniemaniu brali udział w zjazdach w Maerinie.

Kolejno sprowadzano ich jako jeńców. Niektórzy zachowywali dumną postawę, większość jednak przedstawiała żałosny widok, gdy padali przed królem na kolana.

„Znajdź sobie jakieś zajęcie — powiedziała Hilda córka Ingi dawno, bardzo dawno temu. — Bo jeśli będziesz miała ręce zajęte, ulży ci, choćby w najgorszej niedoli”.

Sygryda usiadła do krosien w Maerinie, przy nich też przesiedziała ostatnie dni.

Bała się rozmyślać, bo gdyby dała myślom swobodny bieg, chyba by oszalała. Zbyt dobrze pamiętała matkę. Chwilami natomiast wolałaby postradać zmysły — matka w obłędzie mniej cierpiała. A synami jej zajęliby się przecież i Tore, i Sigurd.

Jedno tylko podtrzymywało jej siły, pomagało zaciskać zęby. Oczekiwała dziecka — przed zgonem Olwego już przypuszczała, że jest w odmiennym stanie, teraz każdy dzień ją o tym upewniał.

Sygryda była w świetlicy, gdy król zwołał więc na dziedzińcu i odprawiał sądy nad ludźmi, którzy w jego mniemaniu brali udział w maerińskich obiatach.

Wiec — myślała rozżalona. Pamiętała, co Olve mówił o ustawach: że bronią praw każdego człowieka przed silniejszym, że wyznaczają obowiązki wobec słabszych.

Sprawa Olwego miała być przedłożona tingowi pierwsza. Sygryda nie wyszła z izby. W końcu przyszedł po nią, król chciał, by słuchała ogłoszenia wyroku.

Był krótki i bezlitosny.

Król orzekł, iż za zabójstwo Olwego nie należy się okup, choć był bezbronny, a Egge oraz wszelkie majątności do niego należące przechodzą na własność króla.

Sygryda prosiła, by ją dopuścili przed oblicze władcy, chciała bowiem przedłożyć swoją sprawę. Pozwolono jej mówić, stanęła w kręgu zbrojnych otaczających króla, na którym zasiadał Olaf. Wszystkie oczy śledziły każdy jej ruch. Twarz miała bladą jak chusta, a oczy pod łukami ciemnych brwi wydawały się ogromne.

We wzroku niejednego malował się podziw. Wielu bowiem mężów z królewskiej drużyny dziwiło się spokojowi milczącej niewiasty, która bolała bez jednej łzy. Znaleźli się też tacy, którzy znali Torego i rozprawiali innym, że jest siostrą namiestnika królewskiego w Haalogalandzie.

Na jej widok król pochylił się do przodu i łagodniejszym niż zazwyczaj głosem rozkazał:

— Powiedz, co leży ci na sercu!

— Chodzi o dwór w Beitstadzie. Zaliczyliście go, panie, do majątności, które przejmujecie w swoje władanie. Ale to były moje dobra, a nie Olwego, otrzymałam je w ślubnym darze!

Król w zamyśleniu gładził brodę. Chwilę przyglądał się smukłej postaci, delikatnym, a świadczącym o wrażliwości rysom, złocistym włosom wymykającym się spod czepca.

— Dostaniesz swoje dwory, ale przyjeżdżając w te strony będą je odwiedzał jak własne.

Sygryda miała wrażenie, że wszystka krew odpłynęła jej z twarzy, po czym spłonęła rumieńcem i spuściła wzrok. Nie, to niemożliwe, musiała źle zrozumieć.

Podniosła głowę. Król pochylony do przodu czekał na odpowiedź.

Przemówiła głosem spokojnym, a tak czystym i wyraźnym, że słyszeli ją wszyscy na całym dziedzińcu.

— Z radością powitam króla, który żyje według chrześcijańskiej wiary.

Oczy ich się spotkały, tym razem nie ona umknęła wzrokiem.

— Możesz zatrzymać swoje dwory — rzekł król, po czym głową dał znak, by się oddaliła.

Mężczyźni otaczający ich zwartym łukiem rozstąpili się, Sygryda szeroką drogą pośród tłumu wracała do świetlicy.

Tego dnia więcej nie wychodziła. Siedziała przy krosnach, gdy kolejno zapadały wyroki na mężów spotykających się w Maerinie.

Wieczorem wyroki miały być wykonane. Słyszała głosy na dziedzińcu, miała wrażenie, że słyszy pomruk wyczekiwania.

Nagle ponad ogólny szmer rozmawiających wzbił się krzyk: przeraźliwy krzyk odbił się echem między domami, nim zamarł. Zaraz potem dał się słyszeć nieludzki ryk.

Tore zataczając się wpadł do świetlicy, rzucił się ku matce, twarz miał pozieleniałą. Odepchnęła syna.

— Trzymaj się, Tore, tak jak by to zrobił ojciec — powiedziała twardo. — A teraz mów, co się stało.

— Oślepił Blotolfa z Gjevranu — wyrzekł drżącym głosem. — To Gyda krzyczała.

— A ten drugi?

Ludzie obecni w świetlicy skupili się wokół matki i syna.

— Haakon z Olvishaugu. Odrąbali mu ręce i nogi.

Zapadła cisza. Nagle Sygryda wybuchnęła dzikim przejmującym śmiechem.

— Agape... — wykrztusiła.

— Co ty gadasz? — spytała jakaś niewiasta. — Czy postradałaś rozum?

Sygryda nie przestawała się śmiać.

— Nie. Ale Olve uważał, że to słowo jest niczym zaczarowane!

Nim zmrok zapadł, wykonano wszystkie wyroki króla Olafa. Zaledwie kilku z tych, których król chciał sądzić, zdołało ujsć, byli to mieszkańcy Inndalenu, uciekli do

Szwecji, Olaf zagarnął ich dobra. Wielu zamordowano, a potem odebrano wszystko, co posiadali. Ucierpieli również tacy, którzy nie mieli nic wspólnego z gildiami w Maerinie.

Przed odjazdem król nakazał zburzyć chram, a w tym miejscu zbudować kościół i pozostawił księdza zabranego z Nidaros.

„Bukka”, statek Olwego, który czekał w Borgenfiordzie, spodobał się królowi. Kazał załadować na swoje okręty zapasy przywiezione na biesiadę, sprzęty domowe, makaty i kobierce, a nawet odświętne szaty przywiezione z Egge do Maerinu, a ozdoby i klejnoty należące do kobiet rozdawał, póki ich starczyło, swoim ludziom jako zdobyczne łupy. Dla wielu zabrakło, sprowadził bowiem z Nidaros ponad trzystu zbrojnych.

Sygyda prosiła o zezwolenie powrotu do swojego dworu w Beitstadzie, król odmówił. Miała odpłynąć z królewską drużyną. Nie mogła pojąć, dlaczego Olaf tak postanowił, skoro innych niewiast nie zabierał. Wolała o tym nie myśleć.

W dniu odjazdu stało się coś, co pozwoliło Sygydzie odgadnąć, kto sprowadził króla do Maerinu.

W królewskim orszaku znajdował się mężczyzna, na którego Sygyda zwróciła uwagę; towarzyszyło mu stale kilku barczystych, uzbrojonych po zęby pachołków. W tłumie schodzącym do przystani znalazł się w rzędzie poprzedzającym Sygydę.

W chwili kiedy mijali dziedziniec, jakiś chłopak ukryty w cieniu stodoły nagle wyskoczył i wbił nóż w brzuch owego człowieka. Chłopak od razu padł zarąbany, mężczyzna zaś przeraźliwie krzycząc wił się na ziemi.

Wszyscy stanęli, ksiądz ukląkł przy rannym, który szepcąc wyznawał grzechy. Sygyda była tuż przy nich, toteż posłyszała stłumiony głos księdza.

— Nie — mówił kręcąc głową. — Nie, Toraldzie, nie możesz wyznawać tego grzechu, jakby chodziło o zjedzenie mięsa w post. Chyba sam nie rozumiesz, jak wielki grzech popełniłeś...

Król ze świtą także się zatrzymali, biskup zauważył wzburzenie księdza i zawrócił. Tłum jednak ruszył naprzód, Sygryda nie mogła się ociagać, toteż nic więcej nie usłyszała.

— Czy dojrzałeś, co to był za chłopiec? — spytała Grjotgarda.

— Tak. Torgil syn Bjórna z Saurshaugu. A ten człowiek to Torald, królewski zarządca z Haugu.

1

W drodze przez fiord Sygryda prawie z nikim nie zamieniła słowa; na pytania odpowiadała zwięźle. Widok króla Olafa na pokładzie „Bukki” sprawiał dojmujący ból, a myśli, przed którymi się broniła, natarczywie powracały.

Przesunęła się na dziób statku, byle jak najdalej od króla; bryzgi wody spryskiwały twarz pochylonej nad relingiem.

Wiatr im nie sprzyjał, toteż z fiordu wypływali na wiosłach.

Widząc zmaganie się wioślarzy z krótką falą, z głębi serca życzyła królewskiej załodze przeciwnych wiatrów i wzburzonego morza.

Spojrzała w górę na smoczą głowę dumnie wzniesioną nad dziobnicą — Olve żartobliwie nazywał ją koźlą. Jakże chełpił się swoim okrętem i jak dbał o niego! Nawet teraz, kiedy daleko mu było do nowego, musiał być wyjątkowo dobry, skoro król go wybrał do tryumfalnej podróży fiordem.

Zwycięska podróż — pomyślała drwiąco i z trudem powstrzymując szyderczy uśmiech, przez ramię ogarnęła spojrzeniem szeregi królewskich pachółków. Król Olaf przy pomocy trzystu zbrojnych odniósł zaszczytne zwycięstwo nad garstką obecnych w Maerinie!

Wzrok jej znowu prześliznął się po statku. Należał teraz do króla, choć ona miała do niego większe prawo niż Olaf. Wychyliła się nad relingiem, patrzyła na wygięcia burt

zbiegających się przy dziobnicy i na zdobiące ją misterne rzeźby. Olve uważał, że zwykły snycerz nie potrafi odpowiednio upiększyć takiego statku. Aż do Stjórdalenu posyłał po mistrza słynnego w całym trondheimskim okręgu.

Po obu stronach, jak również na stępce, wyryte były runy. Miały strzec okrętu, sprowadzać pomyślne wiatry. Ze złośliwą radością pomyślała, że królowi nie bardzo sprzyjały. Porywiste podmuchy rzucały okrętem, ludzie, którzy radośnie żartując wyruszali z Maerinu, pracowali teraz cicho skuleni przy wiosłach. Może Odyn, pan runów, jeszcze nie stracił do cna swej mocy i użyje jej przeciwko królowi. Może dawni bogowie nie zostali ostatecznie pokonani...

Sygyda przyrzekła Olwemu, że przyjmie chrzest. Nie obiecywała jednak, w co będzie wierzyła, a w żadnym razie w Boga króla Olafa! Nie mieściło się jej w głowie, że król służy temu samemu Bogu, o którym mówił Olve. To jednak nie miało znaczenia. Bo ostatecznie cóż Olve zyskał uginając kolana przed swoim Bogiem? Nic prócz zdrady i śmierci.

— Ześlij silniejsze wichry, Odynie! — szepnęła zwracając lica w stronę wiatru i bryzgów piany. Narastała w niej nienawiść do Olafa, z winy którego Olve, uosobienie miłości, życia i ciepła, pozostał w Maerinie martwy i zimny.

Teraz dopiero uprzytomniła sobie wyraźnie, że nigdy już nie ujrzy Olwego, nigdy więcej nie spocznie w ramionach małżonka, przelotny uśmiech nie pojawi się na jego twarzy, nigdy więcej nie poczuje ciepła jego ciała.

W nienawiści do króla dawała chociaż częściowo upust okrutnemu cierpieniu. Obejrzała się i ukradkiem zerknęła na przysadzistą postać; stał tak, jakby był zrośnięty z pokładem. Nagle błysnęła jej myśl, czy nie zamierza uczynić z niej swojej nałożnicy, może dlatego zabrał ją ze sobą. Rozmawiał ze sternikiem: widziała, że się śmieje, wtem obejrzał się, oczy ich się spotkały.

Szybko spuściła wzrok, miała wrażenie, że nienawiść biła z jej oczu. Pomyślała, że gdyby istotnie król zamierzał ją zniewolić, ona nie pospieszy się jak Gudrun córka Żelazobrodego, gdy chciała zamordować Olafa Tryggvassona. Zaczeka, aż król jej zaufa, nawet choćby miała udawać

miłość do tłustego Olafa. Ze złośliwą radością myślała, że jest dość zarozumiała, by wziąć fałszywą miłość za prawdziwą. A kiedy nadejdzie czas, wbicie noża w jego ciało osłodzi choć trochę doznane poniżenie.

Ktoś dotknął jej ramienia. Obejrzała się, to Grjotgard. Na widok syna wzdrygnęła się, jakże ogromnie podobny był do Olwego. Doznała uczucia bólu dojmującego niczym uderzenie biczem, lecz uprzytomniła sobie, że jednak coś z Olwego jej pozostało, i to wrażenie ją rozgrzało mimo lodowatej nienawiści.

Pod Nidaros, w gródku zwanym Kaupang, odkąd król wziął w opiekę handlową osadę z czasów Olafa Tryggvassona, Sygryda wraz z synami została umieszczona w jednej z izb królewskiego dworzyszczu.

Mogli poruszać się swobodnie, Sygryda jednak wolała się nie pokazywać. Mężczyźni obrzucali ją wymownymi spojrzeniami. Dano jej odczuć, że już nie była dumną panią **Sygryda** z Egge, lecz zwykłą kobietą pozbawioną męża, który by stanął w jej obronie. Nawet królewscy pachotkowie mieli odwagę ją zaczepiać.

Pewnego dnia Grjotgard jej towarzyszył. Sygryda złąkała się o syna, bo chłopak nieprzytomny z wściekłości o mało nie rzucił się na mężczyznę, który obraził matkę grubiańskim żartem.

Nieraz obawiała się o starszego syna; od dzieciństwa był porywczego usposobienia. Opanowywał się z trudem, zanim gorzkie doświadczenie nauczyło go, że warto się zastanowić nad każdym uczynkiem. Ostatnio bywał zazwyczaj spokojny i rozważny. Czasem jednak gniew brał górę i wtedy wybuchał z jeszcze większą siłą. W takich chwilach nawet Olve nie potrafił go ułagodzić. Ludzie bali się go trochę, toteż chłopak nie miał licznych przyjaciół.

Młodszy syn, Tore, stale wesoły i łagodny, był bardziej ujmujący w obejściu. Sygryda jednak zauważyła, że jeśli nawet okazywał posłuszeństwo, to nie zawsze świadczyło o uległości. A jeśli czegoś rzeczywiście chciał, prędzej lub później zawsze dopiął swego.

W pierwszych dniach pobytu na królewskim dworze Sygryda z zadowoleniem stwierdziła, że król nie kazał jej sprowadzić do siebie. Jednakże po upływie paru tygodni, które dzień po dniu spędzała beczynnie siedząc na ławie służącej do spania i rozmyślając o swoim losie, czas zaczął się jej nieznośnie dłużyć. Początkowe dojmujące cierpienie ustępowało miejsca wrażeniu beznadziejności. Myślała, że już wszyscy o niej zapomnieli, że jest skazana żyć nadal w pustce szarych dni. Siedziała albo leżała na ławie, ledwo odróżniając dzień od nocy.

Grjotgard wyrwał ją z tego przygnębienia.

— Musisz posłać, matko, wieść do twoich braci.

Sygryda potrząsnęła głową.

— A kto zanieś im wieść od nas? — spytała. — Nawet nie mam czym zapłacić.

Chłopak usiadł obok matki i zamyślił się.

— Czy nie znasz nikogo na królewskim dworze? — spytał po chwili.

— Owszem — odpowiedziała niechętnie.

— Kogo?

— Skald Sigvat gościł w Egge, ale dawno temu.

— Skald, który przesiadywał w Egge, zanim król Olaf jesienią przybył do Steinkjeru, to był Sigvat?

Potwierdziła skinieniem głowy. Dodała też, że Olve rozmawiał z nim w Kaupangu na początku tego roku; wówczas to Sigvat przyrzekł w potrzebie wstawić się za nim u króla.

Grjotgard zerwał się i wypadł z izby, zanim zdążyła powiedzieć, że jeśli nie szukała go dotychczas, miała po temu dostateczne powody.

Wrócił zniechęcony. Sigvat był znacznym mężem, należał do świty królewskiej, toteż niełatwo było dotrzeć do niego.

Bezseną noc Sygryda spędziła na rozważaniu możliwości uzyskania pomocy od Sigvata. Przyrzekł wstawiennictwo Olvemu, może więc nie pojmie tego źle, jeśli teraz ona do niego się zwróci.

Nazajutrz Grjotgard zabrał ze sobą Torego. W końcu udało im się zatrzymać Sigvata na dziedzińcu. Od razu też rzekli, że matka pragnie z nim mówić.

Prosił, by natychmiast przysłała do kościoła, gdzie będzie na nią czekał.

Poszła sama, spotkali się w odrzwiach. On również był sam.

Nie zwlekając przystąpiła do sprawy.

— Czy wiesz, dlaczego król mnie tu sprowadził i co zamierza ze mną uczynić?

Sigvat kręcił głową przecząco.

— Słyszałem, że niejeden mąż z królewskiej drużyny chętnie by cię zaślubił, nie sądzę jednak, by którykolwiek zdobył się na odwagę proszenia króla o ciebie.

— Nie chcę nikogo — odparła spuszczać wzrok.

— Może nadejść dzień, kiedy tego pożałujesz — rzekł Sigvat.

Zamyślił się. Po chwili chwycił ją za rękę, czarne oczy zapłonęły w półcieniu.

— Sygrydo, czy mogłabyś wyjść za mnie?

Miała wrażenie, że kolana się pod nią uginają, oparła się o mur.

— Sigvat... — powiedziała tylko.

Opasał ją ramieniem i chciał przyciągnąć ku sobie, ale mu się wyrwała. Jak na jawie widziała przed sobą twarz Olwego.

— Sygrydo — szepnął Sigvat — przy mnie zapomnisz o Olvem... — Czują jego gorący oddech na twarzy.

Nie, ona nie chciała zapomnieć Olwego!

— Nie! — zaprzeczyła stłumionym, zrozpaczonym głosem. Wydierała mu się rozpaczliwie. — Nie, Sigvat!

— Sygrydo — powtórzył. — Lepiej, byś natychmiast wyszła za mąż, inaczej nie ręczę, co może cię spotkać.

A więc nawet i to chce wykorzystać przeciwko mnie — pomyślała.

— Mniemasz, że lepiej być małżonką skalda niż nałożnicą króla? — spytała rozgorączkiona.

Puścił ją jak oparzony. Po czym bez słowa odszedł.

Sygyda spędziła bezsennie następną noc. Jeszcze jedną z licznych bezsennych nocy w Kaupangu.

Myślała o Sigvacie, a równocześnie wsłuchiwała się w nocne odgłosy dochodzące z innych kątów izby. Przywykła już do nich, do chrapania, postękiwania, zgrzytania zębami, do tłumionych śmiechów i szeptów tych, którzy jeszcze nie zapadli w sen.

Pamiętała, że niegdyś była bliska pokochania Sigvata. Ale dawno temu! Teraz patrzyła na to niby duch powracający z zaświatów, czuła się bowiem niczym czara opróżniona z dawnej zawartości.

Mimo to dotknięcie Sigvata wypełniło ją ciepłem. Może właśnie dlatego mu się oparła?

Prawda natomiast kryła się w jego słowach, gdy dał do zrozumienia, że los jej spoczywa w ręku króla. Mógł ją wziąć za nałożnicę albo oddać za żonę któremukolwiek ze swoich ludzi.

Powinna wyjść za mąż czym prędzej, twierdził Sigvat. Wiedziała przecież, że odrzucenie powtórnego małżeństwa byłoby postępkem nierozsądnym; wdowa zazwyczaj szybko poślubiła innego. Potrzebowała obrońcy, sama to stwierdziła, synom także winna zapewnić opiekuna, który by im pomagał. Jednakże na samą myśl poślubienia królewskiego stronnika czuła się niemal chora; ciągle miała przed oczami nieubłagane twarze mężczyzn z Maerinu.

Sigvat także był w Maerinie. Widziała go tam, zauważyła również, że ciągle usuwał się w cień. Ale był tam i należał do królewskiego orszaku.

Czyż wszyscy mężczyźni w kraju nie są teraz stronnikami króla? Nawet jej brat Tore został jego namiestnikiem. Musiała przyznać, że lubiła Sigvata; na pewno lepiej wyjść za niego niż za innego z królewskich zwolenników. Zresztą wszystko lepsze niż zostać nałożnicą Olafa.

W końcu doszła do przekonania, że była niesprawiedliwa wobec Sigvata. On nie chciał jej wykorzystać; ofiarując jej małżeństwo postąpił uczciwie.

Potem znowu wróciła myślą do sprawy, z którą poszła do Sigvata: chciała uzyskać zezwolenie na powrót do Beitstadu.

Jak najchętniej osiadłaby w spokoju w swoich majątnościach jako wdowa. Guttorm Haraldsson bez wątpienia jej pomoże, wszak zawarł braterstwo krwi z Olvem, więc i nad synami jego roztoczy opiekę. Zamierzała zabrać Tore do Beitstadu i niemal cieszyła się, że nie powróci do Egge. Bo bez Olwego nie wytrzymałaby w Egge.

Ciągle wszystko rozważała od początku. Olve zawsze rozstrzygał wszelkie sprawy, teraz nie miała kogo prosić o radę.

W końcu obudziła synów.

— Sigvat pytał, czy zechcę go poślubić — szepnęła. — Jak sądzicie, co powinnam uczynić?

Minęła chwila, nim wytrzeźwili ze snu, musiała kilkakrotnie powtarzać pytanie.

— A co ojciec by ci poradził, jak myślisz? — spytał Grjotgard.

Uśmiechnęła się słysząc niemądre pytanie.

— Nie wiem — odparła.

Chwilę szeptali.

— Nie masz wielkiego wyboru — rzekł w końcu Tore. I to była prawda.

Kiedy szary świt zajrzał przez dymnik oraz okienka pod dachem, Sygryda wstała i poszła na jutrznię.

Tak jak się tego spodziewała, Sigvat był w kościele. Klęczał przed ołtarzem wraz z królem i jego świtą.

Nabożeństwo odbywało się inaczej niż w Steinkjerze, kilku księży weszło w procesji ze śpiewami w obłokach wonnych kadzideł. Sygryda nie usiłowała brać udziału w odprawianych modłach. Nie mogła oderwać oczu od króla klęczącego u stóp ołtarza. Miała wrażenie, że ponad księżowskie pienia wzbija się krzyk ludzi katowanych w Maerinie.

Po skończonym nabożeństwie stanęła w pobliżu wyjścia, Sigvat wychodząc wśród świty nie mógł jej nie zauważyć.

Dostrzegł ją, spojrzeli sobie w oczy. Sygryda uklękła udając, że się modli. Po chwili poczuła, że położył jej rękę na ramieniu, podniosła się zatem i wyszli do przedsionka...

— Wszystko rozważyłam i chętnie wyjdę za ciebie, Sigvacie — rzekła.

Patrzył na nią, jakby zobaczył upiora.

— A cóż miało znaczyć to, co powiedziałaś wczoraj?

— Nie wiem, co myślałam. Od śmierci Olwego nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje.

— Myślałem, że chciałaś mi dać do zrozumienia, iż nie jestem ci równy urodzeniem...

— Ani mi to do głowy nie przyszło.

— O mój Boże! — jęknął chwytając ją za ramię. Po czym zaczął mówić powoli: — Sygrydo, wczorajszego wieczora rozmawiałem o tobie z królem. Ale nie dla siebie. Przedłożyłem mu sprawę Kalfa syna Arnego, który rzekł, iż chętnie cię poślubi, i był wielce rad mojemu wstawianictwu. Ojciec jego jest królewskim namiestnikiem, pochodzi z rodu Arnmoda, jarla Móre; sądziłem, iż będzie dla ciebie odpowiedni.

Sygryda zbladła.

— Czy ma brata imieniem Finn? — spytała.

— Tak. Znasz go?

— Widziałam go.

— Król był dobrze usposobiony — mówił dalej Sigvat. — Nie tylko natychmiast przyzwolił, ale nawet oddał mu Egge i wszystkie majątności Olwego, przyrzekł także mianować go namiestnikiem.

Sygryda milczała. Nie mogła dobyć słowa, choćby za cenę życia. A kiedy Sigvat ją objął, nie stawiała oporu, lecz przygarnęła się ku niemu, tuląc się z niepojętą dla niej samej żarliwością.

— Sygrydo! — szepnął porywczo wypuszczając ją z objęć. — Nie powinnaś była tego robić...

Uciekła... jak najdalej od Sigvata i zamętu swoich myśli.

Kalf syn Arnego wyszedł z sali posłuchań królewskiego dworzyszczca, oślepiiony jasnym światłem dziennym mrużył oczy. Zatrzymał się na chwilę, zanim skierował się ku jednemu z mniejszych budynków. Przeszępując próg pochylił się, po czym stanął, by znowu przywyknąć do półmroku zalegającego izbę. Po chwili zwrócił się do kobiety siedzącej tuż przy drzwiach.

— Czy tutaj przebywa Sygryda córka Torego, z Egge?

Kobieta zamierzała coś odburknąć, lecz powstrzymała się poznając jednego z najzaufańszych królewskich dworzan.

— O, tam siedzi — wskazała Sygrydę, po czym dodała ze złośliwym uśmiechem: — Ale głupiej dumy pani na Egge musiała się wyżyć.

— Bacz, co gadasz! — ofuknął ją Kalf i podszedł do ławy, na której siedziała Sygryda.

Nie podniosła oczu na zbliżającego się. Kalf usiadł obok w milczeniu. Sygryda na pół odwrócona do niego patrzyła w ziemię, on zaś na wdzięczny zarys jej szyi, na ręce spokojnie złożone na kolanach. Wspomniał słowa kobiety siedzącej przy wejściu i rozważał, ile podobnych obelg musiała tu zaznać.

Widział jej postawę w Maerinie, słyszał odpowiedź daną królowi Olafowi, teraz zamyślony rozglądał się po nędznej ciasnej izbie, w której ją umieszczono razem ze sługami.

Na jednej z ław podchmielony mężczyzna zalecał się do dziewczki. Szeptał jej do ucha, ona zaś śmiała się niskim gardłowym śmiechem, a kiedy ją przygarnął, cienko piszczała. W kącie dwóch parobków grało w kości, nie szczędząc siarczystych przekleństw zarówno pogańskich, jak i chrześcijańskich.

Znowu spojrzął na Sygrydę. Wyglądała niczym łania zbłąkana pośród stada bydła.

Dotknął jej ramienia, niewiasta drgnęła, jakby chciała uciec, lecz pozostała na miejscu.

— Zwę się Kalf syn Arnego Arnmodssona z Giske. Należę do królewskiego orszaku, król Olaf zezwolił, bym ciebie poślubił.

Sygryda z wolna zwróciła się ku niemu.

— A co z przyzwoleniem moich braci, Torego Hunda z Bjarkoy i Sigurda Toressona z Trondarnes?

— Tore Hund jest namiestnikiem królewskim — odparł Kalf. — Nie będzie przeciwny małżeństwu. A nie wyobrażam sobie, by twój drugi brat zechciał opierać się woli króla.

Sygryda milczała.

— Król darował mi Egge i wszystkie inne majątki, które... które... — przerwał.

— Które należały do Olwego — dokończyła bezdźwięcznym głosem.

— Tak — potwierdził z podziwem patrząc na nią. — Nie będziesz już musiała znosić obelżywych słów jak te, które wyrzekła tamta kobieta — dodał z błyskiem stanowczości w oczach.

Sygryda wzruszyła ramionami.

— Mnie to nie wadzi. Nie wiedzą, co mówią.

Kalf miał wrażenie, że choć siedzą obok siebie, dzieli ich przepaść. A kiedy spróbował objąć ją, odezwała się lodowatym głosem:

— Czy sądzicie, że zachowując się nieprzystojnie wzbudzacie poszanowanie dla mnie, Kalfie synu Arnego?

Nic nie odpowiedział, tylko szybko cofnął rękę. Ona zaś mówiła dalej tym samym tonem:

— A nadto nie wiadomo, czy zechcecie poślubić kobietę, która nosi w łonie dziecko innego mężczyzny.

Odruchowo powiódł wzrokiem po smukłej postaci.

— Kiedy? — spytał.

— Około godów.

Obejrzeli się, bo ktoś wymówił imię Sygrydy. Giermek królewski ich szukał.

— Król życzy sobie mówić z wami, pani.

Sygryda zdumiała się. Pierwszy raz, odkąd została uprowadzona, ktoś zwracał się do niej z czcią należną białołowie jej urodzenia.

— Z wami także, synu Arnego — dodał giermek zauważwszy Kalfa.

Wstali i razem wyszli. Kalf jednak zatrzymał się przed progiem sali posłuchań. Ujął Sygrydę za obie ręce i choć spuścił oczy, powiedział wyraźnie:

— Ja... chętnie cię poślubię, chociaż jesteś brzemienna. I uczynię wszystko, co leży w mojej mocy, aby być dobrym ojcem dla dziecka oczekiwanego przed godami i dla twoich synów. Nie życzę ci źle, Sygrydo.

Spojrzała na Kalfa i wzruszyła się widząc, że rumieni się jak młodzik.

Niemal zaraz wezwano ich przed oblicze króla, który już wcześniej odprawił wszystkich obecnych, pozostał z nim wprawdzie ksiądz, lecz trzymał się na uboczu.

— A więc u niej byłeś, Kalfie — zauważył niezadowolony Olaf. — Sam zamierzałem przedłożyć Sygrydzie moje zamysły, ale zdaje się, że mnie ubiegłeś.

Sygryda zerknęła na Kalfa, była ciekawa, jak przyjmie nagane. Stał na lekko rozstawionych nogach, w postawie jego była pewność siebie i spokój. Tylko na mgnienie oka spuścił wzrok, po czym bez zmieszania spojrzał na króla.

— Sądziłem, że milej jej będzie, jeśli przyjdzie tu nie sama.

Była mu wdzięczna za życzliwość. I znowu spojrzała na niego.

Był silnej budowy, wzrostu trochę powyżej średniego, ani brzydki, ani urodziwy. Twarz miał raczej pospolitą, oczy niebieskie, jasne włosy, szerokie dłonie z grubymi i krótkimi palcami. Płaszcz odrzucony z ramion był szary, grubo tkany, podbity ciemnogramatowym podszyciem.

Król roześmiał się, po czym zwrócił się do Sygrydy:

— Widzisz, jak miłego i troskliwego męża ci znalazłem. A nadto powrócisz do Egge nie mniej bogata niż dawniej. A zatem może teraz pojdziesz, że Olaf syn Haralda żyje według chrześcijańskiej nauki?

Sygryda milczała. Pomyślała, że skald Sigvat w większej mierze przyczynił się do wyboru małżonka dla niej niż król.

Spostrzegła jednak, że Olaf nie spuszcza z niej wzroku, wyraźnie oczekiwał odpowiedzi.

— Tak, panie — odparła pochylając głowę.

— Ucieszyłem się widząc cię dzisiaj w kościele na jutrzni — powiedział król znacznie łagodniejszym głosem, a wobec jej milczenia ciągnął dalej: — Czy pierwszy raz byłaś w kościele?

— Nie. W Steinkjerze za czasów jarła Svena był kościół i ksiądz.

— Czyś ochrzczona?

— Nie. Ale Olve przed śmiercią przykazał mi ochrzcić siebie i synów.

Król spojrział na nią ostro.

— Czy Olve był chrześcijaninem?

— Tak, panie, jakom rzekła w Maerinie.

— Jeśli był chrześcijaninem, dlaczego nie prosił o księdza?

— Prosił, panie, ale mu odmówiono.

Król, purpurowy z gniewu, zerwał się z siedziska.

— Mów zaraz, kto konającemu odmówił kapłańskiej posługi? — krzyknął.

Sygyda ponownie spojrzała na Kalfa Arnessona. Teraz mogła wyrzeć zemstę na jego bracie, Finnie, który drwił z prośby Olwego o księdza. Ale Kalf okazał jej życzliwość; nie chciała mu odpłacić zdradą.

— Maerin już dosyć smutków przyczynił, panie. Nie-sprawiedliwość nie zostanie naprawiona, jeśli ściagnę na kogoś nieszczęście.

Król usiadł z powrotem, ale patrzył groźnie.

— W Maerinie nikomu krzywda się nie stała. Kłamiesz i dlatego nie możesz nikogo wymienić! Będiesz miał co robić, Kalfie, nim ją okiełznasz. A ty, Sygydo, przyjmiesz chrzest jak najprędzej. — Skinął na księdza. — Ksiądz Jon wyłoży ci chrześcijańską naukę, masz pilnie słuchać wszystkiego, co powie!

Dał im znak, by odeszli, lecz Kalf się ociągał.

— Czy nie da się znaleźć przystojniejszej kwatery dla Sygydy? — spytał.

— Pogadaj z ochmistrem — król odprawił ich gniewnym ruchem ręki.

— Zaczekaj tu — powiedział Kalf do Sygrydy, kiedy wyszli na dziedziniec razem z księdzem.

— Czy wiesz cokolwiek o chrześcijańskiej nauce? — spytał ksiądz, mały człowieczek o okrągłej twarzy. Mówiąc ciągle mrugał oczami, a słowa wymawiał w jakiś dziwny sposób. Sygryda ledwo go rozumiała. Pewno pochodził z Anglii.

— Trochę — odparła.

— Powiedz, co wiesz!

Śmiało patrząc wprost przed siebie Sygryda wyliczyła dziesięcioro przykazań, których nauczył ją ksiądz Anund w Steinkjerze.

— Dobrze. I co więcej?

— Umiałam wyznanie wiary — rzekła Sygryda. — Ale zapomniałam. Wiem nadto, że podczas mszy ksiądz jest narzędziem Bożym, gdy przemienia wino i chleb w ciało i krew Chrystusa, a msza jest odnowieniem Jego ofiary, którą poniósł umierając na krzyżu dla wybawienia ludzi.

— Niewiele ci pozostało do nauki — zauważył ksiądz coraz prędzej mrugając oczami.

Sygryda nie odpowiedziała, była bardzo zmęczona. Objeżdżała się na dźwięk głosu Kalfa, który wszedł na dziedziniec z ogromnym, tęgim mężczyzną.

— Odpowiednie pomieszczenie dla Sygrydy córki Torego? — rzekł gruby mężczyzna ze śmiechem trącając łokciem Kalfa. — To chyba w twoim łóżu...

Kalf ubawiony spojrzął na Sygrydę.

— Nic bym nie miał przeciwko temu. Ale wątpię, żeby to było po myśli króla.

Sygryda poczuła się nagle strasznie nieszczęśliwa. W oczach jej się ćmiło, Kalf widząc, że się zachwiała, chwycił ją w ramiona.

— Czyś chora? — spytał przestraszony.

— Wiesz, jak ze mną jest — usprawiedliwiła się po chwili, choć dobrze wiedziała, że to zwykła wymówka, bo przyczyna była inna. — Od rana niedobrze się czuję.

— Jadłaś? — spytał Kalf.

— Nie — przyznała.

Ochmistrz Björn spojrział na nią badawczo. Twarz miała wychudłą i brunatne cienie pod oczami.

— Chyba nie pierwszy raz, odkąd jesteś na królewskim dworze, zaniedbałaś posiłku — zauważył. — Zaprowadź ją do świetlicy, Kalfie, i dojrzyj, by jej podano uczciwy posiłek, inaczej obawiam się, że długo poczekaś z weselem!

Sygyda czuła się tak słaba, że nie tylko się nie gniewała, ale była rada, gdy Kalf objął ją i prowadził do izby.

— Czy dobrze wam, pani Sygydo? Może czego potrzebujesz? — W głosie kobiety brzmiała życzliwość, usłużność, Sygyda była wdzięczna, choć wiedziała, że Kalf sownie opłacił jej troskliwość.

Leżała w świetlicy, dokąd przeniesiono ją i jej synów. Dzień był chłodny, miłe ciepło promieniowało od komina. Ogień wesoło trzaskał, woń chleba pieczonego na drugim palenisku rozchodziła się po izbie — Sygydzie było dziwnie błogo.

Otworzyła oczy. Przypatrywała się płomieniom liżącym dno olbrzymiego kotła. Powiodła wzrokiem wzdłuż draga, na którym wisiał, aż do otwartego dymnika, gdzie na słonecznym tle kłębił się dym. Ale wolała patrzeć na płomienie tańczące wokół osmolonego dna kotła: przygasały, to znów rozbłyskiwały, mieniły się barwami złocistoczerwonej do zielonobłękitnej, splatały się jakby pieściwie albo groźnie wystrzelały w górę.

Ogień — Loki — przyjaciel i wróg bogów, jest sługą ludzi, dopóki trzymają go na uwięzi, lub zagładą świata, jeśli się wyzwoli.

Kobieta najęta do posługi przyniosła łagiewkę kwaśnego mleka. Sygyda uniosła się i piła wsparta na łokciu.

— Pasiesz mnie niczym tucznego cielaka — zauważyła.

Trzeci dzień już nie wstawała. Kiedy dzięki pomocy Kalfa dotarła do świetlicy, pociemniało jej w oczach, po odzyskaniu przytomności leżała na ławie.

Teraz nie mogła oderwać oczu od płomieni, równocześnie zaś wola życia odradzała się w niej stopniowo.

„Jesteś prężniejsza niż trzcina” — powiedział Guttorm syn Haralda przed wielu, wielu laty. A przecież jej wola wcale nie była prężna, odkąd się załamała, coś się stało, coś niepojętego dla Sygrydy.

Teraz biegnąc myślą wstecz lepiej rozumiała, że wszystko musiało obracać się na złe, bo ogromnie siebie zaniedbała. Rozmowa na dworskim dziedzińcu była ostatnią kroplą, która przepełniła miarę: wola przetrwania załamała się doszczętnie.

Czy po to broniła się przed szaleństwem, aby zmusić się do dzielenia łoża z Kalfem synem Arnego, którego ani znała, ani pragnęła?

Wszedł niewolny z naręczem drzewa, złożył ciężar w pobliżu paleniska i dorzucił kilka szczap. Ogień sypanął iskrami, potem jakby na chwilę wstrzymał oddech, zanim żywiej rozbłysnął. I znowu płomień wiły się wzdłuż polan, większe obejmowały je szponami żaru, małe podskakiwały, jakby chciały dosięgnąć dymnika i słońca. Sygryda miała wrażenie, że budząca się w niej od nowa chęć do życia podobna jest owym drobnym gorącym płomyczkom — ledwo się żarzyła, a potem płonęła znowu jasnym spokojnym blaskiem.

Przyszło jej na myśl, że życie jest nieujarzmione. Nawet jeśli pojedynczy człowiek musi się ugiąć, płynie ono dalej fala za falą, pokolenie za pokoleniem. Równocześnie zaś jest kruche i wątłe. Owego ranka, gdy Olve skonał, zgasło niemal w mgnieniu oka.

Mimo to on żył nadal w synach, w dziecku, które nosiła pod sercem. A wszak Olve mówił także o życiu po śmierci.

Czyżby płomień życia nigdy nie zamierał, a tylko przechodził w innego człowieka, ożywiał wszystko, co istnieje i rośnie w lasach, na polach — jak twierdzili starcy? Czy też po wygaśnięciu na ziemi rozkwita gdzie indziej? Czy istnieje Folkvang albo Gimle, gdzie spotkają się z Olvem? Przecież ci, którzy się kochali, spotykają się po śmierci w Folkwangu, siedzibie Frei, tak mówiły dawne mity.

Olve często prawił o miłości, lecz innego rodzaju. Powiadał, że Bóg jest miłością.

Teraz trzeba będzie ugiąć kolana przed Bogiem króla Olafa, przed Tym, w imię którego król kazał mordować i okaleczać...

— Olve — szepnęła zamykając oczy i kryjąc głowę w ramionach — jeśli istnieje drugie życie, jeżeli gdzieś na mnie czekasz i możesz mnie usłyszeć — pomóż mi teraz.

Nagle przypomniała sobie słowa, które wypowiedział dawno temu przed bitwą pod Nesjarem: „Gdybym nie powrócił do ciebie, wszystko, co mi dałaś, stanie się twoim bogactwem”.

Zaczynała pojmować, co miał na myśli, bowiem wspomnienie tego, że stanowili jakby całość, że zachowali szczerłość i uczciwość we wzajemnym stosunku, teraz rzeczywiście osładzało jej cierpienie.

„Wiele jest rzeczy, które równocześnie sprawiają ból i radość” — to także były słowa Olwego.

O iluż rzeczach mówił, a ona ich nie rozumiała!

Dzisiaj, kiedy usiłowała przypomnieć sobie każde jego słowo, uprzytomniła sobie, ile z niego zachowała, ile myśli Olwego głęboko zapadło jej w serce. Wiedziała, że musi tego bronić, musi starać się lepiej zrozumieć, aby przekazać tę spuściznę dzieciom, tak jak on by uczynił.

Chyba spała, ale nie zdawała sobie sprawy, jak długo, ostatnio czas niemal przestał dla niej istnieć. Obok na ławie siedział Kalf syn Arnego. Uśmiechnął się widząc, że otworzyła oczy.

— Jak się czujesz? — spytał.

Sygyda nie od razu odpowiedziała, wpierywając wzrok w świątelnicy. Ostatnimi dniami ludzie darzyli ją serdecznością i życzliwością. Wiedziała, że tak postępowali, bo znowu była panią na Egge i miała poślubić królewskiego namiestnika. Ale to było jej miłe. Czowała także nawrót sił i nagle uświadomiła sobie, że od wyjazdu z Maerinu nie wzięła żadnej roboty do ręki.

Spojrzała na Kalfa Arnessona. Bądź co bądź był dobry, niepodobny do swego brata Finna ani z postaci, ani z usposobienia. Patrzyła na spokojne oczy, na gładką twarz o trochę za grubych rysach i była przekonana, że mówił prawdę zapewniając, iż dobrze jej życzy. Może nie tak źle będzie powrócić z Kalfem do Egge, byle nie spodziewać się po nim zbyt wiele.

Położyła rękę na jego dłoni.

— Znacznie lepiej się czuję — rzekła, a chcąc nazwać go po imieniu dodała: — Dziękuję ci za wszystko, co uczyniłeś dla mnie, Kalf!

Oczy jego rozbłyły, ujął jej dłoń w obie ręce, odpowiedziała mu uśmiechem.

— Jeszcze nigdy nie widziałem twojego uśmiechu — zauważył i jakby przypominając sobie coś powiedział: — Mam podarunek dla ciebie.

Wyjął skórzaną sakiewkę i podał ją Sygrydzie, a kiedy rozwiązywała rzemyk, na kolana jej posypały się sprzączki, brosze i łańcuszki. Zaniemówiła. Były to jej własne klejnoty, które Olaf rozdał swoim ludziom w Maerinie jako łupy.

— Skąd?... — spytała po chwili.

Kalf przyglądał się Sygrydzie z wielką uwagą.

— Namówiłem posiadaczy, żeby się z nimi rozstali.

Oglądała wszystko. Z wielu drobiazgami łączyły się wspomnienia. Złotą sprzączkę niegdyś otrzymała od Torego owej jesieni przed zaślubieniem Olwego, sznur bursztynów był darem Olwego w rok po weselu.

Cieszyła się odzyskaniem tych rzeczy, ale może Kalf rozważniej by uczynił darowując jej co innego. Nie wiedziała, co począć lub powiedzieć, gdy napotkała jego wzrok. Nie chciała jednak sprawić mu zawodu.

W milczeniu ujęła jego rękę i na mgnienie oka przytuliła do niej policzek. Kalf ciężko westchnął.

— Sygrydo — szepnął. Z oczu jego wyczytała, jak bardzo pragnął przygarnąć ją do siebie. Ona natomiast miała ochotę się odsunąć, na szczęście w świetlicy było pełno ludzi. Drgnęła na myśl, że wkrótce zostaną małżonkami.

Kalf także zapewne myślał o ślubie, bo zaczął pytać o księdza.

— Co rzekłaś wczoraj księdzu Jonowi? — spytał. — Był wielce poruszony, podobno mówił o tobie z biskupem. Teraz biskup Grimkjel chce, byś do niego przyszała, jak tylko wrócisz do sił.

Sygyryda usiłowała sobie przypomnieć rozmowę z księdzem, miała wrażenie, że powiedziała za wiele.

— Mówiłam z nim jak w odurzeniu. Nic nie pamiętam. Co on opowiadał?

— Tylko tyle, żeś lepiej obeznana z chrześcijańską nauką niż inni poganie, z którymi miał do czynienia, a nawet twierdził, że lepiej niż wielu ludzi mieniących się chrześcijanami. — Zawahał się, po czym spytał: — Czy prawdą jest, że Olve był chrześcijaninem, jako rzekłaś królowi?

Sygyryda potwierdziła, Kalf się zdumiał.

— Czy nie zamierzali składać obiaty w Maerinie?

Sygyryda potrząsnęła głową.

— Dlaczego nie chciałaś powiedzieć królowi, kto odmówił Olwemu kapłańskiej posługi?

— To był twój brat, Finn — odrzekła mu prosto w oczy.

Kalf spuścił wzrok i długo milczał, w końcu rzekł:

— Dzięki ci!

Nagle między nimi wyrosła jakby zaporą, Sygyryda rozważała, w jaki sposób ją obalić.

— Masz więcej rodzeństwa? — spytała po namyśle.

— Tak — rzucił pospiesznie. — Jest nas siedmiu braci, mam także siostrę. Zwie się Ragnhilda, poślubiła Haareka z Tjótty.

— Siedmiu braci! — zawołała zdumiona, że można posiadać tak liczną rodzinę. — Jak się zwa?

— Torberg jest najstarszy. Mieszka z ojcem w Giske, on też odziedziczy dwór. Za żonę ma córkę Erlinga Skjalgssona, która także nosi imię Ragnhilda.

— Brat mój Sigurd poślubił siostrę Erlinga — zauważyła Sygyryda. Kalf potwierdził, iż o tym wiedział.

— Ja jestem drugi z kolei — wyjaśnił — a młodszy ode mnie to Finn, Amund, Kolbjörn i Arnbjorn, najmłodszy zaś Arne.

— Chyba sporo czasu upłynie, zanim nauczę się ich odróżniać.

— Poznasz ich kolejno — roześmiał się Kalf. — To dzielni chłopcy, wszyscy prócz... — zamilkł na chwilę.

Nigdy nie przyjaźniliśmy się z Finnem. Młodszy ode mnie o rok i okrutny złośnik. Wściekał się, jeśli go upomniałem, kiedy byliśmy wyrostkami.

— Nie jesteście do siebie podobni — rzekła Sygryda, a wobec jego milczenia zapytała: — Czy poznałeś moich synów?

— Tak.

— Jakże to było?

Kalf był zakłopotany, ale wobec jej nalegającego wejrzenia coś musiał odpowiedzieć.

— Nie wiem, który starszy, wzrostem są prawie równi. Sygryda zrozumiała, że spotkanie było przykre dla obu stron, toteż wołała dalej nie pytać.

— Młodszy Tore jest silniejszej budowy.

Na dziedzińcu odezwał się dzwonek na wieczerzę. Kalf wstał.

— Wrócę później — rzekł, po czym lekko i nieśmiało pogładził policzek Sygrydy.

— Do tej pory pewno będę już na nogach. Jeśli cię spytają, możesz powiedzieć, że jutro jestem gotowa pójść do biskupa.

Kiedy wstała i przeszła kilka kroków, czuła się trochę niepewnie.

Podczas wieczerzy zamyślony wzrok Kalfa wielokrotnie zatrzymywał się na Finnie. Uwierzył zapewnieniu Sygrydy, że nie zamierzali składać obiaty w Maerinie. Trzeba będzie ją wy badać, dowiedzieć się dokładnie, co zaszło.

Kilka razy spojrzął także na króla Olafa, w pobliżu którego zasiadał przy stole.

Parę lat spędził przy Olafie, znał jego okrucieństwo i popędliwość. Ale w mniemaniu Kalfa okrucieństwo nie było przywarą króla, który chciał utrzymać władzę w buntującym się kraju. Podziwiał go natomiast za bohaterstwo

i śmiałość poczynań; w przekonaniu tego męża, że Bóg powołał go do królowania, było coś urzekającego. Jego pewność siebie porywała, a kiedy przebiegał cały kraj podporządkowując sobie gminę po gminie w imię Chrystusa, to mimo niezbyt wspaniałej postawy przypominał dawnych królów bohaterów. A szczęście stale mu dopisujące sprawiało, że wysuwał się na czoło jako urodzony władca.

W tych czasach Kalf był jednym z najbliższych przyjaciół króla. Dlatego też dostrzegał to, czego inni nie widzieli: w bohaterskiej postaci widział człowieka.

Dostrzegał człowieka szczerze obstającego przy chrześcijańskiej wierze, prawdziwie dążącego do poskromienia niepokonanych wybuchów i głęboko skruszonego, jeśli pojął, że źle postępował. Ale widział także człowieka, który choć gorliwie szerzył nakazy nowej wiary, od dzieciństwa przywykł stawiać siebie ponad wszelkim prawem. Zauważył także pewne skłonności Olafa, które mniej mu się podobały: małostkowość oraz zachłanność. Dziwiło go także, dlaczego równie potężnemu mężowi tak trudno jest uznać popełniony błąd.

Kalf rozumiał już teraz, że król poczynał sobie w Maerinie zbyt pochopnie, popełnił ogromny błąd, choć przyznać tego nie chciał. Sygryda mogła tego dowieść w sali posłuchań. A jeśli zamilkła, to tylko ze względu na niego, na Kalfa.

Radował się na myśl, że zrobiła to dla niego; pewno nie była mu tak przeciwna, jak się na początku wydawało.

Mimo to nie bardzo wiedział, co myśleć o Sygrydzie. Dotychczas stykał się z kobietami tylko na wyprawach. Te, z którymi miał do czynienia, były albo brankami, albo należały do rodzaju tych, które za niewielkim wynagrodzeniem chętnie pozwalają mężczyźnie na zbliżenie.

Za młodu w rodzicielskim domu w Giske widywał niewiasty, które mu się podobały, ale jako smarkacz musiał trzymać się z dala. Potem wcześniej zaczął brać udział w dalekich wyprawach i podróżach, tam radził sobie jak wszyscy. Ostatnimi laty objeżdżał kraj z Olafem, a w królewskim orszaku panowały podobne obyczaje.

W Maerinie już pierwszego dnia zwrócił uwagę na Sygrydę, zresztą nie tylko on. Ale była jakby nieobecna, nie widziała, co dzieje się wokół niej, robiła wrażenie sztywnej i chłodnej niczym postać w lodzie rzeźbiona. Ktoś ze świty królewskiej nazwał ją Lodowatą Freją. Temu jednak sprzeciwił się Sigvat.

— Ona jest inna — powiedział — tylko tak wygląda, bo miłowała męża.

— Znasz ją? — zadał ktoś pytanie.

— Tak — odparł nic więcej nie dodając.

Wiele o tym mówiono, tym bardziej że Sigvat nie ułożył pieśni o wydarzeniach w Maerinie, co zwykł był czynić po każdej królewskiej wyprawie.

Później, kiedy Olaf zabrał Sygrydę do Kaupangu, ludzie plotkowali, bo przypuszczali, że mimo wszystko wziął ją dla siebie. Kalf podzielał ich zdanie. Miał wielką ochotę prosić o nią Olafa, nęciła go bowiem zarówno jej osoba, jak i majątności, bał się jednak, jak król to przyjmie. Toteż kiedy Sigvat ofiarował się przemówić za nim, przystał natychmiast.

Domyślał się, że jeśli obejmie dwory Sygrydy, król mianuje go namiestnikiem inntrondheimskiego okręgu. Ale król darował mu Egge i wszystkie dobra należące do Olwego, co przechodziło jego najśmielsze nadzieje.

Kalf nie wątpił, że jako królewskiemu namiestnikowi w Egge nie będzie mu lekko. A gdy poznał prawdę o wydarzeniach w Maerinie, był pewien, że znajdzie liczniejszych przeciwników, niż sądził. Ale mimo wszystko był zadowolony.

Od dawna przywykł do wyruszania na wyprawy jako przywódca, natomiast w orszaku królewskim miał związane skrzydła. Teraz znowu będzie je mógł rozpostrzeć do lotu i pokaże zarówno wszystkim, jak i sobie, do czego jest zdolny.

A Sygryda... myślał o niej zawsze z uśmiechem — ona już trochę odtajała; na pewno da się pozyskać.

Następnego dnia po rannym posiłku pacholek biskupa Grimkjela przyszedł po Sygrydę. Zastali go w rozmównicy samowtór z księdzem Jonem.

Dał jej znak, by usiadła. Przycupnęła na skraju ławy, jakby chciała umykać. Po chwili ciszy biskup zaczął mówić, ona tymczasem ukradkiem na niego spozierała. Był raczej chudy, oczy miał głęboko osadzone.

— Powiedziałaś księdzu Jonowi, że przyjmiesz chrzest, ale nie wierzysz w Boga króla Olafa.

— Tego dnia mówiłam w oszołomieniu. Dowiedziałam się potem, że kobieta, która mnie doglądała nocą, dała mi napój nasenny.

— Czy to znaczy, że teraz pragniesz wierzyć w Boga wyznawanego przez króla?

Sygryda zwlekała z odpowiedzią.

— Mów swobodnie — rzekł biskup. — Wszystko, co powiesz, będzie wysłuchane jako na spowiedzi.

Sygryda nadał milczała.

— Słyszałem, żeś należycie pouczona w chrześcijaństwie. Ale ksiądz Jon powiada, że Bogiem chrześcijańskim nazywasz Boga Olwego, natomiast król ma rzekomo innego, którym posługuje się dla własnej korzyści.

— Ot, bredziłam.

— Nie wątpię, iż mówiłaś rzeczy, które wolałabyś zachować dla siebie. Ale skoro król polecił, abyś przyjęła chrzest, moim obowiązkiem jest zgłębić, w co wierzysz. — Głos jego brzmiał życzliwie, oczy spoglądały badawczo, poważnie.

Sygryda złękła się, miała wrażenie, że rozmówca odmienia się niczym wilkołak. Wszak to biskup z Maerinu, to on kazał przynieść na mszę nieszczęsne, okaleczone półtrupcy, w które zamieniono ludzi po wykonaniu królewskich wyroków. A teraz siedzi spokojnie i natarczywie dopytuje się, w co ona wierzy!

— Czy to ma jakieś znaczenie, w co wierzę? — spytała twardo. — Czy pytałiście, w co wierzą ludzie przyniesieni na mszę w Maerinie?

Biskup skulił się, jakby otrzymał cios.

— Byli skłonni przyjąć Chrystusową naukę — odpowiedział.

— Dojrzałych ludzi nie można skłonić do wierzenia w Chrystusa ani przymusem, ani strachem. — Sygryda powtórzyła słowa Olwego.

Biskup oparł się plecami o ścianę, łokcie położył na oparciach kręła, palce trzymał splecione. W zamyśleniu spozierał na otwór dymnika i powoli mówił:

— Nie mogę rozróżnić, co jest twoje własne, a co zapożyczyłaś od innych. Ale to nie jest takie proste, jak ci się wydaje. Powiedzmy, że zmuszamy człowieka do pójścia do kościoła, do zgięcia kolan przed Bogiem, do przypatrywania się innym wiernym. Po jakimś czasie zaczniesz się zastanawiać, czy w tej nauce nie kryje się prawda. Chrześcijaństwo wchodzi w nawyk, a w końcu pewnego dnia wielu zaczyna wierzyć, nawet wbrew woli. Jeśli tak się nie stanie, tracimy jedno pokolenie, ale pozostają dzieci i następne pokolenie będzie uratowane dla Boga.

Sygrydę opuściła pewność siebie. I choć wiedziała na pewno, że w Maerinie źle się stało, nie umiała mu odpowiedzieć. Biskup zauważył jej wahanie, toteż chcąc zapewnić sobie zwycięstwo, prędko mówił dalej ojcowskim tonem:

— Wiesz sporo o chrześcijaństwie, Sygrydo, ale w dużej mierze jest ono dla ciebie nadal niepojęte. Musisz nam pozwolić pomagać sobie w odnalezieniu prawdy.

Tego właśnie ojcowskiego sposobu mówienia Sygryda nie mogła znieść. Nie zastanawiając się, co czyni, zerwała się i stanęła przed biskupem z oczami płonącymi gniewem.

— Gdyby istniał Chrystus, który miłował ludzi i pozwolił się ukrzyżować, a za miecz nie chwycił, to musiałyby się odwrócić z obrzydzeniem od króla skazującego ludzi na okaleczenie, i to w Jego imieniu!

Biskup Grimkjel patrzył na Sygrydę zdumiony, ale bez gniewu.

— Kilka dni temu byłam w kościele. Widziałam króla klęczącego przed ołtarzem, kiedy przyjmował sakrament,

który ma być odnowieniem Chrystusowej ofiary miłości. Słyszałam pienia kapłanów, ale głośniej od nich dźwięczały mi w uszach krzyki w Maerinie. Widziałam, jak Olve, którego król nazywał pogańskim psem, także klęczał w pokorze przed tym sakramentem. On mi mówił o miłości Boga, o świętym Janie, który uczył, że ludzie mają się wzajem miłować. Zanim Olve skonał, przysięgałam, że przyjmę chrzest, i nigdy nie zamierzałam łamać ostatniej obietnicy, jaką mu dałam. Ale jeżeli mam wierzyć w jakiegoś boga, chcę wierzyć w tego, o którym on mówił. I nigdy nie będę baczyła, co biskup Grimkjel albo król Olaf uważają za słuszne.

Biskup z całym spokojem pozwolił jej skończyć.

— Usiądź — rzekł. — I niechaj się dowiem czegoś więcej o tym, w co Olve wierzył.

Sygyda zamierzała okręcić się na pięcie i wyjść. Jednakże przyjazne i spokojne zachowanie biskupa zaskoczyło ją, toteż choć wbrew woli, ale zajęła miejsce na ławie.

— Skoro tyle mi powiedziałaś, nic nie stoi na zawadzie, byś powiedziała wszystko — zachęcał.

Czuła się przyłapaną, a zawdzięczała to własnej popędliwości. Co Olve mówił i jaki był, wołała zachować dla siebie, rozważyć i próbować lepiej go zrozumieć. Szczególnie odrażające wydało jej się wydanie tego wszystkiego na pastwę księżom króla Olafa.

— Sygydo — biskup znowu odezwał się cichym, łagodnym głosem — jeśli Olve umarł jako chrześcijanin, musi spocząć w poświęconej ziemi. To jest ostatnia i najlepsza posługa, którą możesz mu oddać. A jeśli go miłowałaś, powinnaś się o to zatroszczyć.

On mnie kusi, żebym mówiła — pomyślała Sygyda z ogromnym znużeniem. Czuła się straszliwie osamotniona.

Biskup Grimkjel potrząsnął dzwonkiem, a kiedy wszedł pacholek, coś mu szepnął. Chłopak pokłonił się i odszedł. Zaraz też zjawiła się służebna z dzbankiem piwa.

— Potrzebujesz wzmocnić się trochę! — powiedział z uśmiechem biskup, gdy dziewczyna podała jej czarkę.

Sygyda nie mogła pohamować uśmiechu. Olve zawsze uciekał się do piwa, jeśli chciał zyskać na czasie. Zaczęła

rozważać, co Olve uczyniłby na jej miejscu. I nagle od razu doszła do przekonania, że on, który prędko, a raczej nigdy nie ukrywał swego zdania, na pewno nie byłby zadowolony, gdyby ona teraz milczała ze względu na niego.

Zaczęła opowiadać.

Mówiła wszystko, co wiedziała o Olvem, o jego nawróceniu i odstąpieniu od chrześcijaństwa, o księdzu Anundzie i obiacie w Hovnes; o przerażeniu panoszącym się w gminach jesienią i odpowiedzi udzielonej guślarce przez Tore, o wzywaniu Olwego do króla, o chorobie i chrzcie dzieci, o jego zwierzeniach i w końcu o jego śmierci.

Biskup Grimkjel długo milczał. Tymczasem zaś rozmyślał o spowiedzi Toralda, królewskiego zarządcy, której wysłuchał w Maerinie; wiedział teraz, że Sygryda mówiła prawdę.

— Czy wierzysz w to, co Olve mówił ci o chrześcijaństwie? — zapytał w końcu.

— Nie wiem — odparła. — Tyle rzeczy powikłało się ostatnio. I cóż Olwemu dała jego wiara — nic prócz zdrady i śmierci.

— Ale czy nie pojmujesz, że właśnie w śmierci odniósł zwycięstwo! — biskup mówił z zapałem. Na wpół uniósł się z siedziska, w oczach jego płonął nowy blask. — Czy nie dostrzegasz, w jaki sposób Bóg poprzez upokorzenie pozwolił Olwemu śmiercią odpokutować za grzechy!

Sygryda tego nie pojmowała. Biskup opadł na karło.

— Nie. Trudno by się tego spodziewać. Ale Olve na pewno to zrozumiał.

— Gdyby Olve żył, bez wątpienia uwierzyłabym w jego chrześcijaństwo — rzekła Sygryda.

— Jego ostatnim życzeniem było, abyś uwierzyła — zaczął biskup, lecz przerwał i rozejrzał się ze zdumieniem słysząc głośnie chrapanie. Ksiądz Jon tymczasem zasnął spokojnie, siedząc na ławie z rękami złożonymi na kolanach. Biskup uśmiechnął się i podjął: — Jeśli złożysz wyznanie wiary w oparciu o to, czego uczyli cię ksiądz Anund oraz Olve, możesz spokojnie przyjąć chrzest i o niczym więcej nie rozmyślać. Powiedziałaś także, że Olve przed śmiercią prag-

nał się wypowiadać któremuś z królewskich księży. Postępuj zatem jak on i pogódź się z kapłanami, których Kościół wyznaczył, aby ci pomagali!

— Nigdy nie uwierzę, że postępowanie króla jest słuszne — zastrzegła się Sygryda.

Biskup Grimkjel zerknął na śpiącego księdza, po czym spojrzął jej w oczy:

— Nie musisz w to wierzyć.

Przyglądała mu się bacznie, lecz nic nie wyczytała z jego oblicza.

— Ufam, iż pozwolisz mi powtórzyć królowi to, coś mnie powiedziała — a widząc jej wahanie dodał: — Przyrzekam, że nie rzeknę nic, co mogłoby zaszkodzić tobie lub twoim synom. A jeśli wskutek tego król w przyszłości będzie sobie poczynał łagodniej, śmierć Olwego nie okaże się daremna.

Po tych słowach Sygryda przyzwoliła.

— Olve spocznie w poświęcanej ziemi. Już ja się o to zatroszczę. — A po chwili zapytał: — Jak sądzisz, Sygrydo, czy teraz możesz uczciwie złożyć wyznanie wiary i czy czujesz, że Olve tego chciał?

— Tak — odparła, lecz bez przekonania. Dopiero kiedy biskup serdecznie uściśnął jej dłoń, poczuła, iż szczerze wyraziła swoją myśl.

Kalf Arnesson czekał na dziedzińcu.

— Długo cię nie było. Czy doszliście do porozumienia?

— Zawarliśmy pewnego rodzaju ugodę. Przyrzekłam szczerze wyznanie wiary, a w zamian biskup obiecał, że Olve spocznie w poświęcanej ziemi.

— Mówiłaś o Finnie?

— Nie.

— Biskup Grimkjel spodobał ci się?

— Tak. Ale wydaje mi się, że ona ma własne trudności.

— Słusznie zauważyłaś. — Kalf szybko rozejrzał się wkoło. — Niełatwo być biskupem przy królu Olafie.

Rozmawiając wyszli poza obręb dziedzińca, Sygryda chciała zawrócić, lecz Kalf ujął ją pod ramię i prowadził dalej drogą wzdłuż rzeki.

Minęli szeregi dworców i plac, na którym stały kramy. Trochę dalej nad wodą znajdowała się kuźnia; Kalf pragnął, aby obejrzała wyrabiane tam piękne sprzączki. Niektóre były nowego rodzaju z dużym wizerunkiem zwierzęcia na przezroczym tle.

Kalf zamierzał kupić jedną z nich dla Sygrydy, ale jej się nie podobały, wybrała inną, wykonaną według starych wzorów.

Po wyjściu z kuźni Sygryda czuła się zmęczona, chciała usiąść na chwilę, by odpocząć. Na spadzistej skarpie nadrzecznej znaleźli miejsce porośnięte trawą.

Kalf objął Sygrydę, a choć się zachnęła, nie puścił jej. Patrzyła w stronę Lade. Za jarlowskich czasów Olve nieraz tam bywał, teraz według jego opisu rozpoznawała nawet wyniosłą a stromą skalę. Wspomniała Torberga szkutnika, który stamtąd zabierał „Długiego Węża”. Olve opowiadał, że resztki bali służących okrętowi za łożysko podczas budowy jeszcze tam pozostały. Sygryda spytała Kalfa, czy znajdują się tam nadal. Nie był pewien, lecz sądził, że tak.

Sygryda podniosła wzrok ku niebu, na tle błękitu kłębiły się zwiewne różnokształtne letnie obłoki. Powróciła myślą do rozmowy z biskupem Grimkjelem, rozważała jego słowa. Mówił, że Olve zwyciężył w śmierci. Nie mogła pojąć jego myśli. Ksiądz Anund niegdyś wspomniał, że śmierć może być zwycięstwem dla ginących za wiarę. Olve takiej śmierci nie poniósł, jego po prostu zarabali bezmyślnie, na skutek nieporozumienia. Nie zginął śmiercią bohatera... Sygryda daleko odbiegała myślami. Widziała na przemian to okrutną twarz Finna syna Arnego, to znowu króla Olafa. Myśli jej zaczęły się kłębić niczym obłoki na niebie...

Słońce przeszło na drugą stronę nieba, zanim się ocknęła z głową opartą na ramieniu Kalfa.

Uśmiechnął się do niej.

— Smaczne spałaś? — zapytał.

Obudziła się z dławiącym uczuciem, że przytłacza ją coś przykrego, bolesnego. Od śmierci Olwego często miewała

takie wrażenie. Kalfowi jednak nie mogła tego wyjaśnić. Siedziała więc nadal nie odrywając policzka od jego wełnianej opończy i dziwiła się własnym uczuciom. Cieszyło ją, że był dobry, ale równocześnie ta właśnie dobroć wzniewiała niechęć do Kalfa. Chyba źle jej było, gdyby mogła go nienawidzić, ranić bolesnym słowem i wzgardą. Nagle chęć dokuczenia mu wzięła górę.

— Jakże możesz się spodziewać, że będę dobrze spała przy tobie! — odezwała się rozżalona.

Kalf spuścił oczy.

— Zaiste, na to jeszcze liczyć nie mogę.

Sygyda odniosła wrażenie, że wymierzyła cios w próżnię, miała ochotę krzyknąć ze złości. Opanowała się jednak i usiłowała trzeźwo myśleć.

Olve umarł, nic nie zdoła przywrócić mu życia. Tymczasem trzeba żyć nadal bez niego, a obowiązek wobec siebie i dzieci nakazywał możliwie jak najlepiej wykorzystywać każdą sposobność. Jeśli zaś chodziło o wydarzenia w Maerinie, Kalf w niczym nie zawinił.

— Aż dziwno, jacy dziś wszyscy znużeni — odezwała się z wymuszonym uśmiechem — podczas rozmowy z biskupem ksiądz Jon zasnął.

On także się roześmiał, lecz śmiech ten miał twarde brzmienie.

— Ksiądz Jon czuje się najlepiej, kiedy je albo śpi — powiedział.

Sygyda wstała, w ślad za nią podniósł się Kalf i razem wrócili do królewskiego dworzyszca.

Po południu król wezwał Sygydę z synami do sali posłuchań. Biskup przybył tam wcześniej.

— Biskup Grimkjel orzekł, iż każdej chwili możesz zostać ochrzczona — zaczął król. — A moją wolą jest, abyś razem z synami przyjęła chrzest jutro.

— Dobrze, panie.

— Powiedział mi także, iż Olve umarł jako chrześcijanin. Na jego słowo zezwoliłem pogrzebać Olwego w poświęconej ziemi.

Sygyda podniosła wzrok.

— Dlaczego Olve nie rzekł mi prawdy, gdy był tu w Kaupangu? Gdyby chciał, mógł zostać moim namiestnikiem w Egge.

Sygyda milczała.

— Olve padł w Maerinie z własnej winy. A jeśli nawet nie zamierzali składać wiosennej obiaty, miałem słuszność, że składali ofiary na powitanie i w środku zimy. A zatem ci, których ukarałem w Maerinie, dostali tylko to, na co zasłużyli. — Po chwili król dodał: — Chrześcijański pochówek Olwego odbędzie się bez rozgłosu. I nie wolno o tym rozpowiadać. Mimo tego, co się stało, ty nie utraciłaś nic ze swojego bogactwa ani czci. Dla twoich synów ja sam będę jutro chrzestnym ojcem.

Sygyda zerknęła na synów. Odgadywała, iż dostąpili wielkiego zaszczytu, choć wątpiła, czy go cenili.

Król jednak rzeczywiście wyglądał dużo łagodniej niż poprzednio, toteż choć nieśmiało, odezwała się:

— Panie... — Olaf dał znak, że pozwala jej mówić. — Wśród oszczędzonych w Maerinie wielu nie miało nic wspólnego ze składaniem ofiar...

— Czy byli chrześcijanami?

— Nie wiem.

Nagle król wyrznął pięścią w poręcz karła.

— Nie chcę słyszeć ani słowa więcej o Maerinie!

Sygyda z ulgą odetchnęła, kiedy razem z synami znalazła się na dziedzińcu.

Chrzest odbył się nazajutrz według królewskiego rozkazu.

Kłęcząc i składając wyznanie wiary Sygyda jakby oczekiwała pewnego rodzaju pociechy albo znaku od Boga, że ją przyjmuje. Nic z tego nie było jej dane.

Synowie kłęczeli obok matki, a król Olaf uroczyście zapewnił, iż będzie przestrzegał, aby wytrwali w prawdziwej wierze. Sygyda w to nie wątpiła.

Wychodząc z kościoła usiłowała przechwycić wzrok Grjotgarda, ale odwracał głowę. Na mgnienie oka poczuła dojmujący ból.

Poprzedniego wieczora udało jej się w końcu znaleźć ustronne miejsce, gdzie mogła w samotności porozmawiać z synami. A niełatwo było o to w Kaupangu; wiedziała dobrze, że król ma niezliczonych sojuszników. Nawet mężowie należący do królewskiej świty rozglądali się bacznie, nim wszczęli rozmowę.

Synowie jej byli rozgoryczeni.

Grjotgard złośliwie zapytał, czy król sądzi, że skoro zostanie ich chrzestnym, odpłaci im w pełni za odebranie Egge. Powiedział, że wolałby się obejść bez tego zaszczytu, bo mógłby pomścić ojca nie stając się zabójcą chrzestnego.

Tore mówił mniej, lecz Sygryda dobrze wiedziała, że zaciskał pięści.

Była z nich dumna, ale równocześnie bała się o chłopaków. W tak młodym wieku łatwo o nierozważny postępek. Próbowwała ich ułagodzić.

Wypomnieli także obecność Kalfa w Maerinie; uważała za swój obowiązek go usprawiedliwić. Nagle jednak między nią a synami jakby otchłań się otworzyła.

— Czy wszystko to czynisz z troski o ojca? — spytał Grjotgard pogardliwie.

Usiłowała mu wytłumaczyć, ale nie zdołała przerzucić pomostu nad dzielącą ich przepaścią.

4

Kalfowi pilno było do ślubu, Sygryda zaś, choć próbowała, nie mogła znaleźć powodu do odraczania wesela. Król, który obiecał wyprawić im ucztę, uważał, że nie ma na co czekać, tym bardziej iż wkrótce zamierzał opuścić Kaupang.

W promienny letni dzień Kalf syn Arnego i Sygryda córka Torego stanęli w progu kościoła Świętego Klemensa, aby potwierdzić zawartą między nimi umowę. Biskup był jednym ze świadków, on również miał udzielić błogosławień-

stwa małżonkom w obecności króla i jego świty strojnej w odświętne szaty.

Tylko Sigvata brakowało. Sygryda nie widziała go od owego ranka, gdy rozmawiali w kościele; Kalf powiadał, że odjechał do swego dworu w Stjórdalu.

Blask słońca aż raził w oczy; jaskółki z głośnym świergotem krążyły wokół gniazd uwitych pod okapem kościoła. Sygryda myślała o innych zaślubinach, o przysiędze składanej w ciemnym małym chramie i o silnej dłoni spoczywającej na pierścieniu.

Kalf wypowiedział słowa przysięgi dość pewnym głosem, natomiast głos Sygrydy jakby płynął z daleka. Sama zresztą nie wiedziała, czy naprawdę myśli to, co mówi.

Tę moją radę wtórą pamiętaj:
niechaj z ust twoich nie wyjdzie przysięga,
jeśli nie świadczy tylko prawdzie samej.

Głos Olwego powtarzającego słowa starej pieśni zdawał się powracać z zamierzchłej przeszłości.

Później zaś, gdy król Olaf i królowa Astrida składali im życzenia szczęścia, Sygryda miała wrażenie, że słyszy dochodzący z daleka, lecz wyraźny, lekko drwiący śmiech Olwego.

Jej synowie byli przy niej, ale obcy, z kamiennymi twarzami. Trzymali się razem, nie podeszli z życzeniami ani do niej, ani do Kalfa.

Natomiast Finn syn Arnego przyszedł. Sygrydę dreszcz przejął na jego widok, od chwili zabójstwa w Maerinie nie spotkała go ani razu twarzą w twarz.

— Witam cię w imieniu naszego rodu — powiedział.

— Dziękuję — odparła, lecz nie przyjęła wyciągniętej ręki. Przez krótką, a jednak bardzo długą chwilę mierzyli się lodowatym wzrokiem, po czym Finn wzruszył ramionami i odszedł.

Podczas uczyty w królewskiej sali Sygrydzie przypadło miejsce obok królowej Astridy, w rozmowie trudno było nie

wspomnieć o jej podobieństwie do ciotki, Holmfridy córki Eryka.

— Znasz ją? — spytała królowa z uśmiechem.

— Tak. Znam i Kocham.

— Nie można jej nie kochać — odparła królowa. — Dla mnie zawsze była dobra, nigdy nie dała mi odczuć, że jestem... — nagle zamilkła.

Sygyda odgadła, co królowa miała na myśli. Astrida była córką nałożnicy; powiadano, że królowa małżonka Olafa Skottkonunga okrutnie dokuczała dorastającej dziewczynie.

Sygyda zaczęła opowiadać, jak to poznała Holmfridę owej nocy, gdy odbierała syna Ragnhildy. Opisała także własne przerażenie. Astrida śmiała się tak serdecznie, że król spoglądał na nie z ciekawością. Uśmiechał się przy tym, jako że był tego dnia dobrze usposobiony.

Od królowej Sygyda dowiedziała się o dalszych losach Holmfridy: żyła w ciszy i spokoju w swoim dworze razem z córką Gunnhildą.

Coraz głośniejsze rozmowy i śmiechy rozbrzmiewały w biesiadnej sali, trudno było się porozumieć nie podnosząc głosu. Sygyda rozglądała się dokoła i nasłuchiwała, co inni mówią.

Na wielkich paleniskach nie płonął ogień, salę oświetlały kagańce i świece. Ogromne rogi krążyły z rąk do rąk, chociaż niektórzy biesiadnicy już zaczęli parami przepijać z pomniejszych. Wino nalewano tylko królowi oraz najbliższym siedzącym.

Niewolnicy obnosili misy z wodą, aby każdy mógł opłukać ręce po jedzeniu; ze stołów zdejmowano obrusy, wynoszono też kości, których stos zebrał się na podłodze.

Sala była przestronna, większa niż izba biesiadna w Egge. Nie wyróżniała się niczym szczególnym, tylko oparcia poczesnych siedzisk było bogato rzeźbione. Dywany i różnobarwne makaty zdobiły ściany. Sygydzie trudno było powstrzymać uśmiech na widok własnych — snadź król nie liczył się z cudzymi uczuciami.

Już wcześniej zastanawiała się, co myślał Grjotgard, gdy na pamiątkę chrztu otrzymał w darze ojcowski okręt. A Tore

czułyby się upodlony, gdyby miał zarządzać ofiarowanym mu dworem, należącym dawniej do znajomego gospodarza z Inneróy.

Wśród śmiechu, wrzawy i niedwuznacznych żartów goście weselni odprowadzili nowożeńców do przeznaczonej im komory, po czym odeszli. Kalf i Sygryda pozostali sami.

Usiadła na łożu, bo nawet zydlu tu nie było, a kiedy Kalf spoczął obok niej, usunęła się trochę. Oboje milczeli, on oglądał swoje ręce. Od czasu do czasu zerkała na niego, robił wrażenie onieśmiałego niczym młokos. W końcu Sygryda przerwała milczenie.

— Ile zim liczysz sobie, Kalf?

— Dwadzieścia dziewięć. Dlaczego pytasz?

— Jesteśmy prawie równego wieku — zauważyła.

Objął ją i przewrócił na łóżko; opierając głowę na pościeli poczuła się strasznie zmęczona.

Kalf coś sobie przypomniał.

— Zgaszę świecę — powiedział.

— Po co? — spytała. I nagle wbrew woli parsknęła śmiechem.

Okrutnie urażony puścił ją.

— Nie jestem tak niedoświadczony, jak sądzisz — rzekł.

— Wcale nie myślałam o twoich doświadczeniach — odparła.

— Sądzisz, że mogą być różne.

Takich słów nie spodziewała się po nim, toteż obrzuciła go badawczym spojrzeniem.

— Czy miałaś innych prócz Olwego? — spytał.

Pytanie było niesłychanie bezwstydne, patrzyła na niego z niedowierzaniem, na chwilę zaniemówiła.

— Nie — powiedziała w końcu. Prędko odzyskała panowanie nad sobą. — Opowiedz mi o twoich doświadczeniach; na pewno ciekawsze od moich.

Kalf się roześmiał.

— Niespieszno ci przysporzyć mi nowych.

— Czy na to liczyłeś?

— Bądź co bądź liczyłem, że będziesz miłsza. Nieładnie postąpiłaś wyśmiewając mnie.

— Opowiedz mi przody o twoich doświadczeniach, to może potem będę miłsza.

Kiedy Kalf zaczął opowiadać, trudno jej było uwierzyć własnym uszom.

Sporo doświadczył; o wielu zabawnych wydarzeniach opowiadał we właściwy sobie zwięzły sposób. Nie raz wybuchała śmiechem. Ale niejedno nią wstrząsnęło. Przyglądała się szczerzej, trochę chłopięcej twarzy wyrażającej nieśmiałość, lecz żarliwe pragnienie przypodobania się jej, podczas gdy równocześnie opowiadał historie mrozące krew w żyłach, jakby to były błahostki!

Obiecała, że potem będzie dla niego dobra. Teraz poważnie zaczęła rozważać, jak uniknąć tego, co ją czekało.

Zauważyła, że Kalf nie żałował sobie przy ucztach. Gdyby zdołała nakłonić go do mówienia dalej, może w końcu usnie. Czy warto jednak wysilać się, gdy chodzi tylko o odroczenie? Może innym razem będzie czuła mniejszą niechęć?

Przynaglała go do mówienia, okazywała, że opowiadanie ją bawi, zadawała coraz to nowe pytania. Jej ożywienie udzieliło się Kalfowi, toteż gadał bez ustanku. W końcu jednak od czasu do czasu zapadał w krótką drzemkę, aż usnął.

Sygyda zdmuchnęła świecę i z westchnieniem ulgi wyciągnęła się obok niego. A ponieważ nie tylko Kalfowi smakowało królewskie wino, ona także wkrótce zapadła w sen.

Sygyda pierwsza się obudziła.

W komorze było prawie ciemno, przez maleńkie okienko pod pułapem sączyła się tylko odrobina światła. Ale na dworze słyhać było głosy świadczące, że dzień jest w pełni.

Usiadła na łożu, Kalf nie zbudził się, tylko coś mruknął obracając się na drugi bok. Miała ochotę przyjrzeć się twarzy śpiącego, ale w mroku nie widziała jej dobrze, toteż ostrożnie sięgnęła po świecę i zapaliła ją.

Kalf spał z lekko rozchylonymi wargami i zwichrzonymi włosami, gdyby nie zarost, wyglądałby śmiesznie młodo. A może tak się jej tylko wydawało, bo przywykła do Olwego znacznie starszego wiekiem.

Przypomniała sobie opowiadanie Kalfa z poprzedniego wieczora. A przecież nie jest gorszy od innych — pomyślała. Jej rodzeni bracia Tore i Sigurd bez wątpienia ani o włos nie byli lepsi!

Mimo to Tore do tego stopnia miłował Rannveigę, że po jej stracie niemal zapił się na śmierć. A Kalf — choć mówił o gwałtach i okrucieństwach, do niej odnosił się niby onieśmielony chłopak. Tu kryło się coś, czego nie pojmowała. Wspominała również króla Olafa oraz jego chrześcijańską pobożność, a zarazem okrucieństwo.

Przyszły jej na myśl wypowiedziane niegdyś przez Olwego słowa, że prawdziwy mężczyzna musi być nieugięty.

Olve także pędził dawniej podobnie barbarzyński i bezwzględny żywot. Ale znał także inny sposób życia, był w Konstantynopolu oraz w Kordobie. A mimo wszystko bał się okazać słabość i dobroć, aby kto nie pomyślał, iż nie jest prawdziwym mężczyzną.

Może z takich samych przyczyn Kalf przechwalał się zmyślnym barbarzyństwem. Bo przecież wobec niej nie zachowywał się jak wiking na wyprawie.

Tymczasem Kalf zaczynał się budzić. Przecierał oczy, przeciągał się, na widok Sygrydy uśmiechnął się, jakby skruszony.

— Usnąłem wczoraj przy tobie. Spodziewam się, że nie weźmiesz mi tego za złe...

— Eeeh! Zmęczony byłeś i popiłeś niezgorzej.

Kiwnął głową potakująco.

— Zaraz się poprawię — rzekł obejmując Sygrydę, lecz ona się usunęła.

— Nie w biały dzień, Kalf! Trzeba wstać i wyjść, bo wystawimy się na pośmiewisko.

Kalf przyglądał się Sygrydzie głęboko zamyślony, coś mu w głowie świtało. Przypomniał sobie, że ciągle podjudzała go do gadania, chwycił ją więc w ramiona i potrząsał gwałtownie.

— Ty wiedzmo! — zawołał. Potem pchnął ją na posłanie. Bardzo prędko się przekonała, że wcale nie był nieśmiały, jeśli chodziło o dochodzenie należnych mu praw.

Nim zdołała się opatrzeć, już było po wszystkim. Choć leżała z zamkniętymi oczami, czuła jego wzrok na sobie. Była oszołomiona, ale również zła, bo poczynił sobie z nią jak z niewolnicą. Równocześnie jednak zapłonęła w niej zupełnie niepożądana iskra; a wskutek tego znenawidziła nie tylko Kalfa, ale i siebie.

Otworzyła oczy i rozejrzała się, Kalf usiadł, szukał czegoś koło łoża, aż w końcu znalazł swój nóż. Podał jej go.

— Po co? — spytała.

— Może masz ochotę mnie pchnąć — rzekł. — Jeśli tak jest, tedy lepiej uczyni to teraz, żebym nie musiał sypiać na jedno oko.

Mówił to niby żartem, a jednak poważnie.

Nagła chęć zemsty wzięła górę, Sygryda chwyciła nóż, zamachnęła się mierząc prosto w gardło, dopiero w ostatniej chwili skrzyła rękę w przegubie tak, że dotknęła go płazem.

Patrzył na nią, ani jeden mięsień mu nie drgnął. Po czym odebrał nóż i cisnął go na ziemię.

— Przepuściłaś dobrą sposobność! — rzekł szorstko.

Obrzuciła go zdumionym wzrokiem. Twarz Kalfa przybrała odmienny wyraz. Nie wyglądał teraz młodzieńczo, lecz ponad wiek staro, był rozgoryczony. Wyczuła, że zniszczyła jego tajemne rojenia.

Wspomniała, że zbliżał się do niej nieśmiało, nawet się czerwienił. Zrodziła się w niej czułość dla męża i w końcu to uczucie zwyciężyło. Wyciągnęła ręce, dotknęła jego twarzy, zanurzyła palce w potarganej czuprynie i zmierzwiła ją jeszcze silniej.

Kalf siedział jak porażony.

— Sygrydo, byłem zły dla ciebie — szepnął dotykając śladów ukąszeń, które pozostawił na jej ramieniu.

Czule i ostrożnie przygarnął ją i we właściwy sobie niezręczny sposób gładził jej włosy.

Nie przywykł do takich pieszczot — myślała Sygryda z dziwnie serdecznym uczuciem.

Kiedy chciał ją posiąść powtórnie, oddała mu się z dobrej woli. I dobrze im było razem.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, a przecież niezależnie od tęsknoty za Olvem pragnęła mężczyzny. Zrozumiała to teraz, chociaż w chwili szczytowego zadowolenia nie zaznała ani pełnego szczęścia, ani zaspokojenia.

Ale kiedy spojrzała Kalfowi w oczy, dojrzała w nich szacunek, prawie uwielbienie. Ogarnęło ją dziwne uczucie podobne do strachu.

I wtedy stało się dla niej zrozumiałe, że kobiety zdobywane uprzednio jako branki, sponiewierane, może nawet przechodzące z rąk do rąk całej załogi statku, względnie ladacznice włóczące się po kraju za wojskiem — nic nie mogły mu dać. Teraz doznał przeżycia przerastającego jego najśmielsze marzenia.

— Sygrydo — szepnął. — Obiecuję, przysięgam: nigdy nie pożałujesz, że mi się oddałaś!

1

„Bukka” mknął wodami Beitstadfiordu w kierunku Egge. Grojtgard stał przy rudlu, a tuż obok na kasztelu Kalf i Sygryda. Kalf chciał pomóc chłopakowi w sterowaniu, lecz Grjotgard stanowczo utrzymywał, że sam poradzi.

Statek zanurzał się głęboko, bo wiózł dużo ludzi. Król sądził, że Kalf szczególnie z początku będzie potrzebował w Egge znacznej siły zbrojnych. Wysłał też z nimi księdza, tłuściutkiego i ospałego, lecz zawsze łagodnego Jona, znanego Sygrydzie z Kaupangu.

Olaf żegnał się z Kalfem serdecznie, obojgu życzył powodzenia w przyszłości. Równocześnie powiedział coś, co Sygrydę przeraziło: prosił mianowicie Kalfa o dopatrzenie, aby wymierzono sprawiedliwość guślarce z Inntrondheimu.

Sygryda była przekonana, że biskup Grimkjel powtórzył królowi opowiadanie o guślarce, ale musiała przyznać, że nie prosiła go o tajemnicę. Jednakże choć wyraźnie nie lubiła staruchy, nie chciała sprowadzać na nią nieszczęścia.

Woda pieniała się wokół statku, chłodny powiew przeciągał nad fiordem. W niej także kłębił się wir myśli i uczuć. Przed niewiele tygodniami Olve stał przy sterze na pokładzie tego samego okrętu, na wzgórzu już rysowały się zabudowania dworu w Egge. Sygryda skierowała wzrok w stronę Kroksvaagu i drogi wiodącej do Maerinu.

— Na co patrzysz? — spytał Kalf widząc cień smutku na jej twarzy.

— Na Maerin — odparła z namysłem.

Kalf objął ją w pól i okręcił dookoła.

— Nie spozieraj w tył, lecz naprzód!

Odnosił się teraz do niej opiekuńczo, z trochę śmieszna pewnością siebie. Ponadto był wzruszająco troskliwy i dobry; toteż chcąc nie chcąc, musiała się wysilać, aby odpłacać mu dobrocią. Zauważyła jednak, że synowie się zżymają, gdy Kalf patrzy na nią z dumą posiadacza.

Od czasu zaślubin prawie z nimi nie rozmawiała, unikali matki.

Kalf ciągle coś wskazywał i zadawał pytania. Chciał zapamiętać nazwy dworów i miejsc położonych wzdłuż fiordu. Sygryda musiała opowiadać i wyjaśniać.

Grjotgard zrećnie przybił do pomostu w Egge. Kalf poklepał go po ramieniu, chwając za umiejętność prowadzenia statku. Grjotgard gniewnie potrząsnął głową i powiedział:

— Ojciec nauczył mnie żeglować.

— Istotnie masz powody, aby chlubić się ojcem — odparł Kalf spokojnie. Chłopak obrzucił go bystrym spojrzeniem. I nie on jeden, bo wielu ludzi z drużyny Kalfa, którzy stali w pobliżu i mogli słyszeć jego słowa — zerkało nań ciekawie.

Gromada ludzi zebrała się nad brzegiem na powitanie przybyłych. Kalf zeskoczył na pomost, po czym uśmiechając się dla dodania otuchy Sygrydzie chwycił ją w pól i wysadził na ląd, ale trzymał małżonkę w ramionach trochę dłużej, niż to było konieczne.

Do przodu wysunął się nieznamy mężczyzna z kwaśną miną i rozbieganymi oczyma. Sygryda od razu poczuła do niego niechęć.

— Zwę się Björn, jestem zarządcą w Egge z rozkazu króla Olafa. Czy przywozicie zlecenia dla mnie od króla, Kalfie synu Arnego?

Kalfowi również zarządca nie bardzo się podobał.

— A więc to ty byłeś tutaj zarządcą królewskim. Zobaczymy, jakeś się sprawował i czy będziesz mi nadal potrzebny. Teraz bowiem ja jestem panem Egge; z woli króla mam osiąść tutaj jako jego namiestnik.

Mężczyzna uśmiechnął się oblesnie. Poszli do dworu.

Na dziedzińcu znajdowało się wiele obcych ludzi, ale w dobrze znanych szatach, Sygryda od razu rozpoznała, że wzięli sobie do użytku zarówno jej suknie, jak i odzież Olwego. Wysoka, tęga dziewczka o hardej minie stała na czele gromady; ona to dzierżyła dworskie klucze.

Sygryda spodziewała się, że po przybyciu do Egge bolesna rana otworzy się od nowa, tymczasem jednak wszystko wydawało się jej tak obce, że nawet nie cierpiała.

— Oprowadzisz mnie po gospodarce — rozkazał Kalf zarządcy. Dał znak Sygrydzie, aby im towarzyszyła, klucznica poszła za nimi.

— Chyba pamiętasz, co tu było, nim wyjechałaś — szepnął Kalf do Sygrydy wchodząc do lamusa.

Potwierdziła skinieniem.

Wszędzie kolejno wstępowali, a braków było dużo. Zarządca musiał niejedno przehandlować.

— Co powiesz? — spytał w końcu Kalf stłumionym głosem.

— Kradnie niczym sroka — szepnęła Sygryda.

Na dziedzińcu zgromadziła się drużyna Kalfa, wszyscy już zdążyli zejść z pokładu.

— Schwytać mi zarządcę i jego ludzi!

Rozkaz padł niespodziewanie, a pacholkiwie Kalfa wykonali go tak skwapliwie, że nikt im nie uszedł. Zarządca błagał o łaskę, pytał, co Kalf może mu zarzucić.

— Kradniesz — brzmiała zwięzła odpowiedź.

Zarządca utrzymywał, że niczego nie ukraść. Kiedy przybył do dworu, nie zastał nic ponad to, co było tu teraz.

— Powiedz to pani Sygrydzie — rzekł Kalf.

— Zaczekaj! Najpierw zrobię z czym innym porządek! — powiedziała, po czym podeszła do klucznicy i wyciągnęła rękę.

— Dawaj klucze! — rozkazała.

Dziewka oddała je, choć niechętnie.

— Mogłabyś choć podziękować za ich wypożyczenie — zauważyła Sygryda. Następnie wróciła do Kalfa i zarządcy, który klęcząc zaklinał się na Przenajświętszą Trójcę

i wszystkich świętych, że niczego nie ukradł. W razie potrzeby gotów był przysięgać także na wszystkich pogańskich bogów.

— Björn — przerwał mu Kalf — pewno nie znasz Sygrydy córki Torego, pani na Egge.

Zarządca niezwłocznie umilkł, patrzył z przerażeniem, jakby ujrzął smoka. Kalf skinął na synów Sygrydy.

— Oto Grjotgard i Tore, synowie Olwego! Wy wiecie także, co było we dworze, i możecie świadczyć.

Chłopcy choć opieszale, ale stanęli u boku matki i Kalfa. Z kolei Sygryda zwróciła się do zarządcy:

— Gdzie jest Guttorm syn Haralda? Gdzie Tora córka Olwego? Gdzie cała służba?

— Odjechali po moim przybyciu — odparł zarządca.

— Wiesz, gdzie są?

— Nikt w całej gminie nie odzywa się do nas.

— Łacno w to wierzę.

— Grjotgard i ty, Tore, biegnijcie do Heggvinu i zapytajcie Kolbeina, co stało się z dworskimi ludźmi — powiedziała do synów, a następnie zwracając się do wystraszonych dziewczek dodała: — Pewno nie ma we dworze kropli piwa na ugaszenie pragnienia. Wyciągajcie zaraz kadź, i to duchem.

— Trzeba najpierw zetrzeć ziarno — zauważyła jedna.

Sygryda uniosła brwi. W każdym porządnym dworze mielono ziarno prawie co dzień, obracanie ciężkiego ręcznego żarna należało do obowiązków niewolnych kobiet. We dworze nigdy nie mogło zabraknąć słodu.

— Sprowadźcie mi tu zaraz dwie niewolne!

— Niewolne zbiegły.

Oczy Sygrydy płonęły gniewem, gdy wskazując dziewczkę, która dotychczas dzierżyła jej klucze, zarządziła:

— Ty możesz obracać żarna!

Kalf milczał, aż Sygryda rozprawiła się z dziewczkami. Teraz zwrócił się do zarządcy:

— Wyciągnij prawą rękę!

Nieszczęśnik jeszcze silniej przycisnął ręce do boków, kroplisty pot wystąpił mu na czoło.

— Oszczędź mnie! — błagał. — Na przenajdroższą krew Chrystusa przysięgam, że nigdy więcej niczego nie ukradnę!

Sygryda zbladła, chciała coś powiedzieć. Lecz na skinienie Kalfa dwaj pachołkowie już chwycili Bjórna, rozległ się krzyk. Sygryda z niedowierzaniem patrzyła na odrąbaną rękę i nogę, które pozostały na środku dziedzińca po wyniesieniu wrzeszczącego zarządcy.

Odwróciła się pospiesznie i weszła do starej świetlicy.

Była sama w izbie, kiedy w progu stanął Guttorm Haraldsson sprowadzony z Heggvinu.

Usiadła na ławie obok poczesnego miejsca, Guttorm podszedł do niej wolnym krokiem.

— A więc postarałaś się o nowego gospodarza dla Egge, Sygrydo.

Spojrzała mu w oczy. Po zejściu na dziedzińcu zmagiała się, by odzyskać spokój, mimo to nie zdołała jeszcze zapanować nad sobą, toteż ukryła twarz w dłoniach. Płakała cicho, łzy spływały między palcami. Sprawiało jej to pewną ulgę, od śmierci Olwego bowiem nie wylała ani jednej łzy.

Guttorm usiadł, lecz w pewnej odległości i pozwolił jej płakać. Po chwili uspokoiła się, otarła oczy i wyprostowała się.

— Kalf syn Arnego przysłał mnie tutaj — rzekł Guttorm. — Pytał, czy zechcę zarządzać dworem jak za czasów Olwego. Odparłem, że rozważę tę sprawę i chcę z tobą mówić. Sygryda nie odpowiedziała.

— Nie wiem, co skłoniło Kalfa Arnessona do mniemania, że może ci zaufać. — Tu przysunął się bliżej Sygrydy, mówił półgłosem, bo nie chciał, żeby ich kto podsłuchał: — Może on nie wie o więzach łączących mnie z Olvem. Grjotgard także pytał, czy zechcę powrócić. Jeśli przeniosę się do Egge, to nie po to, aby pomóc Kalfowi, ale dlatego, że potrzebują mnie synowie Olwego.

— Ja także ciebie potrzebuję, Guttormie!

— Ty masz Kalfa Arnessona. — Wbrew jego woli słowa te zabrzmiały bezwzględnie. Sygryda znowu się załamała, Guttorm położył rękę na jej ramieniu.

— Musi ci ufać, skoro pozwolił nam rozmawiać sam na sam.

Sygyda łkała, wobec czego Guttorm zamilkł. Dopiero po chwili podniosła oczy zaczerwienione od płaczu.

— Co miałam począć? Urodzę dziecko Olwego... Prosiłam o zezwolenie, chciałam wrócić do Beitstadu i tam osiąść we wdowieństwie, ale król odmówił. Jużem poznała los samotnej niewiasty, Guttormie. Mniemałam, że powinnam skorzystać z dostępnej mi opieki.

Guttorm siedział głęboko zamyślony.

— Jeśli Kalf syn Arnego zechce mnie przyjąć na moich warunkach, powrócę do Egge — rzekł w końcu.

— A co będzie, jeśli ktoś ujawni Kalfowi, że zawarłeś braterstwo krwi z Olvem?

— Sam mu powiem. Jeżeli złożę mu przysięgę na wierność i będę służył uczciwie, nikt nie zrobi mi z tego zarzutu.

Podniósł się i podał Sygrydzie rękę.

— Witaj w domu, Sygrydo! — rzekł, gdy uściśnęła jego dłoń.

Mimo to, kiedy wychodził ze świetlicy, twarz jego pozostała chmurna.

W ciągu popołudnia kolejno zjawiali się dawni domownicy Egge. Nawet niewolni wrócili. Sygryda była do głębi wzruszona. Pojmowała bowiem, że niechętnie zgodzą się służyć Kalfowi, namiestnikowi królewskiemu; jeśli wracali, czynili to z polecenia Guttorma, powodowani wiernością dla niej i jej synów.

Do końca dnia krzątała się bez wytchnienia chcąc puścić gospodarstwo w ruch i cieszyła się z tego zajęcia. Bo jeśli choć na chwilę przykneęła oczy, widziała rękę i nogę zarządcy — odrąbane na środku dziedzińca.

Przy wieczerzy Kalf zasiadł w biesiadnej sali na poczesnym miejscu Olwego, synowie Sygrydy byli nieobecni, poszli z Guttormem i Kolbeinem do Heggvinu.

Ludzie przy stole milczeli. Do picia mieli tylko wodę, toteż pomrukiwali lub siarczyście kleli zarządcę, który leżał w stodole.

Miesiąc odstawiania jagniąt* dobiegał końca, dni już były długie. Po skończonej pracy Sygryda nie mogła się zdobyć na to, by zasiąść w sali z Kalfem i drużyną przydaną mu przez króla. Wyszła zatem poza dworskie obejście i skierowała się w stronę Heggvinu.

Szła dobrze znaną drogą, przed najbliższym dworem skręciła w las. Zatrzymała się na obszernym cmentarzysku między drzewami. Stały tu ogromne urny obkładane kamieniem. Olve twierdził, że były bardzo stare, pochodziły z czasów, kiedy jeszcze palono zwłoki.

Sygryda usiadła między kamieniami, strzeliste sosny szumiały wysoko w górze tworząc nad jej głową dźwięczne sklepienie. Z szeptem drzew łączył się świergot ptaków, skośne promienie słońca prześwitywały między smukłymi pniami rzucając długie cienie na suchy, zasłany igliwem kobierzec lasu.

Natomiast uczucia Sygrydy, w zestawieniu ze spokojem wieczoru, zdawały się krzykiem. Miała wrażenie, że musi uciszyć ptaki i zamknąć oczy, by nie widzieć jasności słońca.

Popełniła błąd przeprowadzając rozdział między Kalfem i królem i sądząc, że Kalf nie zawinął śmierci Olwego. Krzyk na dziedzińcu Egge rozbrzmiewał w jej uszach równocześnie z jękami na podwórku Maerinu; Kalf był ramieniem króla wymierzającym sprawiedliwość na królewski sposób. Dzięki niemu i setkom jemu podobnych Olaf mógł uprawiać swoją niszczycielską działalność.

Jeśli nawet Kalf był dla niej dobry, cóż to miało za znaczenie? Król też pewno jest dobry dla swoich ulubieńców.

Nie wyobrażała sobie, jak teraz zdoła wrócić do Egge i spać z Kalfem w łożu, które dzieliła z Olvem.

Jednakże poślubiła Kalfa, oddała się w jego ręce, dała mu nawet więcej, niż uważała się za obowiązana. Za późno, żeby się cofnąć, nie ma powrotnej drogi.

Nagle wyobraziła sobie ów nóż, który podał jej pierwszego ranka.

* Odpowiada okresowi od 15 maja do 15 czerwca (przyp. aut.).

Ptaki śpiewały, wiatr szumiał. Sygryda mimo woli otworzyła oczy i spojrzała na las, na promienie słońca.

Ludzie śpiący teraz w grobach pod kobiercem igliwia niegdyś tu żyli, chodzili po tym lesie, dawno, dawno temu. Z czym oni się zmagali, może ktoś siedział tutaj jak ona teraz i myślał, że nic życia jest jednym straszliwie zagmatwanym pasmem.

Sygryda zawsze bała się zmarłych oraz ich nadludzkiej, niebezpiecznej mocy. Teraz natomiast czuła się przedziwnie spowinowacana z nimi, i nie dlatego, że oni na pewno mieli własne troski. Już się nie lękała, że mogą ją pociągnąć za sobą w krainę śmierci, bo miała wrażenie, że cząstka jej istoty, martwa jak oni, spoczęła w mogile razem z Olvem, tam w Maerinie.

„Czemu nie spłonęłam na stosie, jak niewiasty w dawnych czasach” — powiedziała niegdyś stara Gudrun. Sygryda miała teraz wrażenie, że obyczaj ten nie był w istocie okrutny.

Usłyszała głosy, zaczęła wpatrywać się w ludzi między drzewami. To pachołkowie Kalfa szli w kierunku Heggvinu. Ktoś ją dostrzegł, coś zawołał, Sygryda zrozumiała, że jej szukali.

Rozzłościła się na Kalfa, dlaczego wysyłał po nią ludzi i narażał siebie i ją na pośmiewisko. Gniew w połączeniu z niezadowoleniem i smutkiem rozpałił w niej dziwną iskrę podniecenia. Wracając do dworu w otoczeniu pachołków Kalfa niczym branka, dumnie podniosła głowę.

— Zaiste nowe czasy nastały w Egge, skoro nawet nie można spokojnie wyjść z domu wieczorem! — powiedziała do małżonka czekającego na dziedzińcu.

Kalf się roześmiał.

— Chyba nie Uczysz, że pójde sam do łóżnicy.

Mężczyźni na dziedzińcu zarechotali. Sygryda, obecnie prawdziwie gniewna, poszła z Kalfem do komory.

Odepchnęła go, kiedy próbował ją objąć. Kalf nie wiedział, co począć, wahał się.

— Nie miałem złych zamiarów — rzekł.

— Kiedy? — spytała bezlitośnie.

— Posyłając po ciebie.
— Mogłeś sobie oszczędzić trudu — zauważyła z pogardą. — Na pewno wróciłabym czując głód. Pies i kobieta zawsze dadzą się ugłaskać dla żarcia.

Kalf podrapał się w głowę, ruch ten wyrażał bezradność i zmieszanie.

— A co miałaś na myśli, kiedy ostatnio napomknęłaś, że chyba mnie polubisz? — zapytał. Pewność siebie, jaką popisywał się od pewnego czasu, gdzieś przepadła.

Sygryda milczała. Niedawno pytał ją, czy zdoła go pokochać, nie chcąc mu wyrządzić przykrości odpowiedziała twierdząco.

— Dlaczego kazałeś okaleczyć zarządcę? — spytała niespodziewanie.

Kalf spojrział na nią ze zdumieniem.

— Słyszałem, że niewiastę trudno zrozumieć. Ale żeby aż tak trudno, tegom nie przewidywałem. Co zarządca ma do tej sprawy?

— Nie troszcz się o to, co on ma z tą sprawą, tylko odpowiadaj!

— Mylisz się, jeśli mniemasz, że pozwolę sobie rozkazywać jak niewolnemu.

— Mimo to odpowiedz mi, Kalf — nalegała z wymuszonym uśmiechem — bardzo chciałabym wiedzieć.

— Tu nie ma nic do tłumaczenia. Kradł dobro królewskie i nadużył jego zaufania.

— Można człowieka ukarać nie czyniąc z niego kaleki! Po to istnieją grzywny, ustawy i tingi.

— Jako namiestnik króla w tej okolicy ja strzegę prawa. I ludzie muszą się nauczyć, że jeśli postępują wbrew jego nakazom, spotka ich ciężka kara.

— Nie dożyjesz sędziwego wieku w Inntrondheimie.

— Dlaczego nie? Mam zbrojnych z Kaupangu. Zamierzam także zwołać dodatkowe siły z okolicznych dworów. Jeśli nowi mieszkańcy jeszcze nie nauczyli się bojaźni wobec króla, jego ludzie wnet ich pouczą. Niebawem poczują ufność do mnie, już miałem nie raz do czynienia z dworskimi ludźmi, Sygrydo.

— Czy znasz ustawy Frostatingu?
— Nigdy nie byłem szczególnie biegły w prawie.
— To znaczy, że król przysłał cię tutaj jako swego namiestnika, choć nie znasz dobrze ani prawa, ani ustaw!
— Muszę znać tylko jedno: nakaz króla.
— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, powiedz mi, do czego to się sprowadza?

— O, nic trudnego. Mam utrzymać spokój i ład w okręgu, dopilnować, by ludzie przestrzegali wiary chrześcijańskiej, karać tych, którzy warzą napoje z ziół i odprawiają gusła, zbierać daniny dla króla.

— A jednak król troszczy się o prawa choćby w tej mierze, że je odmienia, nawet jeśli je wykląda po swojemu — rzekła Sygryda. — W trondheimskim okręgu, zgodnie z obyczajem, rzecznicy prawa wykładali ustawy, a wybrani i zaufani ludzie według nich sądzili. Nie przywykliśmy do tego, by jeden człowiek zagarniał władzę w swoje ręce i okaleczał wolnych ludzi bez sądu. Jeśli jeden człowiek ustanawia prawa i według nich sądzi, wtedy zaczyna się bezprawie, tak zawsze mówił Olve. Ogromnych sił potrzebowałbyś, Kalfie, gdybyś zamierzał stawiać siebie ponad ustawami i tingiem, tu w trondheimskim okręgu.

Kalf nie odpowiedział, ale widać po nim było, że dała mu sporo do myślenia.

— Czy umknęłaś do lasu dlatego, że kazałem ukarać zarządcę Bjórna? — spytał po chwili.

Sygryda skinęła potakująco.

— Dziwna jesteś — powiedział. — Ale to, co mówiłaś o ustawach i prawie, przypomniało mi, czego uczyłem się w Giske jako wyrostek. Chyba w tym jest dużo prawdy.

— Zarządcy nie dałeś nawet sposobności zapłacenia grzywny.

— Niewiele by to pomogło! Urodził się niewolnym i pochodzi z od dawna niewolnych, jak niemal wszyscy zarządcy króla. Nigdy nie posiadał nic poza tym, co nosi na grzbiecie.

— Czy król rozumnie czyni, wyznaczając takich ludzi do zawiadywania znacznymi dobrami? — spytała zdziwiona

Sygyda. Przypomniała sobie Toralda, zarządcę w Haugu, i nieszczęście, jakie ów człek niskiego stanu sprowadził na okoliczne gminy.

— Olaf nie znajdzie wolnych, którzy by z dobrej woli czuwali nad królewskimi majątkami — odpowiedział Kalf. — Uważa, że jeśli ponad stan wyniesie niewolnego, może liczyć na pełniejszą wierność, niż gdyby użył przymusu wobec mężów wysokiego rodu. Najczęściej ma słuszość; większość królewskich zarządców jest mu wierna, a kradną nie więcej, niż można się spodziewać po każdym niewolnym. Natomiast kmiecie ich nie lubią.

— Chyba nie bez powodu — zauważyła Sygyda.

— Kmiecie boją się ich, bo są oczami i uszami króla.

— Czasem nie mówią prawdy — rzekła z goryczą Sygyda. — Ale może i uczciwości nie należy spodziewać się po niewolnym.

Kalf spytał, co miała na myśli, opowiedziała mu tedy, co wiedziała o udziale Toralda w zajściu w Maerinie.

— Bardzo miłowałaś Olwego? — spytał Kalf, gdy skończyła opowieść.

— Tak — potwierdziła, po czym położyła mu rękę na ramieniu. — Czy nie moglibyśmy sypiać w innej łóżnicy? Ta komora pełna jest wspomnień.

— Wątpię, byś zdołała uciec od wspomnień w tym dworze.

Wiedziała, że miał słuszość, toteż zamilkła.

— Co zamierzasz zrobić z guślarką? — spytała po chwili.

— Jeszcze o niej nie myślałem.

— Gdybyś zezwolił, można by ją uprzedzić, że chcesz ją pojmać, a potem zostawić czas na ucieczkę do Szwecji.

— Lubisz guślarki?

— Nie. Ale król dowiedział się o niej z mojej winy.

— Ja także nie lubię guślarek. A ta wydaje mi się wiedźmą najgorszego rodzaju.

— Kalf! — Sygyda zarzuciła mu rękę na szyję. — Nigdy sobie nie daruję, jeśli będzie cierpiała dlatego, że nie trzymała języka za zębami.

— Czyżbyś zamierzała próbować przymilności? —
Uwolnił się z jej objęć, lecz znów przygarnął ją z uśmiechem.
— Nie zamierzałem posyłać po nią pachółków w najbliż-
szych dniach.

Sygyda spojrzała mu w oczy i od razu wiedziała, że
nazajutrz może całkiem bezpiecznie uprzedzić guślarkę.

Kalf usnął, Sygyda słuchała jego spokojnego oddechu.
Spał w poczuciu bezpieczeństwa niczym dziecko.

Musiał jej ufać, jak twierdził Guttorm. Zresztą nie dała
mu powodów do sądzenia odmiennie.

Siedząc tego dnia w sosnowym lesie pragnęła go zabić,
obecnie wiedziała, że nigdy tego nie uczyni.

On był inny niż król Olaf. Można go było przekonać.
Sygyda czuła, że odniosła zwycięstwo odwołując go od
wypełnienia szczególnego nakazu króla.

Przeczuwała, że posiada nad Kalfem władzę, jakiej nigdy
nie miała nad Olvem.

2

Zanim doczekano się piwa w Egge, musieli je kupować
w okolicy.

Najpierw trzeba było sporo czasu na słodowanie jęczmie-
nia. Słodu we dworze nie mieli, a gdy Kalf chciał kupić,
dziwnym trafem braki okazały się w całej gminie. Następnie
pora słonecznego porównania była tak blisko, że należało ją
przeczekać. Choć ludzie byli spragnieni piwa, nie śmieli go
warzyć w tym czasie; mogło bowiem okazać się skażone*
i spowodować wymioty.

Nareszcie jednak wypełniono ogromną kadź. Tymcza-
sem zaś niewolna w drugim naczyniu mieszała śrutę w gorą-

* Piwo warzone z jęczmienia zanieczyszczonego nasieniem życicy trującej
(*Lolium temulentum*); staronorweska nazwa zapożyczona z Irlandii znaczyła
„wymiotnica” (przyp. aut.).

cej wodzie, aby była gotowa do powtórnego wypełnienia kadzi.

Sygyda wszystkiego doglądała osobiście, a miała czego pilnować. Należało przygotować zacier, potem warzyć brzeczkę dodając chmiel oraz inne zioła, w końcu zaś oddzielić zioła przed nastawieniem piwa.

Ragnhilda, również obecna w świetlicy, dozorowała kadzi z piwem. Prawie nie odzywała się do Sygydy, a pytania zbywała kilku słowy. Sygyda nie pojmowała, dlaczego zarówno Ragnhilda, jak reszta domowników z początku chętnie powróciła, a potem odsunęła się od niej.

Tora córka Ólvego nie wróciła do Egge. Pozostała w Beitstadzie.

Na pytanie Sygydy Kalf odpowiedział, że Tora może zamieszkać w Egge. Posłała więc po nią, lecz świekra przez tego samego umyślnego odpowiedziała, że obecnie nie ma nic do roboty w Egge. Sygyda nie miała czasu jechać do Beitstadu na rozmowę z nią. Synowie Olvego odwiedzili babkę, lecz po powrocie niewiele się od nich dowiedziała.

Mieszkańcy gminy odnosili się wrogo zarówno do Kalfa, jak i do Sygydy. Odmowa sprzedaży słodu była tylko jedną z licznych oznak powszechnej niechęci. Kalf z początku zamierzał rozesłać pachółków do okolicznych dworów i zmusić kmieci do odstąpienia im słodu, Sygyda jednak odwiodła go od tego zamiaru.

Trochę piwa dostali z dworów podległych Egge, więc posiłki nie zawsze zapijali czystą wodą.

Świetlicę wypełniała gęsta para, toteż Sygyda z przyjemnością wyszła na dziedziniec do księdza Jona, który miał pobłogosławić piwo, nim je nastawią.

Znalazła się poza obejściem na zboczach, gdzie niegdyś stał chram. Teraz mieli tam pobudować kościół.

Ksiądz Jon orzekł, że nie trzeba burzyć chramu. Wystarczy skropić wnętrze wodą święconą, a wszystkie złe moce oraz bogowie zostaną wypędzeni i będzie mógł służyć za chór w nowym kościele.

Z miejsca budowy dochodził stuk siekier i zgrzyt pił.

Nawa kościelna miała być drewniana tak jak chór; obkopywano właśnie ogromne narożne bale.

Ksiądz Jon gawędził z nadzorcą budowy. Z uśmiechem kiwał głową słuchając wyjaśnień majstra, ale najwidoczniej nie znał się na takim sposobie budowania kościołów.

— W Anglii wznosimy kościoły z kamienia — powiedział do Sygrydy w drodze do dworu.

— Po co budować nowy kościół? — spytała. — Czy dawny w Steinkjerze jest za mały?

— Kalf chce mieć główny kościół w Egge. Ale tamten w Steinkjerze też będzie odnowiony.

— Ciesz się mnie to — zauważyła Sygryda. — Dwoje moich dzieci tam pochowałam.

Ksiądz Jon jakby sobie coś nagle przypomniał.

— Ludzie powiadają, że ksiądz, który był w Steinkjerze za czasów jarla Svena, to święty mąż.

— On nie miał tak wysokiego mniemania o sobie. Wobec czego, kiedy kmiecie chcieli zrobić z niego świętego, opuścił gminę.

— Niełatwo będzie wypełnić miejsce, jakie zajmował — westchnął ksiądz Jon.

— Nie — potwierdziła Sygryda myśląc o płomiennej żarliwości, z jaką Anund służył Chrystusowi, i równocześnie zerkała spod oka na dobrodusznego człowiczka bez przerwy mrugającego oczami.

Ksiądz Jon nie był jedynym kapłanem w okolicy. Król opuszczając Maerin pozostawił tam innego. Zwał się Osvald. Sygryda cieszyła się, że to nie on osiadł w Egge, bo ten chudy, śmiertelnie poważny człowiek, ilekroć odwiedzał dwór, mówił jedynie o piekle. Przed powrotem Kalfa i Sygrydy odprawiał nabożeństwa w Steinkjerze, obecnie przeniósł się dalej w stronę Snaasy, skąd łatwiej mu było dopilnować, aby mieszkańcy tamtych okolic wytrwali w prawdziwej wierze.

Sygryda wchodząc z księdzem do świetlicy ciężko westchnęła. Niechęć domowników zaczynała ją gnębić.

W połowie lata w Egge wszystko już szło swoim torem.

Kalf miał zdobyczne srebro, posłał tedy pacholców do Kaupangu po zakupy. Dwór był znowu w pełni wyposażony.

Czas upływał jak dawniej z tą widoczną różnicą, że ksiądz co dzień odprawiał mszę w pogodne dni na dziedzińcu, w pozostałe w dużej sali. Tak miało być do czasu ukończenia kościoła.

W niedziele i święta wszyscy mieszkańcy gminy, chcieli czy nie chcieli, musieli być na nabożeństwie. Przychodzili więc nieradzi, zamknięci w sobie. Jeśli próbowała ich zagadnąć, odpowiadali grzecznie, lecz zwięźle.

Na niedzielnej mszy Sygryda widywała Gydę i Blotolfa z Gjevranu. Blotolf kroczył wolno, drogę macał kijem, choć zdawało się, że spoziera przed siebie ślepych wodnistymi oczami. Gyda pomagała mu w miarę możliwości. Pewnego dnia Sygryda spytała Guttorma, co dzieje się z innymi, którzy utracili bliskich i majątki w Maerinie. Guttorm bowiem należał do nielicznych, z którymi mogła rozmawiać, choć i on po kilku pierwszych dniach znowu ochłódł.

— Łacno to odgadnąć — odpowiedział.

A gdy nalegała, dowiedziała się, że dumnym rodom mieszkającym dokoła fiordu niewiele pozostało z dawnej świetności.

W Saurshaugu i Olvishaugu osiedli królewscy zarządcy. Namiestnikiem Inneróy król wyznaczył człeka niskiego rodu, Torgeira z Kvistadu, nadał mu także rozległe majątki.

Niektóre wdowy zdołały uratować własne dwory, inne żyły w prawdziwej biedzie. Gunnhilda z Hustadu z gromadką małych dzieci chodziła od dworu do dworu z sakwą żebraczą.

Sygryda była wstrząśnięta, nie przypuszczała bowiem, że było aż tak źle. Zrozumiała też lepiej, dlaczego ludzie powstawali przeciwko niej, skoro powróciła do dworu i ziemi i nadal była panią na Egge.

Zaczęła tedy rozważać, co można uczynić, aby przyjść z pomocą pokrzywdzonym. W końcu postanowiła udać się do Gjevranu.

*

Na podwórzu panowała zupełna cisza, ludzie wyszli na łąki do sianokosów. W świetlicy zastała Gydę oraz Blotolfa siedzącego przy palenisku z twarzą zwróconą w stronę ognia, jakby mógł go widzieć.

Gyda uniosła głowę znad dzieży, w której wyrabiała chleb.

— Czego życzyście sobie w Gjevranie, pani Sygrydo?
— spytała wysokim, rozdrażnionym głosem.

— Mówiliśmy sobie po imieniu, dawniej — zauważyła Sygryda.

— Zwykli ludzie, tacy jak my, winni okazywać szacunek niewieście, która zaślubiła królewskiego namiestnika z Egge.

— Gyda! — Sygryda podeszła do gospodyni z wyciągniętą ręką.

— Nie mogę podać ręki oblepionej ciastem — rzekła Gyda zbierając się znowu do mieszania ciasta.

Sygryda zwróciła się do Blotolfa.

— Przyszłam zapytać, czy mogę wam jakoś pomóc?

— Dziękuję, radzimy sobie — odparł Blotolf. — Uratowaliśmy dwór, poszczęściło się nam lepiej niż innym.

Sygryda rozejrzała się po świetlicy. Robiła wrażenie opustoszałej. Wiele z tych rzeczy, które pamiętała, zniknęło, brakowało zarówno naczyń kuchennych, jak i ozdób przysparzających dumy pani domu.

Gyda śledziła ją wzrokiem.

— Pusta wydaje się ta izba temu, kto przywykł do świetlicy w Egge — powiedziała. — Musieliśmy się wyprzedać na zapłacenie grzywny królowi.

— Wracaj do Egge, Sygrydo! — odezwał się nagle Blotolf. — Nie potrzebujemy niczyjego politowania. A jeszcze mniej pragniemy obecności kogoś, kto podpatruje i podsłuchuje dla królewskiego namiestnika.

Sygryda skamieniała.

— Czyżby ludzie mniemali, że będę na nich donosiła Kalfowi? — spytała.

— Czy król przysłałby ciebie z powrotem do Inntrondheimu bogatszą i możniejszą niż dawnej, gdybyś mu w za-

mian czegoś nie obiecała? Mieszkańcy naszej gminy nie są tak głupi, jak sądzisz, Sygrydo!

— Blotolfie, ja...

— Chcesz wiedzieć, co ludzie o tobie myślą? — przerwał jej porywczco. — Teraz zobaczymy, czy poskarżysz się na mnie Kalfowi synowi Arnego.

— Mów!

— Tfu! — Blotolf plunął w stronę, skąd dochodził jej głos, ale nie trafił.

Sygryda była zbyt wstrząśnięta, by dobyć słowa: wiedziała, że wybuchnie płaczem, jeśli spróbuje się odezwać. Odwróciła się zatem i wyszła.

W powrotnej drodze zatrzymała się w miejscu, skąd widok na fiord był najpiękniejszy.

Od blisko trzynastu lat patrzyła na przysadziste, niskie wzgórza otaczające ją kręgiem. Teraz stały równie niewzruszone jak dawniej. Zdawały się mówić: „Dlaczego troszczysz się o ludzi? Spójrz na nas, jesteśmy takie same jak w dniu twego przyjazdu. Za rok, za dziesięć lat albo i za sto, kiedy ty spocznieś w ziemi, my pozostaniemy tutaj nie zmienione”.

Sygryda miała wrażenie, że pragnie objąć uściskiem cały fiord i niebo, i wzgórza, bo są wierne i przygarniają ją, bo nie są zmienne jako ludzie.

W tym czasie Sygryda zbliżyła się do Kalfa. Od owej pierwszej wieczornej rozmowy po przybyciu do Egge wypytawał ją o ustawy lub obyczaje. Starała się odpowiadać w miarę możliwości najlepiej, a dziwiła się przy tym sama, ile wiedziała.

Olve często mówił o tych sprawach, w jego życiu bowiem nie mało znaczyły. A Sygryda, choć nieświadomie, ciągle się od niego uczyła.

Ceniła miłość i troskliwość Kalfa; podtrzymywały ją bowiem na duchu w obliczu oziębłości domowników. W końcu sama zaczęła okazywać mu więcej uczucia, niż istotnie dlań żywiła.

Jednakże nie mogła się powstrzymać, by od czasu do czasu nie wypróbować owej władzy, jaką nad nim zyskała:

używała jej celem odwodzenia go od spełniania woli królewskiej, choćby w drobiazgach.

Chodziła także na pogawędki do księdza Jona. Na mszy bywała częściej niż dawniej, usiłowała bowiem znaleźć w chrześcijaństwie szczęście, o którym mówił ksiądz Anund. Ale nie zdołała go osiągnąć. Nawet Sakrament Ołtarza nie dawał jej upragnionego spokoju.

Zapytała o to księdza.

— Ważne jest, że przystępujesz do Stołu Pańskiego — odparł. — Wystarczy, abyś była posłuszna nakazom ustanowionym przez Kościół, a możesz być pewna, iż łaska będzie ci dana. Natomiast szczególnych wrażeń nie potrzebujesz odnosić.

Prawda, należało przestrzegać wielu przykazań i zasad. Istniały przecież posty i dni świąteczne. Sygrydzie z trudem mieściło się w głowie, jak można podołać wszystkim pracom gospodarskim, jeśli ludzie mają odpoczywać każdego siódmego dnia tygodnia, a nadto w liczne święta i dni przedświąteczne od nony. Gniewało ją także, że nie mogła tkąć w dni przeznaczone na odpoczynek; przecież tego zajęcia nie uważała za pracę.

Poza tym należało się spowiadać, czynić pokutę i robić wszystko co należy podczas mszy. Ksiądz Jon oświadczył, że szczególnie ważne jest, aby klękała i wstawała lub żegnała się we właściwych chwilach, gdyż gospodarze z Egge muszą dawać budujący przykład całej gminie.

Kalf często chodził na mszę, pościł i surowo przestrzegał odpoczynku świątecznego. Sygryda próbowała mu się zwierzyć, jak bardzo pragnie, aby Bóg dał jej znak, że ją przyjął, i by odczuła Jego bliskość.

— Bóg jest blisko ciebie w Sakramencie Ołtarza — odparł Kalf.

— W kawałeczku chleba? — Sygryda wiedziała, że Olve wyczuwał bliskość Boga w tym sakramencie, sama jednak nigdy nie doznała tego wrażenia.

— Tak. A skoro Kościół przyjął ciebie na swoje łono, tedy Bóg także cię przygarnął.

Powtórzyła mu rozmowę z księdzem Jonem.

— Ale w chrześcijaństwie musi kryć się coś więcej niżli lęk przed gniewem Boga, gdy łamiemy jego przykazania — zauważyła. — W przeciwnym razie chrześcijaństwo nie jest lepsze od dawnej wiary, my też lękaliśmy się gniewu bogów, jeśli nie składaliśmy im obiaty.

— Bóg jest dobry, a bogowie są źli. To wielka różnica — odparł Kalf.

— Ale jeśli nowy Bóg i dawni bogowie są łaskawi, kiedy im się przypodobamy, w przeciwnym zaś razie się gniewają, czy to nie wychodzi na jedno...

Kalf wybuchnął śmiechem.

— Dziwne zadajesz pytania. Ja wiem tylko, że przyrzekłem służyć nakazów chrześcijaństwa i spełniam to najlepiej, jak potrafię. A Chrystus musi być potężnym Bogiem, skoro tak skutecznie pomaga królowi.

Sygyda nie dowiedziała się niczego więcej ani od księdza, ani od Kalfa. Jeśli próbowała wyjaśnić myśli Olwego, natykała się jakby na ślepy mur. Obaj odpowiadali, że na pewno miał słuszość, ale ważne jest tylko, aby ona słuchała nauki Kościoła.

Po Sygydzie już było znać, że oczekuje dziecka, toteż liczyła, iż dworskie kobiety okażą jej teraz więcej względów. Tymczasem na jej widok nagle urywały rozmowę i dziwnie popatrywały.

Pewnego dnia deszcz siekł darniowe poszycie dachu, strugi wody lały się z okapów. Nad całą okolicą zawisły ciężkie chmury, aż czarne i dziwnie zimne. Kłębiły się między koronami sosen, snuły się nad dachami, a budziły w niej takie uczucia jak niechęć ludzka, od której dławiło ją w gardle, bo miała wrażenie, że ze wszystkich stron otacza ją chłód przejmujący do szpiku kości.

Kiedy weszła do świetlicy, zastała w niej już prawie wszystkie służebne, bo przygotowywano wieczerzę. Byli tu również jej synowie oraz Guttorm Haraldsson ze swoim pierworodnym. Guttorm z Grjotgardem zabawiali się grą, pozostali mężczyźni przyglądali się jej przebiegowi. Dziewki skupione wokół paleniska gwarzyły półgłosem. Sygyda

usłyszała swoje imię, lecz któraś ją zauważyła, dała znak towarzyszkom, więc od razu umilkły.

Sygyrdzie było tego za wiele — podeszła do nich i spytała, o czym mówiły.

— O wszystkim po trosze — odparła jedna.

— Słyszałam swoje imię. Chcę wiedzieć, coście mówiły.

— O tym, że spodziewasz się dziecka — rzekła inna.

— No to co? — Sygyda nie ustępowała.

Nie otrzymała odpowiedzi, czuła, że policzki jej pałają.

— Żądam odpowiedzi, i to szczerzej, inaczej gorzko pożałujecie! — Sama złąkała się ostrego brzmienia swego głosu.

Dziewki szeptały między sobą, żadna nie chciała się odezwać.

— Ty mów, Ingebjörgo! — Sygyda wskazała na służebną, która wraz z nią przybyła z Bjarkóy. Szczególnie brała sobie do serca to, że dziewczki przywiezione z rodzinnej wyspy były jej teraz przeciwne.

Towarzyszki wypchnęły Ingebjörgę do przodu.

— My... my... rozważałyśmy, kto jest ojcem twego dziecka — wyjąkała zalekniona.

— A któż może nim być, jeśli nie śmiecie mnie o to zapytać? — głos jej brzmiał lodowato.

— Ludzie powiadają... — Ingebjörga nie dokończyła.

— Co ludzie mówią? — zabrzmiał niski głos Guttorma, który razem z synami Sygydy podszedł do stojących przy palenisku.

Ingebjörga zwróciła się do niego.

— Mówią, że może sam król, skoro Sygyda odpłynęła z nim z Maerinu.

Sygyda zmartwiała, osunęła się na ławę. Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nawet nie zdążyła wszystkiego zauważyć.

Rozległ się odgłos wymierzonego policzka, krzyk, Ingebjörga podniosła rękę do zakrwawionych warg. Przed nią stał Grjotgard, błądy z wściekłości.

— Ośmielisz się powtórzyć to jeszcze raz o mojej matce?

Guttorm przytrzymał chłopaka, który chciał ponownie rzucić się na Ingebjörgę.

— Sama słyszałam w Maerinie, jak powiedziała, że przyjmie króla z radością — bełkotała dziewczyna.

— Ja pozostałem w Maerinie, kiedy wszystkich stamtąd odesłano, i Tore także — Grjotgard usiłował wyrwać się Guttormowi. — Nie odstępowałimy matki ani na chwilę w Kaupangu. Dziecko, które się urodzi, pochodzi od tego samego ojca co i my, możemy za to ręczyć!

— Wracajcie do roboty — rozkazał Guttorm dziewczkom. — I żebyście mi więcej nie powtarzały łągarstw i plotek!

Wśród ogólnego milczenia słycać było tylko szurganie garnkami i patelniami.

Sygyda siedziała na ławie. Ale po obu stronach matki usiedli synowie — po raz pierwszy, odkąd poślubiła Kalfa.

3

Finn Haraldsson wrócił do Gjevranu.

Sygyda posłyszała o tym od Guttorma i tegoż wieczora Finn odwiedził Egge.

Przywiózł pozdrowienia od Torego.

Kalf zaprosił go do biesiadnej sali i podejmował miodem; ostatnio rzadko goście przybywali do Egge. Sygyda z zadowoleniem stwierdziła, że Finn się nie zmienił. Widocznie nie przejął się ludzką gadaniną.

— Co nowego przywozisz z Haalogalandu? — spytała, gdy podano do stołu i napełniono róg.

— Niedobre nowiny — odparł. — Twój brat Sigurd zmarł ostatniej zimy.

Sygyda w milczeniu spozierała na stół, na którym widniały liczne znaki i nacięcia.

Mało znała tego brata; teraz od wielu miesięcy już nie żył, ona zaś ani o tym wiedziała, ani czuła jego braku. A przecież ogarnęło ją dziwne uczucie. Bądź co bądź świadomość, że choć daleko w Trondarnes, ale istnieje, wzmagała jej poczucie bezpieczeństwa.

— Jaką śmiercią skończył? — spytała w końcu.

— Zwykłą, w łożu.
— A Sygryda córka Skjalga bardzo boleje?
— Nie sądzę, by się załamała — odparł Finn oschle.
— Ostatnimi laty chyba ze sobą nie rozmawiali. Ludzie powiadali, że jest zadowolona, iż będzie miał chrześcijański pochówek, bo nie potrzebowała nic dawać do mogiły.

— Poprzedniego lata, będąc z królem w Trondarnes, zauważyłem, że ze sobą nie gadają — rzekł Kalf. — A kiedy poganiała dziewczki, sam słyszałem, że mocna w gębie. Nie dziwię się, że Sigurd nie chciał z nią mówić. A zresztą wśród niewiast z rodu Horda-Kaaresa nie ona jedna ma cięty ózór. Ragnhilda córka Erlinga, małżonka mego brata, też jest niezgorzej pyskata.

— Całe nieszczęście w tym, że żadna z nich nie musiała czołgać się z Gjevranu do Egge — zauważył Finn mrugając porozumiewawczo na Sygrydę.

— Ingerida przyjechała z tobą? — spytała natychmiast Sygryda.

— Tak i wszystkie dzieci także — a widząc pytający wzrok Sygrydy dodał: — Cała piątka. A przyjechaliśmy, żeby tutaj osiąść. Blotolf ustąpił mi poczesnego miejsca, choć go od tego odmawiałem. Mówi, że ślepiec nie może zarządzać dworem.

— Złożyłeś wielkie przysięgi? Czy też nauczyłeś się roztropności? — spytała Sygryda.

— Zadowolilem się przyrzeczeniem, że będę zarządzał dworem najlepiej, jak potrafię, i postępował tak, aby nie przyczynić wstydu memu poprzednikowi.

— Asbjörn syn Sigurda pewno przejął teraz po ojcu dwór w Trondarnes — rzekła zamyślona Sygryda. — Jakie przysięgi on złożył, nim zajął poczesne miejsce?

— O, ten chłopak ma o sobie niezgorsze mniemanie. On zdobędzie nową Winlandię.

— Wspaniałe zamysły! — powiedziała Sygryda. Po chwili zaś spytała: — Słyszałam, że Tore jest królewskim namiestnikiem? — Rozgoryczenie przebijało w jej głosie.

Finn zerknął na nią, po czym obiegnął wzrokiem biesiadną salę.

— Tak. Ale zdaje mi się, że król ciebie także nie skrzywdził.

Sygyda milczała, pomyślała tylko, że Finn mógł jej oszczędzić tej uwagi.

— Tore prosił, bym cię uprzedził, że przybędzie w te strony, skoro tylko będzie mógł. Chciałby bliżej poznać nowego dziewierza — to jego słowa.

Sygyda nie wiedziała, czy ma się cieszyć. Dobrze, ale i przykro będzie spotkać Torego po tylu latach i wydarzeniach. Nawet nie była pewna, czy pozostaną sobie bliscy.

— Jaki on jest? — spytała ostrożnie.

— Biegły w handlu — odparł Finn zacierając ręce.

— W każdym razie ty nic się nie zmieniłeś, Finn! — wybuchnęła Sygyda. — Pozostałeś równie szczerzy jak dawniej!

Podczas tej rozmowy Kalf marszcząc brwi przyglądał się bacznie Finnowi.

— Widziałem cię na Bjarkóy tamtego roku, kiedy przysięgałeś wierność królowi. Ale pewien, że to nie był pierwszy raz. Tylko nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

Finn uważnie przyjrzał się Kalfowi.

— Chyba masz słuszność. Bywałeś dawniej w Trondheimie?

— Nie. Na północy też nigdy nie byłem. Musieliśmy spotkać się na wyprawie.

Obaj spojrzeli na siebie badawczo.

— Napijmy się na przypomnienie — rzekł Kalf.

— Już mam! — zawołał Finn po chwili. — Czy byłeś w Anglii owego roku, kiedy Sven Widłobrody pognął króla Ethelreda i Olafa Haraldssona do Wallandii?

Kalf wybuchnął śmiechem.

— Zdaje mi się, że onego czasu obaj walczyliśmy po niewłaściwej stronie!

— Sven Widłobrody szczerze rozdawał łupy — odparł Finn również rozweselony. — A walki mieliśmy wspaniałe. Nigdy tego nie żałowałem.

— Teraz i ja ciebie pamiętam. To ty niezwykle biegle kłąłeś po irlandzku.

— Nauczyłem się poprzedniego roku w Dublinie. Na zimę kupiłem sobie irlandzką niewolną. Najpierw przeklinała mnie za to, że ją kupiłem, a później klęła, kiedy chciałem ją odprzedać. Nic na tym handlu nie zarobiłem, ale com się nauczył, to moje.

Do późnego wieczora wymieniali wspomnienia z wypraw do Anglii pod wodzą Widłobrodego. Sygryda słuchała w milczeniu.

Kiedy w końcu Finn wstał, słabo trzymał się na nogach, toteż Kalf, który sam z trudnością zachowywał równowagę, nie ustąpił, póki go nie nakłonił do pożyczania wierzchowca.

Rozstali się jako najlepsi przyjaciele, Kalf i Sygryda musieli przyrzec, iż rychło odwiedzą Gjevran.

— Miałaś dobrego małżonka — powiedział Finn do Sygrydy siadając na koń — ale ten, którego teraz dostałaś, nie jest gorszy!

Na rozległych polach Egge falowały złociste łany zboża, po których przebiegały ciemniejsze smugi. Na skraju lasów czerwieniły się jarzębiny. Żniwa były za pasem. Ale ludzie jeszcze siekli potrawy, choć większość siana już sprzątnięto lub dosuszano na żerdziach, by zwieźć je saniami, gdy spadną śniegi.

Kłosa ciężko zwiślały, jeśli plony w porę trafią pod dach, rok w trondheimskim okręgu będzie pomyślny.

Nastrój w Egge był mniej ponury, odkąd Finn Haraldsson wrócił z północy.

Wkrótce po pierwszych jego odwiedzinach Kalf z Sygrydą pojechali do Gjevranu. Blotolf i Gyda trzymali się na uboczu, natomiast Ingerida i Finn tym serdeczniej przyjęli gości.

Sygryda z trudnością poznała Ingeridę; była teraz zażywną i łagodną niewiastą, a gdy się uśmiechała, miała dołeczki na policzkach. Roiła się wokół niej gromadka dzieci, począwszy od najstarszej Rannveigi, dziewczeczki Uczącej dzieść zim, a kończąc na najmłodszym Haakonie, jeszcze niemowlęciu. Na pozór jednak wcale jej nie przeszkadzały. Gawędziła wesoło, tylko od czasu do czasu przerywała

rozmowę nawoływaniem: „Harald, nie ciągnij kota za ogon, uszy bołą, tak miauczy! Helga, nie kładź ręki w popielnik!”

Ciężko im było opuścić Grytówy — twierdziła Ingerida. Blotolf jednak przysłał umyślnego, bo nie mógł sobie poradzić z gospodarstwem. Finn zostawił na wyspie zaufanego zarządcę, ale raz do roku będzie musiał jeździć na północ, by dopatrzeć, czy wszystko jest w należyтым porządku.

— Nigdy nie przypuszczała, że tak ciężko ci będzie wyjechać z Grytówy — zauważyła Sygryda i obie się roześmiały.

Od Ingeridy dowiedziała się, że Tore sprowadził na Bjarkówy nałożnicę, fińską dziewczynę. Nie miał z nią dzieci, a nie zamierzał zawierać ponownego małżeństwa.

Sygryda dziwnie się czuła w Gjevraniu. Bywała tu często z Olvem, gdy Finn z Ingerida jeszcze mieszkali we dworze, i zawsze czuła się znacznie od nich starsza. Blotolf był przyjacielem Olwego, a więc i ona jakby należała do pokolenia pana na Gjevraniu. Teraz natomiast Kalf był rówieśnikiem i przyjacielem Finna, toteż i Sygryda czuła się nagle bliższa Ingeridzie niż małżonce Blotolfa.

Grjotgard i Tore towarzyszyli im do Gjevranu. Od czasu zajścia między Guttormem a Ingebjörga obaj się zmienili. Rzadziej znikali z domu, byli mniej chmurni.

Kiedy pewnego dnia w towarzystwie rówieśników rzucali włócznią, Kalf mijając ich zatrzymał się. Obejrzał włócznię Grjotgarda, zważył ją w dłoni i rzekł:

— Jużś dorósł do miotania cięższą włócznią.

Odszedł, lecz po chwili wrócił i podał chłopakowi swoją włócznię.

— Rzadko jej teraz używam. Weź ją sobie.

Grjotgard już wyciągnął rękę po dar, lecz szybko ją cofnął. Ale nie spuszczał oka z przepięknej broni misternie inkrustowanej srebrem. W końcu przyjął podarunek, ale dziękował ze spuszczoneym wzrokiem.

Kalf obiecał, że znajdzie również dar dla Torego: miał rząd na konia, który pewno chłopcu się spodoba.

*

W jakiś czas po odwiedzinach w Gjevranie, a był to już miesiąc żniwny*, Tore wrócił do domu z Heggvinu głębooko zamyślony.

Była to niedziela, Sygryda poszła odpocząć w komorze. Nie przywykła do dni wolnych od pracy, toteż nie wiedziała, co robić z czasem.

Tore zapukał do drzwi, wszedł, przysunął zydel do łoża i usiadł.

— Chciałeś czegoś? — spytała Sygryda po chwili.

Tore trochę się ociągał, wreszcie rzekł:

— Zamierzałem tylko powiedzieć, że nigdy więcej nie zezwolę, by źle o tobie mówiono.

— Pomożesz mi ogromnie, Tore. Ale czy zaszło coś szczególnego, że nagle wpadłeś na tę myśl?

— Doszedłem do tego powoli. Najpierw słyszałem, co Ingebjörga rzekła w świątyni. Wiedziałem, że to łgarstwo. A potem przyszło mi do głowy, że nieprawdą jest także to, jakoby szpiegowała dla Olafa. Czy tak?

— Tak. To nieprawda — stwierdziła Sygryda.

— Kalf jest szczerym i prawym mężem, chociaż byliśmy mu krzywi. Jednakże nie może się równać z ojcem — dodał pośpiesznie.

Sygryda milczała.

— Czy mniemasz, że może? — Tore patrzył na matkę z powagą.

— Wolałabym pozostać wdową, lecz nikt mnie o to nie pytał.

— Rad jestem, że tak postąpiłaś.

Sygryda była zdumiona.

— Spotkałem dzisiaj w Heggvinie Oyolfa, syna Orma z Hustadu. Chodzi od dworu do dworu na żebry. Tak mogło być i z nami, gdybyś nie chciała wyjść za Kalfa. A nie sądzę, by ojciec tego dla nas pragnał.

— Nie byłoby aż tak źle, pozostałyby nam moje dwory.

— Król mógł je odebrać, gdybyś sprzeciwiła się jego woli.

* Okres od 15 sierpnia do 15 września (przyp. aut.).

— Tore Hund, mój brat, nie zezwoliłby nam chodzić po dworach z żebraczą sakwą. Gospodarzom z Hustadu jest gorzej. Wiesz przecie, że ród matki Oyolfa także wszystko utracił, nie mają nikogo, kto by im pomógł.

— Czy my nie możemy im pomóc?

— Nie sądzę, by cokolwiek od nas przyjęli.

Jak dobrze było móc znowu powiedzieć: „od nas”, obejmując tym słowem synów.

Tore zacisnął zęby.

— Przyjdzie dzień, że pomszczę krzywdy wyrządzone przez króla. Ojciec nie będzie długo czekał w grobie na zemstę, kiedy ja dorosnę.

— Mądrze byś uczynił nie zdradzając się tymczasem z tą myślą — rzekła Sygryda. — Nie wspominaj o tym nawet najlepszym przyjaciołom! Król ma wiele uszu.

— Niedawno byliśmy z Grjotgardem w Maerinie — rzekł Tore po chwili.

Sygryda o tym nie wiedziała, sama od powrotu do Egge nie była w Maerinie.

— Znaleźliście... ojcowską mogiłę?

Tore skinął głową.

— Rozmawialiśmy z księdzem. Przenieśli ojca i złożyli go w pobliżu kościoła. Król dotrzymał słowa.

Po odejściu Torego Sygryda długo rozmyślała nad tym, że Olve został pochowany przy kościele w Maerinie; gdyby sam wyznaczył miejsce pośmiertnego spoczynku, na pewno obrałby je tam właśnie.

Mijały tygodnie. Sporzątnięto zboże. Ludzie z kolei zbierali liście na paszę oraz wygrabiali resztki kłosów i słomy z pól, choć zaczął się miesiąc jesieni*. Obfitość plonów sprawiła, że w gminie spoglądano na Kalfa ze wzmożonym szacunkiem; uważano, że szczęście mu jawnie sprzyja, a więc może i warto trzymać stronę potężnego namiestnika. Z wolna ustępował także lęk przed bogami, okazało się bowiem, że nie mają mocy zesłania powtórnego nieurodzaju.

* Odpowiada okresowi od 15 września do 15 października (przyp. aut.).

Powoli zebracy i różni wędrowcy zaczęli pojedynczo wstępować do Egge, choć nie byli do tego zmuszeni. Opowiadali potem, że przyjmowano ich dobrze, niczym za czasów Olwego, i że ani Sygryda, ani Kalf nie ciągnęli ich za język chcąc sprawdzić, w co wierzą lub co myślą o królu.

Kmiecie zwołani przez Kalfa z okolicznych dworów także nie mieli mu nic do zarzucenia. Powiadali, że jest surowy, lecz sprawiedliwy. Nie był może tak szczodry jak Olve, ale skąpcem nie sposób go nazwać, a strawę w Egge podawano dobrą.

W tym czasie do Egge przybył Tore Hund wraz z synem Sigurdem.

Kalf przyjął go życzliwie, a za przywiezione dary odwzajemnił się hojnie.

Gwarno było pierwszego wieczora w Egge. Wysłano umyślnego do Gjevranu po Finna; do późnej nocy w biesiadnej sali gawędzili i śmieli się przy pełnych rogach.

Sygryda natomiast trzymała się na uboczu i wcześniej odeszła do komory. Przejęła się wiadomością, że Hilda, córka Ingi z Bjarkóy, zmarła przed kilku laty. A kiedy mężczyźni zaczęli pić za powodzenie króla, ucichła zupełnie. Nie mogła się powstrzymać od spoglądania ukradkiem na synów. Oni jednak udawali, że nic nie słyszą.

Od czasu rozmowy z matką Tore syn Olwego stał się znowu sobą jak dawniej. W stosunku do Sygrydy i Kalfa był szczery i otwarty, mimo że krył się z zamiarem wywarcia zemsty na chrzestnym. Zaprzyjaźnił się prędko z Sigurdem synem Torego; siedzieli obok siebie na ławie, trącali się łokciami i śmieli bez przerwy.

Grjotgard natomiast pozostał zamknięty w sobie, choć nie tak ponury. Zawsze mniej wylewny od młodszego brata, teraz stał się jeszcze bardziej skryty. Najczęściej przebywał w towarzystwie Haralda syna Guttorma oraz Kjartana Torkjellssona.

Kjartan bowiem powrócił do Egge. Zmienił się jednak nie do poznania. Z początku Sygryda sądziła, że powtórzą się dawne przechwałki wobec grona nowych słuchaczy. Tymczasem Kjartan okazał się tak cichy, jakby go w ogóle nie

było. Sygryda domyślała się, że tylko ogromne przywiązanie do Grjotgarda powstrzymało go od zabawiania stronników króla.

Sygryda pragnęła, by Grjotgard zwierzył jej swoje troski; wyczuwała bowiem, że chłopak cierpi. Stracił nie tylko ojca, ale także prawo dziedziczenia, czekał więc, aż we właściwym czasie urodzi się syn Kalfa, spadkobierca Egge. Wiedziała także, że nawet gdyby Grjotgard pojął żonę, która w wianie wniesie mu dwór i majątności, żaden inny dwór w całym kraju nie zastąpi mu Egge. Pierwsza nie śmiała go zaczepić, bo ile razy próbowała, w oczach chłopaka pojawiał się wyraz czujności i oziębłości.

W ciągu najbliższych dni Sygryda unikała brata. Zdawało jej się, że jego oblicze jest zimne i obce, a nawet przy uśmiechu oczy zachowywały wyraz powagi.

Pamiętała dobrze, jak rozpacziała, gdy w miejsce przyjaźni wrogość zakradła się między brata i męża. Teraz miała wrażenie, że właśnie Tore przez swój wrogi stosunek do dziewczera w pewien sposób przyczynił się do jego śmierci.

Rozżalenie jej pogłębiło się jeszcze, gdy Tore zawarł przyjaźń z Kalfem i pozornie nie żałował Olwego.

Tore zauważył, że siostra go unika, aż w końcu pewnego dnia zatrzymał ją na dziedzińcu.

— Dlaczego nie chcesz ze mną pogadać? — spytał.

— Co dnia z tobą rozmawiam.

— Nie o to mi chodzi. Dlaczego nie chcesz pogadać ze mną na osobności?

— Niełatwo znaleźć samotność we dworze.

— Dawniej nie sprawiało ci to trudności. Czy zapomniałaś, jak niegdyś rozmawialiśmy siedząc w porębie?

Sygryda nagle wyobraziła sobie widok na fiord; miała wrażenie, że czuje zapach drzewa i słyszy uderzenia siekier w głębi lasu. Wtedy Tore stracił ukochaną istotę i ona robiła, co było w jej mocy, aby mu pomóc.

Podniosła wzrok na brata, odpowiedział uśmiechem. Ale tym razem uśmiechały się także jego oczy dziwnie kontrastujące z surowością oblicza.

Po chwili szli ramię w ramię ścieżką przez wzgórze. Po wschodniej stronie leżały ogromne kurhany, Tore pytał, kto w nich spoczywa, Sygryda wyjaśniała, jak umiała.

Tym razem nie było ściętych pni do siedzenia, Tore zdjął opończę i rozpostarł ją na ziemi.

Ostatnim razem, kiedy tu siedzieli, pachniało wiosną, pośród drzew i krzewów ptaki zanosily się śpiewem. Teraz wędrowne ptactwo odleciało już na południe, kopuła nieba była wysoka, a powietrze chłodne i czyste.

Sygryda zerknęła na brata spod oka, ciekawiło ją bowiem, o czym chciał z nią mówić.

Tore podniósł rękę do wycięcia koszuli. Prawie natychmiast odgadła, co zamierzał jej pokazać.

— Przysięgłem, że zawsze będę go nosił — rzekł ścisnąc w ciemnobrunatnej od opalenizny i utrudzonej dłoni maleńki młot Tora.

— Czy nie wiesz, że za noszenie tego grozi ci kara śmierci! — zawołała przerażona.

Wzruszył ramionami, ukrył młotek pod koszulą.

— Złożyłem teraz życie w twoje ręce — odparł.

Z radosnym zdumieniem pomyślała, że Tore jej ufa, choć prawie nikt jej nie dowierza.

„Więzy rodowe silniejsze są niż każde inne” — powiedział przed ostatnim rozstaniem. Dopiero dzisiaj pojęła, jak bezwzględnie w to wierzył. Pokazując ofiarowany wówczas młotek nie tylko dał wyraz zaufania, ale zaznaczył także, że i ona może na nim polegać.

Sygryda nie spuszczała oczu z twarzy Torego, a tymczasem lata długotrwałego rozstania gdzieś się rozwiąły, niczym poranny opar nad cichym jeziorem. Poznawała go znowu. Wyciągnęła rękę i uściśnęła dłoń brata.

— Tęsknisz za Olvem, Sygrydo — powiedział stłumionym głosem.

Zaczęła mówić, słowa jej z początku niezrozumiałe, urywane, w końcu popłynęły wartkim potokiem. Tore patrzył na fiord, lecz coraz mocniej ścisnął jej rękę.

Dużo czasu upłynęło, nim się odezwał. A kiedy wreszcie zwrócił się ku siostrze, nie umiał znaleźć słów pociechy.

— Czas ci pomoże — rzekł tylko.

Czuła się zawiedziona. Miała dziwną nadzieję, że Tore w jakiś cudowny sposób rozwiąże wszelkie jej trudności.

— Jeśli czas przynosi pociechę, dlaczego nie ożeniłeś się powtórnie?

— Dobrze mi, tak jak jest — odparł. — Nie chcę, by Sigurd dzielił z kimś dziedzictwo.

— Słyszałam, że wzięłeś nałożnicę.

— Ona nie może mieć dzieci; wiedziałem o tym, nim sprowadziłem ją do dworu.

— Łatwo ci mówić, że czas mi pomoże. Nie masz dla mnie lepszej rady? — spytała rozżalona.

— Cóż innego można powiedzieć, Sygrydo.

— Ty nie masz powodów do smutku, nikt cię nie zmusił do ponownego ożenku. I wszystko układa ci się inaczej, bo jesteś mężczyzną. Przywykłeś sam sobą rządzić. Za mnie natomiast zawsze ktoś stanowił, najpierw ty, potem Olve. Po zgonie Olwego nie wiedziałam, co począć, do kogo się zwrócić. Później nieraz myślałam, że może powinnam była sprzeciwić się woli króla albo w jakiś sposób ciebie zawiadomić. A skończyło się na tym, że sama nie wiem, co jest słuszne, a co nie.

— Wydaje mi się, że po śmierci Olwego zrobiłaś najlepszą rzecz, jaką mogłaś uczynić. Kalf wygląda na rozumnego człeka, on na pewno zdoła ci pomóc.

— On jest przyjacielem króla, Tore. Chyba pojmujesz, że o wielu sprawach nie mogę z nim mówić.

— O czym?

— Ty też jesteś królewskim stronnikiem.

— Dopóki mi to odpowiada, nie dłużej.

Spojrzała na niego i nagle coś sobie przypomniała.

— Chyba nie jesteś chrześcijaninem, Tore, skoro nosisz młotek Tora.

— Wszyscy jesteśmy chrześcijanami — Tore się roześmiał. — Ale nie pytaj, w co wierzę.

— Nie wierzysz w Chrystusa?

— Mnie królewski rozkaz nie wystarcza do przyjęcia nowej nauki. Powiedziałem niegdyś księdzu Anundowi, że

jeśli mam uwierzyć w jego Boga, to On musi najpierw pokazać, co potrafi, musi mi dać znak, i to niewątpliwy, namacalny. Dotąd go nie otrzymałem.

— Czy nigdy nie pragnąłeś go otrzymać?

Coś w brzmieniu jego głosu skłoniło ją do zadania tego pytania. Tore obrzucił ją dziwnym wejrzeniem.

— Może... Zdarzało się, że pragnąłem znaleźć jakieś oparcie — odparł, zaraz jednak gniewnie potrząsnął głową i dodał: — Za wiele pytasz, Sygrydo. Na co mi Bóg, który by miał rządzić moim życiem. Jeśli chcemy osiągnąć coś na tym świecie, musimy liczyć na siebie, na nic się nie zda siedzieć i czekać, aż jakieś bóstwo wszystko za nas zrobi.

— Próbuję być chrześcijanką, ale na razie niewiele mi to dało — powiedziała Sygryda.

— Jak ci da, to mnie zawiadom — przerwał jej Tore.

— Gdybym nie próbowała, miałabym wrażenie, że zdradziła Olwego. A już i tak nie dochowałam mu wiary.

— Czyżby?

— Choćby przez to samo, że poślubiłam Kalfa i osiadłam z nim w Egge. Niecałe dwa miesiące minęły od zgonu Olwego, a już zostałam żoną innego, i to królewskiego stronnika.

— Byłaś do tego zmuszona.

— Może gdybym się skuteczniej wzbraniała, gdyby nie myśl o odzyskaniu majątności i zaszczytów. A Kalfa nie tylko znosiłam, Tore.

— Tym lepiej, wszak zostałam mu poślubiona.

— Z początku mało o tym rozmyślałam. Ostatnio jednak zaczęłam rozważać, czy ze mną coś jest nie w porządku. Olwego miłowałam ogromnie, a teraz tak za nim tęsknię, że powinnam co najmniej być niechętną Kalfowi. I na myśl o tym czuję lęk, boję się Olwego, może on wróci i ukarze mnie za popełnioną zdradę. Nieraz po prostu muszę myśleć o Sigrun, która sypiała w ramionach Helgego Hundingsbane, kiedy powracał jako upiór, i zadrezczała się na śmierć, gdy zniknął ostatecznie. Ja nie śmiem pójść na grób Olwego. Gdybym nie zgodziła się na powtórne zameście, może spotkalibyśmy się z Olvem w nowym życiu, jak Sigrun i Helge.

Zdaje mi się, że nazwałaś się chrześcijanką.

Sygryda zwlekała z odpowiedzią.

— Usiłuję nią być. Ale niełatwo zapomnieć o dawnej wierze, bo strasznie trudno pojąć nową naukę.

— Właśnie i ja tak myślę — rzekł Tore. Po czym dodał z nieoczekiwaną porywcznością: — Niech sobie Anund do woli wierzy, że jeśli Bóg zechce, otrzymam znak. Może się także modlić aż do śmierci.

Sygryda nie odpowiedziała. Z rękami splecionymi na kolanach spozierała przez fiord ku Maerinowi. Tore opanował się i położył rękę na jej ramieniu.

— Według mnie nie potrzebujesz lękać się Olwego. W wielu sprawach różnił się od innych, ale nie był głupi. Na pewno by nie pragnął, abyś dokończyła żywota we wdowieństwie, a jako chrześcijanin nie mógł chcieć, abyś szukała śmierci. Zgodnie z jego życzeniem winnaś troszczyć się o siebie i dzieci najlepiej jak potrafisz, a w Egge na pewno nie chciałby widzieć nikogo innego prócz ciebie. Gdybyś odrzuciła bogactwo i godność ofiarowane przez króla, postąpiłabyś jak szalona. Zmuszono cię do zawarcia małżeństwa prędeej, niż chciałabyś, to rzecz przykra, ale nie potrzebujesz dręczyć się tym ze względu na Olwego. Mógłbym jeszcze zrozumieć twój lęk, gdybyś poślubiła jego zabójcę. Choć i w tym wypadku nie byłabyś pierwsza, która to zrobiła. Zamiast się trapić, uważaj się za szczęśliwą, że dostałaś takiego małżonka jak Kalf.

— Tak... — potwierdziła Sygryda, choć opieszale i z wątpiewaniem.

— Masz mu coś do zarzucenia?

— Opowiedziałam ci, jak okaleczył zarządcę Bjórna.

— Musisz pogodzić się z tym, że Kalf bacznie przestrzega obowiązków namiestnika. Nie możesz umykać do lasu, ilekroć będzie karał złodzieja! Co by się działo w okolicy, gdyby tego nie uczynił? Nie sądzę, aby według Olwego złodziejowi nie należała się kara.

— Olve dałby zarządcy sposobność wniesienia sprawy na ting. A jeśli nie ukradł brakujących rzeczy? A gdyby się okazało, że Tora i domownicy zdołali je zabrać opuszczając

dwór? Prawo pozwala zabić złodzieja schwytanego na gorącym uczynku w lamusie, ale to było co innego.

— Czy zarządca kradł?

— Tak.

— A więc dlaczego biadolisz w jego imieniu? Jeśli tylko tyle masz do zarzucenia Kalfowi, gadaj z kim innym, nie ze mną.

— Czy nie pojmujesz - wybuchnęła Sygryda — że Kalf jest przyjacielem króla i nawet nie jestem pewna, czy mogę na niego liczyć!

— Jestem przekonany, że możesz.

— Jakże mu powiedzieć o mojej okrutnej nienawiści do króla i o pragnieniu zemsty?

— Nie jest tak głupi, by się tego nie domyślał. Masz jednak słuszność, że lepiej takimi myślami się nie dzielić. — T o r e zamilkł, a po namyśle spytał: — Dlaczego chciałabyś mieszać w to Kalfa? Wątpię, aby twoi synowie zaniechali pomszczenia ojca, Guttorm Haraldsson też nieprędko zapomni Olwego. A teraz, kiedy i ja wiem, w jaki sposób go zamordowano, przypomnę królowi, że nie dał mojej siostrze i siostrzeńcom okupu oraz odszkodowania należnego im z prawa. — Wobec milczenia Sygrydy ciągnął dalej: — Pojmuję twoje cierpienie. Ale nie mam na nie czarodziejskiego leku. A może chciałabyś wypić napój zapomnienia, gdybym go dostarczył?

— Nie — zawołała przerażona. Za nic w świecie nie pragnęła zapomnieć ani Olwego, ani wspólnych przeżyć.

— A zatem czekaj, aż czas uleczy rany i każdemu nowemu dzionkowi stawiaj czoło z właściwą sobie mocą — rzekł Tore podnosząc się, ona poszła za jego przykładem i razem wrócili do dworu.

Sygryda pojmowała, że Tore dobrze wie, co mówi, i na pewno ma słuszność. Ale jakże trudno...

Kościół w Egge ukończono na dzień zimy*. Biskup Grimkjel, wizytując tej jesieni okręg trondheimski, przybył

* 14 października (przyp. aut.).

na poświęcenie. Zgodnie z prośbą Sygrydy kościół miał być pod wezwaniem Świętego Jana. Wobec tego, że biskup spełnił jej życzenie, ofiarowała na ołtarz obraz świętego przywieziony przez Olwego z Bizancjum.

I teraz oto z wysokości ołtarza święty Jan patrzył pięknymi smutnymi oczami na wiernych klęczących w nowym kościele, jarzącym się blaskiem świec.

Księża zawodzili pienia, dym unosił się z kadzielnic, ale nad wszystkimi zapachami górowała żywiczna woń świeżych ścian. Dawne wrota chramu powiększono, toteż otwór między chórem a nawą był teraz tak duży, że wierni mogli śledzić ceremoniał przy ołtarzu. Nad otworem zawieszono krucyfiks, dzieło snycerza z Ogndalu. Patrząc nań Sygryda musiała stwierdzić, że talent mistrza niewątpliwie nie dorównywał jego dobrym chęciom.

Ten sam snycerz rzeźbił tron biskupi, a także karła dla Sygrydy i Kalfa; gospodarze Egge nie mogli bowiem stać albo klęczeć na gołej ziemi jak reszta wiernych. W czasie mszy siedzieli albo klęczeli na poduszkach.

Biskup mówił o świętym Janie, który pojmował i dokładnie wykładał naukę Chrystusa, ponieważ miłował Go ogromnie. Po kazaniu bierzmował wiernych, których kapłani uznali za przygotowanych. A wśród nich i synów Olwego.

Ksiądz Oswald także przybył do Egge na poświęcenie, a z nimi drugi ksiądz, nie znany Sygrydzie. Grjotgard twierdził, iż był to ksiądz z Maerinu.

Po bierzmowaniu ksiądz Oswald przemówił do zgromadzonych.

Powiedział, iż słyszał, że w gminie spożywano końskie mięso. Nie potrzebował chyba przypominać, że król wymierzał surowe kary za ten grzech. Może natomiast zapomnieli o karze wiekuiestej czekającej tych, którzy jadają mięso końskie, psie, kocie lub jakiegokolwiek surowe, czy też nie zachowują postów. W miarę jak opisywał przeraźliwe męki piekielne, ludziom oczy robiły się coraz większe. Sygryda zaś myślała, że dziwne to było kazanie w dniu poświęcenia kościoła, a szczególnie pod wezwaniem Świętego Jana.

Podniosła wzrok i spojrzała w smutne, łagodne oczy apostoła.

„Miłujcie się wzajemnie” — uczył.

Ksiądz Anund wykladał te same przykazania co Oswald, mówił także o piekle oraz surowo napominał wiernych, ale robił to zupełnie inaczej.

Z oczu tego człowieka wзираła dziwna złośliwa radość podczas opisywania cierpień potępionych; zupełnie jakby wierzył, że ich męki ucieszą zbawionych.

Po nabożeństwie Sygryda spytała księdza Jona, czy tak jest istotnie.

— Jego słowa zawierały wiele słuszności — odparł ksiądz — ale ja powiedziałbym to inaczej. Bo nawet jeśli jesteśmy pewni, iż potępieni cierpią w piekle, nie możemy wiedzieć, w jaki sposób.

Sygryda nie spodziewała się takiej odpowiedzi, toteż zaczęła rozważać, czy słusznie oceniała tego kapłana.

Widząc jednak, że zaczyna mrugać oczami i zerka na księdza Osvalda oraz biskupa, jakby się usprawiedliwiać, pomyślała, że odpowiedź pewno była sprawą przypadku.

Postanowiła porozmawiać z biskupem Grimkjelem, ale nie starczyło czasu, bo tegoż dnia miał jeszcze odwiedzić Maerin.

Wieczorem Finn Haraldsson sprosił sąsiadów na biesiadę. Tore Hund nie zamierzał dłużej gościć w trondheimskim okręgu, toteż Finn pragnął go uczcić przed odjazdem.

Sygryda ze zdziwieniem patrzyła na Finna zasiadającego na poczesnym miejscu w Gjevranie, uczynił to jednak z taką swobodą, jakby się do tego urodził. Dziwiło ją także, że nie liczył się z życzeniami Blotolfa, bo trudno sobie wyobrazić, by ta uczta powitalna zimy odbywała się z jego zgodą, tym bardziej że starzec milczał przy stole.

Po raz pierwszy od śmierci Olwego Sygryda została zaproszona na biesiadę z mieszkańcami gminy. Nie odmówiła zatem, choć czuła się mocno ociężała.

Większość niewiast witała ją życzliwie, dwie okazały uniżoność nie licującą z ich powagą, a kilka ofiarowało się przybyć do Egge na połóg.

Sygyda dziękowała, lecz równocześnie zrodziło się w niej brzydkie podejrzenie: pewno liczyły, że w bólach porodowych wypowie imię ojca noworodka.

Mimo wszystko przyjemnie było zasiąść w towarzystwie niewiast i pogawędzić o kobiecych sprawach.

Ingerida prawdziwie wysiliła się na przygotowanie uczyty, wyraźnie chciała sąsiadom pokazać, co potrafi. I wszystko szło składnie, niewiasty z uznaniem kiwały głowami.

Przy wyższym stole mówiono o walkach koni, szczególnie o ogierze z Helgeidu; nigdy jeszcze żaden koń go nie pokonał. Jednakże gospodarz z Hovnes twierdził, że posiada młodego ogiera, który może zmierzyć się z każdym, byle mu dać trochę czasu.

Nie podobało się to gospodarzowi z Helgeidu. Rzekł zatem, że jeśli ogier z Hovnes jest cokolwiek wart, może tego dowieść zaraz. Nie wierzył w konie, których ogromna wartość zawiera się w przechwałkach właściciela.

Gospodarz z Hovnes odparł, że źrebiec jest za młody.

— Boisz się wystawić konia — drwił przeciwnik przysiadając się bliżej. — Wolisz poczekać, aż mój się zestarzeje i osłabnie!

Gospodarz z Hovnes zerwał się i wyszedł na środek izby, mówili z coraz większym podnieceniem.

Nikt nie zauważył, kto pierwszy dobył miecza, dopiero na słowo Kalfa kilku mężczyzn zdjęto tarcze ze ścian i ścisnęły nimi wojowniczych sąsiadów.

— Ja tam wolę popatrzeć na walkę koni — oświadczył, gdy stanęli przed nim obrzucając się wzajem płonąącym wzrokiem. — Kiedy twój ogier będzie zdolny do walki? — spytał gospodarz z Hovnes.

— Na przyszlą wiosnę. Wtedy posieka na kiełbasę tego z Helgeidu!

— Kiełbasę z mojego konia będziesz mógł zjeść na surowo w Wielki Piątek, a nie zgrzeszysz! — odparował oburzony kmieć z Helgeidu.

Ułożono, że walka ogierów odbędzie się około letniego przesilenia, obaj przeciwnicy wrócili na dawne miejsca.

Jeden z biesiadników świeżo powrócił z Kaupangu, pytano go więc o nowiny.

Opowiedział, że król latem odwiedzał okręg Uttrondheim i przeprowadzał własne ustawy na kmiecych tingach. Teraz zaś pozostawił swoje okręty w Orkdalu, sam zaś pojechał przez góry chrzcić ludzi Opplandu i pobierać daniny od gmin.

— Szczęście sprzyja mu tam jak i wszędzie — odezwał się jeden z królewskich ludzi.

Przy stole zrobił się ruch, Blotolf podniósł się z miejsca i zmierzał do wyjścia.

— W takiej kompanii nie czuję się w domu. Ty jesteś teraz gospodarzem w Gjevranie — powiedział Finnowi usiłującemu go zatrzymać — ale nie zdołasz mnie zmusić do picia z twoimi przyjaciółmi.

Gyda wyszła z mężem, biesiadnicy wymieniali wymowne spojrzenia.

— Tore, tyle czasu byłeś na północy, opowiedz nam o Bjarmelandzie* — poprosił Finn zbyt donośnym głosem.

I Tore rozpoczął opowieść.

4

Cisza panowała w komorze, słychać było tylko lekkie oddechy, a czasem zakwiliło niemowlę w ramionach Sygrydy.

Ragnhilda siedziała na sąsiednim łożu, znużona, ręce bezwładnie opuściła na podołek. Chwilami głowa jej opadała na piersi, lecz podrywała się natychmiast. Nie wolno zasnąć; jeśli nikt nie będzie czuwał nad matką i nowo narodzonego dzieckiem, może im grozić nieszczęście.

Sygryda jak zwykle miała lekki poród, mimo to kobiety prawie całą noc były na nogach.

* Bjarmeland — ziemie nad Morzem Białym (przyp. aut.).

Niektóre oczywiście uważały, że zmarnowały czas, bo na nic nie zdały się usiłowania wydobywania od Sygrydy imienia innego ojca, a nie Olwego. Kiedy przysięgały jej, że prędzej urodzi, jeśli wymieni imię rzeczywistego ojca, ona je po prostu wyśmiała.

A na widok noworodka prysnęły wszelkie podejrzenia.

— Jaka pogoda? — spytała Sygryda unosząc się na łokciu.

Ragnhilda wzdrygnęła się, sądziła bowiem, że położnica śpi.

— Śnieg pada — powiedziała.

Śnieg... płatki śniegu wirują w szarości przedświt, bezszelestnie opadają, kładą się miękkim kobiercem na zmarzniętej ziemi dziedzińca. A jeśli ktoś otwiera drzwi, gdy ogień płonie na palenisku, mienia się różowo osiadając na wchodzącym, po czym topnieją na jego twarzy i rękach.

Śnieg tchnie dziwnym spokojem.

Patrząc na syna Olwego, który spał w jej objęciach bezpiecznie, choć pozbawiono go ojca, Sygryda wiedziała, że słusznie postąpiła zaślubiając Kalfa.

Dała chłopcu opiekuna, który będzie go bronił i wychowywał, zapewniła mu bezpieczeństwo i bogactwo, jeśli to leży w ludzkiej mocy.

Myśli jej niby śnieżne płatki wirowały powlekając zwątpienie i ból łagodzącą warstwą nadziei. Pojmowała teraz, że dotychczas wprawdzie nieświadomie, ale walczyła o to wątłe życie, chciała je ustrzec i wydać na świat.

Miniony rok, chociaż przyniósł cierpienie i śmierć, wydawał się mniej straszny pośród śniegu i wirujących myśli. Sygryda nie wiedziała, dlaczego tak jest; nawet zastanawiać się nad tym nie chciała.

Uśmiechnęła się na widok Ragnhildy, która drzemała oparta o słupek łoża. Nie wolno spać, bo trolle lub duchy mogą wyrządzić dziecku krzywdę albo je zamienić.

Ksiądz Jon przy chrzcie powiedział co prawda, że nie ma czego się obawiać, bo niemowlę jest zabezpieczone od uroku. Sygryda jednak nie była całkiem pewna, czy chrzest jest

wystarczającą ochroną. Trolle też są potężne i mogły liczyć na chwilę nieuwagi anioła, który zdaniem księdza pilnuje dziecka.

Szczególny niepokój budziło to, że zaczęła się najniebezpieczniejsza pora roku, okres ciemności przed zimowym porównaniem. Ach, gdyby już minęła, gdyby dnie stawały się coraz jaśniejsze — jakżeby się cieszyła!

Dziecko otrzymało imię Trond. Kalf go trzymał, podczas gdy ksiądz polewał jej syna wodą.

Z początku Sygryda chciała go nazwać Olve, ale Kalf się sprzeciwił. Pytanie o powód zbył, prosząc, by wybrała inne imię. Wobec czego nazywano go imieniem wybranym przez Olwego dla ich zmarłego synka.

Ragnhilda osuwała się z wolna wzdłuż słupa łożnicy, ocknęła się jednak w porę, nim spadła na ziemię; wstydziła się tego, że usnęła.

Na dziedzińcu zaczynał się ruch, Sygryda miała wrażenie, że słyszy głos Guttorma.

— Widać jeszcze nie pojechał — odezwała się Ragnhilda. — Dopiero dnieje. Zamyślał jechać konno do Beitstadu z wieścią dla Tory, ale w taką zawieję lepiej na nartach.

— Kto go prosił, by tam jechał? — spytała Sygryda.

— Nikt. Sam chciał z nią pogadać i raz na zawsze położyć kres jej podejrzeniom, że Olve nie jest ojcem twojego dziecka. Kalf mu pozwolił.

— Zaiste, ludzie pochopnie wierzyli we wszystko, co najgorsze.

— A czego mogłaś się spodziewać? Król odesłał wszystkie kobiety z Maerinu, ciebie jedną zatrzymał, potem do Kaupangu zabrał ciebie, a nie żadną inną. Wróciłaś jako małżonka Kalfa Arnessona, królewskiego namiestnika obdarowanego rozległymi dobrami. I wtedy okazuje się, że jesteś brzemienna. Co byś pomyślała, gdyby chodziło o inną?

— Ufam, że ludzie już w to nie będą wierzyli! — Sygryda spojrzała na małą główkę spoczywającą w zgięciu ramienia.

Ragnhilda odpowiedziała uśmiechem.

Kalf nie pokazywał się przez cały dzień. Dopiero po wieczery wśliznął się do komory po cichu, jakby liczył, że śpi.

Sygryda jednak nie spała, a czuwająca przy niej służebna wymknęła się z izby na widok gospodarza.

— Nie wiem, czy powinienem zbliżyć się do ciebie — zauważył, gdy zostali sami.

— Może lepiej, byś na razie zaniechał przychodzenia.

Mimo to Kalf usiadł obok łoża.

— Rad jestem, że już po wszystkim — rzekł. — A jeszcze bardziej się ucieszę, gdy nareszcie będę cię miał tylko dla siebie.

— Było ci przykro, że jestem brzemienna.

— Co za mężczyzna byłby ze mnie, gdyby było inaczej?

— Uprzedziłam cię przed ślubem.

— Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, czym to dla mnie będzie. Ale gdybym wiedział, też bym cię poślubił.

— Aż tak źle ci było?

— Z początku nie. Dopiero z czasem. Chwała Bogu, że wkrótce będzie zupełnie inaczej!

Sygryda zamierzała spytać Kalfa, dlaczego nie chciał nadać chłopcu imienia Olve, teraz uznała to za zbyt cenne. Zaniepokoiła się natomiast, czy nie będzie niechętny dziecku.

— Ufam, że będziecie żyli w przyjaźni z twoim wychowancem.

— Nie umiem się obchodzić z malcami. — Rzucił okiem na tłumoczek leżący obok Sygrydy.

Dziecko się obudziło, zaczęło poruszać maleńkimi czerwonymi piąstkami, zacisnęło powieki, przeciągle ziewnęło, a na zakończenie wykrzywiło usta.

Sygryda roześmiała się, Kalf ledwo się uśmiechnął.

— Przynależę być dobrym ojcem dla niego — powiedziała.

— Zamierzam dotrzymać obietnicy.

Siedział zapatrzony przed siebie, jakby nieobecny. Opanował się jednak; nie miał powodu do smętnych rozważań. Egge należało teraz do niego, a Sygryda była jego małżonką.

Mały, jako jego wychowaniec, nie będzie znał innego ojca prócz Kalfa.

Spojrzał na noworodka, był dobrze zbudowany i zdrowy, a podczas chrztu dowiedział, że i głos ma w porządku. Sygryda patrzyła wyczekująco na męża, a kiedy wyciągnął rękę i dotknął głowy malca, uśmiechnęła się. I wtedy Kalf nagle ogarnął oboje uściskiem.

— Rozumiem, że nie będzie mi dobrze z tobą, jeśli nie przygarne was obojga — rzekł.

A kiedy Sygryda wypuściła syna z objęć i zarzuciła mu ręce na szyję, Kalf odetchnął z ulgą. Miał wrażenie, że nareszcie się połączyli.

— Czy śnieg jeszcze pada? — spytała Sygryda.

— Tak — odpowiedział zdziwiony.

Dostrzegł łzy w jej oczach, choć się uśmiechała.

Tego roku na Boże Narodzenie po raz pierwszy pasterka miała być odprawiona w Egge.

Ponad tydzień minął od zimowego przesilenia, toteż Sygryda już wstała, ale była za słaba, by zająć się przygotowaniami świątecznymi. Tym razem miała wrzód w piersi, leżała dłużej niż zwykle i trzeba było poszukać mamki dla niemowlęcia.

Ksiądz Jon był okrutnie zajęty, przeważnie wyjaśnianiem ludziom z wielkim zapałem, czego robić nie powinni.

Sygryda oburzyła się, gdy nie chciał pozwolić na zanieśenie jądła zmarłym w dniu słonecznego porównania ani na złożenie ofiary duchom czuwającym nad domowym ogniskiem, jak zwykle czyniono każdego roku. W końcu ksiądz uległ, gdy Kalf orzekł, iż pozyskiwanie sobie przychylności zmarłych oraz dobrych duchów nie może być grzechem, jeśli człowiek dopełnia chrześcijańskich obowiązków.

Kościół w Egge podczas pasterki wypełniony był po brzegi. Ksiądz Jon pięknie mówił o świątości, która przyszła na świat przeszło tysiąc lat temu i w końcu błysnęła nawet na dalekiej północy w Trondheimie.

Ale wierni zgromadzeni w kościele byli głodni. Prawie wszyscy dotychczas zachowywali wstrzeźliwość tylko

w piątki i nieliczne wyznaczone dni, toteż ciężko odczuli post adwentowy. I choć niektórzy z przejęciem i błyszczącymi oczami słuchali księżowskiego kazania, to jednak każdy myślał o świątecznym posiłku.

Grjotgard przyszedł do kościoła razem z Kalfem i Sygryda, tylko Torego brakowało. Odpłynął na północ z Torem Hundem i Sigurdem, miał pozostać na Bjarkóy całą zimę. Sygrydę gniewało, że Grjotgard nie mógł spokojnie usiedzieć podczas nabożeństwa. Była jednak pewna, że rozmowa z nim na nic się nie zda, chłopak będzie się stawiał. A wtedy Kalf może unieść się gniewem i wzajemny ich stosunek jeszcze się pogorszy.

Patrzyła zatem na księdza Jona usiłując uważnie słuchać nauki. Jednakże myśli jej się rozpraszały.

Odkąd znowu wdała się w pogawędki z okolicznymi mieszkańcami, stwierdziła, że choć wielu uśmiecha się na wzmiankę o księdzu, prawie każdy dobrze o nim mówi. Zaglądał do ludzi w zwykły sobie nieśmiały sposób, jakby się lękał, że im zawadza, usypiał nie w porę, a choć odznaczał się wielką skromnością, zawsze udawało mu się tak urządzić, by go zaproszono na posiłek. Ale promieniowało od niego tyle dobroci i życzliwości, że ludzie wszystko mu darowywali.

Sygryda spowiadała się u niego przed Bożym Narodzeniem. Był poważny i wymagający, lecz napominał łagodnie, szybko wybaczał i wymierzał pokutę z umiarem. Była zadowolona, że nie musiała spowiadać się księdzu Osvaldowi, na samą myśl o tym ogarniała ją zgroza.

Niedługo po pasterce jedna z dziewczek przybiegła do Sygrydy zapewniając z przerażeniem, że w Egge straszy. Już od kilku nocy ludzie widzieli światło migające wokół kościoła. A gdy paru śmielszych parobków udało się na zwiaady, nie znaleźli nikogo ani wewnątrz, ani na zewnątrz.

Sygryda powiedziała o tym Kalfowi, następnej nocy poszedł z dwoma pachółkami do kościoła zbadać, co się dzieje. Wrócił ogromnie zmieszany.

— To tylko ksiądz Jon — rzekł. — Usiłował ukryć się przed nami. Nie pojmuję, po co on się włóczy nocą po kościele.

— Jeśli taki ma zwyczaj, nic dziwnego, że jest śpiący — odparła Sygryda.

Im częściej rozmyślała o księdzu Jonie, tym dziwniejszy jej się wydawał. Zastanawiała się także, kim był, nim został kapłanem, i dlaczego przybył do Norwegii.

W tym czasie pilnie uczęszczała do kościoła w nadziei, że dowie się czegoś o nim. Zawstydziła się jednak, gdy pewnego dnia nadmienił, iż cieszy się jej gorliwością w praktykowaniu chrześcijaństwa. Dodał także, iż na pewno Bóg pobłogosławi za to jej domowi.

Postępowanie księdza wyjaśniło się w końcu w sposób zgoła nieoczekiwany.

Stało się to około Matki Boskiej Gromnicznej — według określenia księdza, czyli w czwartym miesiącu zimy*, według zwykłej rachuby.

Finn z Ingerida przyjechali w gościnę; gawędząc z Kalfem i **Sygryda** zasiedzieli się do późna. Ksiądz także nie udał się na spoczynek, choć co trochę zapadał w drzemkę.

Ingerida opowiadała Sygrydzie o Blotolfie. Stawał się coraz bardziej milczący i ponury: mimo wszelkich usiłowań nie słyszeli od niego nic prócz złego słowa. Równocześnie wskazując na księdza wyjaśniła, że nieraz odwiedzał Gjevran i pięknie a serdecznie przemawiał do Blotolfa. W odpowiedzi usłyszał tylko grubiaństwa.

Kalf zaś opowiadał Finnowi wieści otrzymane z południa.

Mieszkańcy Gudbrandsdalü zostali ochrzczeni, Dale Gudbrand także przyjął chrześcijaństwo. Ale podobno wysłał syna Alfa na północ z poleceniem zebrania zbrojnych i powstrzymania królewskich wysłanników. Alf jednak okazał się nazbyt miękki, jego drużyna umknęła przed królem. Gudbrand wściekał się po powrocie syna, a przecież z pokorą zniósł widok swoich bogów porozbijanych na kawałki na rozkaz króla.

— Nic zającowi nie pomoże, gdy kura za niego zbroję nosi — zauważył Finn ze śmiechem.

* Odpowiada okresowi od 15 stycznia do 15 lutego (przyp. aut.).

Ksiądz Jon jakby nagle się ocknął.

— Czy król ukrzywdził ludzi?

— Wedle tego, co mówili — nie — wyjaśnił Kalf.

— W całej dolinie dawał ludziom do wyboru śmierć albo chrześcijaństwo, nikogo jednak nie okaleczył.

— Chwała niech będzie Panu! — ksiądz Jon wznosił ręce ku niebu.

Pozostali spojrzeli po sobie.

— Wybaczcie mi — prosił wzruszony ksiądz. — Winien wam jestem wyjaśnienie.

A gdy milczeli, zaczął opowiadać zacinając się i mrugając oczami.

— W swoim czasie, za arcybiskupa świętego Aelfeaha, byłem jednym z kilku księży przy dużym kościele w Canterbury w Anglii. W roku Pańskim **1011** wczesną wiosną duńskie wojska rabujące kraj dotarły do Canterbury. Na skutek zdrady miasto dostało się w ręce Danów.

Nigdy nie zapomnę, co się działo po ich wtargnięciu do grodu: mordowali i torturowali mężczyzn i niewiasty w najokrutniejszy sposób, katowali i zabijali dzieci bez litości, tłumy jeńców wlekli na swoje statki. Jakby cała złość piekieł rozpełtała się nagle; a wszystko to czynili tylko dlatego, że byli spragnieni cudzej krwi i jęków boleści.

Wasz król był z nimi; wiodł swoich ludzi na okrucieństwa i sam przed niczym się nie cofał.

Arcybiskupa Aelfeaha i wielu kapłanów pojmano w niewolę, on sam poniósł śmierć męczeńską, bo nie chciał, by lud płacił za niego wykup.

Otóż ja chcę wam opowiedzieć o moim niecnym udziale w onych wydarzeniach.

Kiedy Danowie zbliżali się do kościoła, zdołałem umknąć bocznym wyjściem i ukryłem się w pobliskim domu. Prośbą i groźbą skłoniłem mieszkającą w nim niewiastę, by dała mi odzież świecką zamiast kapłańskiej. Potem widząc, że męczą moich braci kapłanów, uciekłem jak łajdak, zamiast cierpieć wspólnie z nimi. Niczym szczur przemykałem ulicami, zdołałem ujść, uniknąłem pojmania przez rozpasałych żołdaków.

Następnie opuściłem Canterbury. Dostałem się do Londynu, gdzie otrzymałem pracę u człowieka, który szył buty. Nikomu nie wspominałem, że byłem księdzem. Ale w miarę jak czas upływał, coraz gorszy niepokój mnie dręczył.

Później, gdy arcybiskupa Aelfeaha pochowano w kościele Świętego Pawła w Londynie, udałem się na jego grób. Płakałem na myśl o cierpieniach, które zniósł, kiedy ja zdradziłem moje powołanie. Zrozumiałem także, że winienem odpokutować mój grzech.

Pokutowałem zatem i od nowa podjąłem obowiązki kapłana. Ale sam sobie nie mogłem wybaczyć zdrady, prosiłem zatem Boga dniem i nocą, by ukarał mnie tak srogo, jak na to zasługuję.

W końcu znalazłem ukojenie w myśli, że Bóg wybaczył zdradę Piotrowi. Równocześnie zaś rozważałem, dlaczego tego właśnie apostoła Pan powołał do wielkich spraw. Może zatem i mnie do czegoś chciał powołać?

Pewnego dnia modląc się u grobu arcybiskupa wspomniałem słowa Pańskie, że mamy miłować nieprzyjaciół, błogosławić tym, którzy nas przeklinają, dobrze czynić tym, którzy nas nienawidzą, i modlić się za naszych prześladowców. Od tego dnia modliłem się za wikingów. Wkrótce też zacząłem współczuć tym strasznym grzesznikom. W ten sposób z wolna pojąłem, że Bóg chce, bym jechał do waszego kraju i szerzył Jego naukę.

Kiedy posłyszałem, że Olaf Haraldsson, który wszystkich prześcignął w okrucieństwach w Canterbury, został królem Norwegii, zamierza chrzcić kraj i potrzebuje księży, byłem pewien mego powołania.

Nie jestem ani uczonym, ani nawet odważnym mężem, choć miałem czas nabrać rozumu. Nigdy też nie będę dobrym kapłanem. Ale mogę się modlić za powierzonych mi chrześcijan. Po to wykorzystuję noce, modlę się za nich, modlę się, by wikingowie poznali miłosierdzie Boże.

Cisza zapadła. Kalf i Finn robili wrażenie niezadowolonych, wkrótce też Ingerida z mężem odjechali do Gjevranu.

— Kto by pomyślał, że taki mały pierdek tak głośno bździ! — powiedział Kalf do Sygrydy, gdy zostali sami. Był wyraźnie zły.

Sygryda otworzyła usta ze zdumienia, po czym wybuchnęła śmiechem. Natychmiast jednak spoważniała.

— Nie powinienes naigrawać się z niego — rzekła. — To, co o sobie opowiadał, było piękne. Nigdy nie przypuszczałam, że będę go považała tak jak teraz.

— Poważanie dla nicponia, który zdradził Boga i swoje powołanie!

— Sam przecież powiedział, że żałuje za grzechy i pokutuje.

— Łatwo płakać poniewczasie. Powiadają, że król Kanut także szlocha i opłakuje swoje grzechy. A przecież niejedno świadczy, że niezbyt głęboko żałuje. Taka zmokła kura jak ten ksiądz umykałaby powtórnie z gdakaniem przy pierwszej sposobności, chociaż teraz głośno boleje nad swoim tchórzostwem.

— Uważam, że sądzisz go zbyt surowo. A przecież jest twoim kapłanem, Kalfie, i winienes mu szacunek.

— Jako kapłanowi tak. Ale to nie przeszkadza, bym miał coś przeciwko niemu jako człowiekowi. Mógł sobie oszczędzić tego gadania o okrucieństwach w Canterbury. Prawdą jest, że Torkjell na chwilę stracił władzę nad wojskiem i żołnierze zbyt ostro sobie poczynali. Lecz jeżeli on sobie wyobraża, że wódz może zdobyć jakiś kraj przy pomocy zbrojnych, którzy głaszczą dzieci po głowie, to grubo się myli. Myli się także, jeżeli sądzi, że Olaf syn Haraldza zdołałby ochrzcić Norwegię modlitwą i wodą święconą. Muszę mu opowiedzieć, jak to było z Haakonem, wychowawcą Adelsteina. Może on i pięknie gada, ale to nie jest mowa godna mężczyzny.

— Nie możesz stawać w obronie okrucieństw takich jak te, o których opowiadał!

— Okrucieństwo bywa potrzebne do wzbudzenia strachu w ludziach.

Ale nie aż tak daleko posunięte.

— Na pewno nie. Jednakże czasem ludzie unoszą się niepomiernym gniewem, Sygrydo, choć zazwyczaj nie ma

w nich złości; radość walki i pragnienie krwi czyni ich nieopanowanymi. Czasem ogarnięci szałem odwagi zrzucają zbroje w wirze najgorętszej walki i sami sobie szkodzą. Czasem zdarza się znowu, jak mówił ksiądz Jon o Canterbury, że wyładowują się na innych. Ale nie zaprzataj sobie nadal tym głowy — dodał przyciągając ją ku sobie.

— Czy ty także byłeś w Canterbury?

— Nie. Chociaż owego roku byłem w Anglii, nie walczyłem pod Torkjellem. Połączyłem się z kilku innymi, którzy samodzielnie wyruszyli na wyprawy, i w cztery czy pięć statków najeżdżaliśmy południowe wybrzeża. O tym jednak nie będę ci teraz opowiadał.

Sygyda zamilkła poddając się pieścizotom Kalfa, który już zupełnie stracił nieśmiałość.

Myśli jej natomiast krążyły wokół opowiadania księdza Jona, po czym wspomniała pewną noc sprzed wielu lat, gdy Olve jej ujawnił, jak poczynali sobie wikingowie na wyprawach. Przywykła do myśli, że trzeba się z tym pogodzić, i póki on żył, rzadko kiedy rozważała te sprawy. Później, kiedy Kalf opowiadał o swoich wyprawach do zamorskich krajów, dawne wspomnienia zostały brutalnie wskrzeszone i choć różniły się od opowiadań Olwego i księdza Jona, wydały się jej bardziej odstręczające. Zresztą Kalf wyraźnie nie lubił tych wspominków, na usprawiedliwienie tłumaczył, że człowiek sobą nie włada.

Jednakże bronił okrucieństw króla. Niemniej Sygyda musiała przyznać, że Haakon, wychowaniec Adelsteina, niewiele osiągnął krzewiąc chrześcijaństwo łagodnymi środkami. Nawet Olve przed zgonem stwierdził, że zaczyna lepiej pojmować króla Olafa.

Rozważała wszystko, co Olve mówił o miłości i dobroci. Jak dobrze czuła się wówczas w przekonaniu, że miał słuszność; nawet jeśli go nie rozumiała, chętnie wierzyła jego słowom. Broniała przecież jego zdania w obliczu biskupa, pragnęła także zachować w sercu i przekazać synom każde ojcowskie słowo.

Teraz niczego nie była pewna. Biskup co prawda powiedział, że mogła spokojnie wierzyć we wszystko, czego

nauczył ją Olve. Ale mówił także o ludziach, którzy zaczynają wierzyć mimo woli i o ratowaniu następnych pokoleń dla Boga. A przemawiając do księdza słowami Olwego nie uzyskała pomocy.

Zwróciła się potem do Torego, on też jej nie pomógł. Powiedział, że Kalf jest mądry, więc powinna go słuchać. Jednakże sam nie wierzył w to, co Kalf mówił o nowej nauce.

Ludzie wygłaszali tyle różnych poglądów i myśli. Sygryda miała wrażenie, że znalazła się w gęstym borze, wśród niebotycznych drzew otaczających ją ze wszech stron i zasnaniających światło.

Nagle uprzytomniła sobie, że dotychczas nie tylko pozwalała innym stanowić za siebie, ale również myśleć; najpierw robił to Tore, później Olve. I dopóki Olve żył, nie przychodziło jej do głowy, że mogło być inaczej. Teraz z Kalfem sprawa przedstawiała się odmiennie. Nawet jeśli to, co mówił, wydawało się w pewnej mierze słuszne, Sygryda wiedziała, że można zapatrywać się na te sprawy inaczej.

Kalf nie był odpowiednim człowiekiem do pokierowania nią. Bywał stanowczy, często w błahych sprawach, a równocześnie słaby wobec niej; niemal zawsze zdołała go doprowadzić do ustępstw, jeśli naprawdę tego chciała i wy czekała odpowiedniej chwili. A wskutek tego troszeczkę nim gardziła.

— Sygrydo! Gdzie błądziłaś myślami? — spytał biorąc ją pod brodę. — Nie słyszysz nawet, co do ciebie mówię.

— Niezbyt daleko. A coś sobie wyobrażał?

— W każdym razie nie to, że zaśniesz... — zauważył ze śmiechem.

Sygryda uśmiechnęła się okręcając pukle jego włosów dokoła palca. Jeśli o czymś nie wie, to go nie boli — myślała poddając się jego uściskom.

I znowu wiosna zawitała do Inntrondheimu. Pola przearano wzdłuż i wszerz, oracze kuśtykali na jednej nodze, drugą usiłując przytrzymać krnąbrny lemiesz wyskakujący z ziemi.

Kalf także wyszedł w pole i własnoręcznie siał ziarno poświęcone przez księdza. Ludzie kręcili głowami i zastanawiali się, czy księżowskie błogosławieństwo podziela równie skutecznie jak dawna obiata składana dla uproszenia urodzaju.

Sygyda tej wiosny często wspominała starodawną radę dotyczącą przyjaźni:

Gdy los ci druha nie poskąpił,
godnego wiary i ufności,
proś go najczęściej w swoje progi,
bo ścieżkę, którą nikt nie chodzi,
wkrótce zarośnie dzikie zielsko,
wysoka trawa, chwast i głogi.

Jeśli chodziło o ścieżkę między Gjevranem a Egge, nie groziło jej niebezpieczeństwo zarośnięcia.

Blotolf co prawda nadal zachowywał się wrogo. Nigdy nie przyjeżdżał z Finnem do Egge, choć Kalf go zapraszał. Sygyda od nowa żyła z Gydą w przyjaźni, rzadko jednak odzywała się do Blotolfa.

Ingerida mówiła, że wypuszczał się samotnie poza obejście. Nie wiedzieli, co z nim począć, bali się, żeby nie zrobił sobie krzywdy. Ale jeśli próbowali perswazji, złościł się i odpowiadał, że nie jest dzieckiem, którego trzeba pilnować.

Ksiądz Jon także zaglądał do Gjevranu. Ciągłe usiłował nawiązać rozmowę z Blotolfem. Sygyda mimo wszystko nie mogła wyzbyć się podejrzeń, że jego odwiedziny miały pewien związek z dobrą strawą, którą Ingerida częstowała księdza, nawet jeśli nie wypadała pora jedzenia.

Aż pewnego dnia wrócił do Egge z głęboką raną na czole. Sygryda dowiedziała się od Ingeridy, że Blotolf rzucił w niego kijem.

Kiedy napomknęła o tym wypadku, ksiądz zmieszał się ogromnie.

— Nie miej tego za złe Blotolfowi, on cierpi.

— Najmądrzej będzie zostawić go w spokoju — doradzała Sygryda przezornie.

Tym razem jednak ksiądz zaskoczył ją gwałtownością odpowiedzi.

— Nigdy! — krzyknął. — Jeśli w tej gminie ktoś mnie potrzebuje, to właśnie Blotolf! Widziałem, jak mu wzrok odjęli. Modłę się i ufam, że okupem za ślepotę ciała będzie obdarzenie go wzrokiem ducha, aby mógł znaleźć i ujrzeć Pana naszego Jezusa Chrystusa.

— Bacz tylko, by ci krzywdy nie wyrządzili — ostrzegła Sygryda.

Później zaś opowiedziała o wszystkim Kalfowi i dodała:

— Widzisz! Ksiądz Jon nie tak łatwo da się zastraszyć, jak sądzisz.

— Na czas walki nie postawiłbym go na rufie mego statku — odparł Kalf.

Sygryda zamilkła.

Ksiądz nadal chadzał do Gjevranu, ale niewiele mógł pomóc Blotolfowi.

Pewnego sobotniego wieczoru, gdy oboje z Kalfem gościli w Gjevranie, Sygryda zdziwiła się, że Blotolf pozostał w świetlicy i nawet brał udział w rozmowie. Wolała, aby odszedł, bo nie był oględny w słowach.

— Chętnie byś mnie zobaczyła w mogile — powiedział, gdy Ingerida podała mu jadło. — Jedna gęba więcej do karmienia, a pożytku ze mnie żadnego.

— Tyle lat ty mnie karmiłeś i nie skarżyłeś się — odparła córka łagodząco.

— Dawniej były lepsze czasy. Ludzie odbierali życie starym i niepotrzebnym, zamiast pozwalać im żyć, choć nikt z tego nie ma radości.

— Gdybyś chciał, mógłbyś pomagać mi radą i doświadczeniem ku ogólnemu zadowoleniu i pożytkowi — wtrącił Finn. — Stary jeszcze nie jesteś.

Ze sposobu, w jaki to mówił, można było odgadnąć, że nieraz już o tym wspominał.

— Owego dnia, kiedy kłęczałeś przede mną w biesiadnej sali w Egge, nie przypuszczałem, że w przyszłości w moim własnym dworze uznasz mnie za obcego, Finn!

— Sam z siebie robisz tu obcego i nic więcej! — w głosie Finna brzmiało zniecierpliwienie.

— A jakże nie mam uważać się za obcego, skoro zapraszasz druha tego, który kazał mnie oślepić, i do głowy ci nie przychodzi pomścić wyrządzoną mi krzywdę.

Kalf wstał, Sygryda poszła za jego przykładem.

— Przyjedziemy innego dnia, Finn.

Finn potrząsnął głową i dał im znak, by usiedli z powrotem. W tejże chwili przez świetlicę przeszła dziewczyna, która zabrała dzbany do napełnienia piwem.

— Wyszli? — spytał Blotolf.

— Nie — odparł Finn. — Nie życzę sobie, by moich gości wypędzano ze dworu.

— Jeżeli chcą zostać, to niechaj posłuchają, co mam do powiedzenia...

— Opamiętaj się, Blotolfie! Nie zmuszaj mnie, bym cię siłą wyprowadził z izby!

— O, na pewno byś to zrobił, skoro potrafiłeś zdobyć dwór odbierając cześć dziewczynie!

Finn wyraźnie ledwo panował nad sobą.

— Przyjechałem z północy, żeby ci pomóc, a o ustąpienie poczesnego miejsca nie prosiłem.

— Skąd mogłem wiedzieć, że mój zięć stał się zwolennikiem króla i chrześcijaninem?

— Nie pytałeś mnie. A mogłeś się domyślić, że złożyłem królowi przysięgę na wierność i przyjąłem chrzest, skoro był w Haalogalandzie.

Kalf znowu się podniósł.

— Słuchaj, Finn, lepiej pogadajcie z Blotolfem bez świadków.

— Nie — odezwał się Blotolf zwracając się w stronę, z której dobiegał głos Kalfa. — Dosiedziałeś dotąd, nie potrzebujesz teraz wychodzić. Mam coś do powiedzenia i tobie, i tej przewrotnej kobiecie, twojej żonie, Sygrydzie. Pilnuj się, żeby cię nie zdradziła! Jeśli potrafiła tak prędko zapomnieć Olwego, ty również nie możesz oczekiwać od niej wierności! A ty, Sygrydo... Olve syn Grjotgarda niewiele ponad rok spoczywa w mogile, a kto go jeszcze pamięta poza mną i może jego najstarszym synem? Kiedy Kalf przybył w te strony, ludzie z pogardą zwali go królewskim namiestnikiem i, jak być powinno, odwracali się od niego. Teraz prawie nikt tak o nim nie mówi. Nazywają go Kalf z Egge! Oboje z Finnem jesteście winni temu, że królewski namiestnik mocno tu osiadł. Czy popierając sprawę króla, mordercy Olwego, oddajesz należyta cześć pamięci małżonka?

Niebezpieczne ogniki błysnęły w oczach Finna.

— Pytanie, kto zawinił śmierci Olwego: król czy przywódca kmieci, którzy składali obiaty.

— Błędem w moim mniemaniu było, iż za mało ofiar składaliśmy, a nadto nasz ofiarnik nie brał udziału w obrzędach.

— Co masz na myśli, Blotolfie? — wtrącił się Kalf.

— Wiedziałem, że królewski namiestnik odezwie się po tym, co rzekłem — Blotolf roześmiał się złośliwie. — Ale dość długo już uginałem karku przed Bogiem, w którego nie wierzę, i przed znienawidzonym królem, któremu życzę śmierci. Źle dzieje się Odynowi, skoro prócz ślepców nikt nie śmie opowiedzieć się za nim. Obaj razem mamy tylko jedno oko, lecz ja trwam przy nim. I raczej umrę, jak przystoi mężczyźnie, niżbym miał żyć w nikczemności. A teraz, namiestniku, pewno zarąbiesz poganina i zdrajcę króla?

Sygryda nie spuszczała oczu z Kalfa. Siedział pochylony do przodu, kroplisty pot zrosił mu czoło.

— Postradałeś zmysły — powiedział. — Twoje słowa to mowa obłąkańca.

— Jestem przy zdrowych zmysłach i wiesz o tym dobrze, Kalfie synu Arnego. Zobaczymy, jak namiestnik wypełnia swoje obowiązki!

Kalf zawahał się na mgnienie oka, po czym pewnym głosem oświadczył:

— Orzekam, żeś oszalał i nie odpowiadasz za swoje słowa, Blotolfie. Finn, zlecam ci dozór nad nim, w razie potrzeby zakuj go w żelaza.

W drodze do Egge Kalf milczał. Sygryda jadąc obok zerkała na niego spod oka w świetle księżyca.

Nie mógł go obmawiać z powodu tego, co uczynił. Od wariata nie wymaga się zdania rachunku za jego czyny, a sądząc z zachowania Blotolfa, Kalf miał pełne prawo ogłosić go niepoczytalnym. Niemniej jednak Sygryda była pewna, że Kalf równie dobrze jak ona wiedział, iż Blotolf mówił z pełną świadomością.

— Dlaczego oszczędziłeś Blotolfa? — spytała po powrocie do Egge.

— On oszalał!

— Wiesz dobrze, że nie.

— Co chcesz, bym powiedział? Że uczyniłem to ze względu na Finna, bo jest moim najlepszym przyjacielem?

Spojrzała na niego badawczo.

— Może.

— Ten człowiek oszalał — powiedział spoglądając jej w oczy. — I nie patrz tak na mnie!

Wkrótce potem Sygryda po raz pierwszy pojechała do Beitstadu na rozmowę z Torą córką Olwego.

Nawet Guttorm po urodzeniu Tronda syna Olwego nie zdołał położyć kresu jej plotkowaniu, podobno nadal napomykała o Sygrydzie i królu. Sygryda postanowiła zatem sama z nią pomówić. Zabrała Tronda. Obie z mamką na zmianę trzymały dziecko. Towarzyszył im Grjotgard i dwóch pachołków z Egge.

Tore jeszcze nie wrócił z Bjarkóy; oczekiwano go niebawem. Razem z nim miał zawitać Tore Hund, który był ciekaw walki ogierów.

Sygryda odniosła dziwne wrażenie jadąc tą drogą po raz pierwszy od śmierci Olwego. Dawniej jeździli tędy często

i zawsze razem. Ostatnio zaś miewała uczucie, jakby Olve znowu był blisko, szczególnie w kościele w Steinkjerze, gdzie niemal widziała go u swego boku. W maleńkim pomieszczeniu panował taki spokój, jakby czas zatrzymał się w biegu. Po prostu oczekiwała, że lada chwila usłyszy kroki Anunda lub głos pani Holmfridy. A gdy płakała na grobie dzieci, łzy te nie były bolesne, lecz kojące.

Myśl o Olvem już nie budziła w niej owego dzikiego, rozpaczliwego bólu ani wyrzutów sumienia jak w pierwszych miesiącach po zaślubieniu Kalfa. Sygryda była przede wszystkim wdzięczna Olvem za wspólne przeżycia. Zapamiętała też jego słowa, że gdyby zginął, wszystko, co mu dała, stanie się jej bogactwem. Podobna myśl nawiedzała ją w Kaupangu podczas choroby. Ówczesne i terażniejsze myśli stanowiły zatem pomost nad otchłanią wątpliwości i niepokoju.

Równocześnie jednak powstało w niej coś w rodzaju pustki i tęsknota za Olvem. Z czasem stał się jej nierozłączną częścią.

Porównywała Olwego z Kalfem. Kalf był inny, zawsze wiedziała, czego się po nim spodziewać.

Robił wrażenie zadowolonego z siebie. Zauważyła nadto u niego coś nowego, czego dawniej nie dostrzegała: był przekonany, że nie potrzebuje się wysilać, by ją pozyskać. Miała okrutną chęć porządnie nim wstrząsnąć od czasu do czasu i nawet próbowała, ale bez skutku. Był do głębi przekonany, że uosabia wszystko, czego niewiasta może pragnąć.

Sygryda żałowała, że nie potrafi opędzić się tego rodzaju myślom. Pamiętała, że przecież był dobry dla niej i synów i poczynił sobie uczciwie pod każdym względem. Może istotnie czas będzie najlepszym lekiem i w końcu uda się jej doprowadzić do tego, że Kalf będzie mniej nudny.

Do Beitstadu przybyli o zmroku. Mieli tam nocować.

Na przestrzeni ostatniego roku Tora ogromnie się postarzała, Sygryda wkrótce spostrzegła, że rozmowa ze świekrą na nic się nie zda. Myśli jej się plątały, ciągle nawracała

do tego samego; raz tuliła wnuka i nazywała go Olvem, to znowu oskarżała synową o to, że miała dziecko z królem.

Sygyryda jechała do Beitstadu powodowana gniewem, z zamiarem przyparcia Tory do muru za plotki, a teraz po prostu było jej przykro. Zarządca dworu na pytanie, czy Tora od dawna jest w takim stanie, odparł, że nastąpiło to powoli, bywały nawet dni, kiedy robiła wrażenie zupełnie przytomnej. Sygyryda liczyła, że może nazajutrz będzie lepiej, zawiodła się jednak. Zbierała się do powrotu bez rozmowy ze świekrą, lecz z postanowieniem, że wkrótce ponownie odwiedzi Beitstad.

Dzień był mglisty od ranka, lecz wiatr stopniowo rozwiewał chmury. Promienie słońca już gdzieśgdzie prześwitywały i błyskały między drzewami.

Trond nakarmiony, syty i zadowolony, usypiał. Mamka oddała go Sygyrydzie, która usiadła na uboczu. Po chwili Grjotgard wyciągnął się obok matki. Zauważyła, że w rękę miał włócznię, dar Kalfa.

Trond na widok brata zaczął objawiać radość i gaworzyć, Grjotgard odpowiedział mu uśmiechem, choć uśmiech rzadko teraz gościł na jego ustach. Chłopak z rozjaśnioną twarzą wydawał się Sygyrydzie szczególnie podobny do Olwego.

— Znowu jesteś brzemienna, matko — odezwał się do Sygyrydy.

— Nic o tym nie wiem.

— Jeśli nie jesteś, to wkrótce będziesz.

— Czy na to czekasz?

— Nie — powiedział z wahaniem. — Ale jeśli nie, to może...

Sygyryda nagle pojęła myśl syna. Gdyby Kalf nie miał dziedzica, może Grjotgard mimo wszystko dostałby Egge.

— Niedawno urodziłam Tronda — rzekła spoglądając na syna.

— Wiem — odparł. Rzucał kamykami w ścięty pień drzewa i za każdym razem celnie trafiał w szarozielonkawą plamę. — Ale nadzieję mogę mieć... A może pragniesz dać Kalfowi syna?

Pytanie ją zaskoczyło. Wiedziała, że Kalf marzy o synu, ale nigdy nie rozważała, czy pragnie spełnić jego życzenie.

— Nie myślałam o tym.

— Jesienią Tore mówił, że cieszy się, iż poślubiłaś Kalfa. I ja też ostatnio stwierdziłem, że chyba głupio nie postąpiłaś. Słusznie kiedyś powiedziałaś: on nie zawinił śmierci ojca i nie jest złym człowiekiem, ludzie mówią, że na wiosennym tingu okazał rozwagę oraz sprawiedliwość i pytał o radę bieglejszych w prawie.

— Nie wiedziałam, że troszczysz się o ustawy i tingi.

— Ostatnimi laty ojciec często o tym prawił. Doszedłem także do przekonania, że najlepiej uczcę jego pamięć, jeśli będę taki, jak on by chciał, i nauczę się tego, czego chciałby mnie nauczyć.

Sygyda nie odpowiedziała. Pomyślała natomiast, ile spraw musiało nękać chłopaka potajemnie. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek pragnęła rozumieć myśli Olwego tak dokładnie, by móc o nich rozmawiać z synem.

— Stwierdziłem także, że skoro okrutnie cię miłował, byłby nierad widząc, iż nie jestem dobry dla ciebie — dodał po chwili Grjotgard.

— Opowiedziałeś się za mną wtedy, kiedy najbardziej potrzebowałam obrony.

— Tylko tego by brakowało — Grjotgard spojrzął na śpiącego Tronda. — Nie mogłem dopuścić, by oszczerstwa ciążyły na tobie albo na moim bracie!

Nagle jakby się odmienił. Zupełnie jak jego ojciec — pomyślała Sygyda.

— Dlaczego nigdy nie odwiedziłaś mogiły ojca? — spytał wyzywająco.

— Nie śmiałam.

— Biedna matko! — Czułość odmalowała się nagle w oczach chłopaka, podobnie jak u Olwego. Położył rękę na jej ramieniu. Na mgnienie oka zapragnęła: niech trzyma się od niej z dala!

— Nie licz jednak, matko, że pozwolę, by Kalf miał stanowić o moich poczynaniach! — Głos chłopca znów brzmiał ostro.

— On jak najchętniej zastąpi ci ojca.

Grjotgard podniósł spory kamień i celnie trafił w pień.

— To mu się nigdy nie uda — zaznaczył rzucając nadal kamieniami. — Wedle tego, co Tore mówił o waszej rozmowie jesienią, tobie on także ojca nie zastąpi. A może zmieniłaś ostatnio zdanie?

— Nie.

Patrzył na nią przenikliwie szarozielonymi oczami 01-vego.

— Już musimy jechać — rzuciła nagle Sygryda. Wstała ostrożnie nie chcąc obudzić Tronda.

Kalfa nie zastali w Egge. Od paru dni przebywał w dolinie Ogn, gdzie pilnował dobywania żelaza*. Wrócił jednak na odwieczny wesół i dobrze usposobiony. Tamtejsze bagna obfitowały bowiem w żelazo.

Zdumiały go opryskliwe odpowiedzi Sygrydy, ale wzruszył tylko ramionami i zwrócił się do Guttorma z pytaniem o nowiny z dworu.

Sygryda sama nie wiedziała, co ją naszło tego wieczoru. Cokolwiek Kalf powiedział lub zrobił, wszystko miała mu za złe.

Zauważył jej oziębłość, toteż kiedy pozostali sami, spytał:

— Co się stało? — Po czym ze śmiechem dodał: — Nie lubisz, jeśli ciebie odjadę na parę dni?

— Dla mnie mogłeś tam zostać — odparła.

— Czy uczyniłem coś złego? — zapytał obejmując Sygrydę.

— Nie. Ty nigdy nic złe nie robisz — powiedziała zgryźliwie.

— Może powinienem był przywieźć ci podarek?

— Na pewno! — odtrąciła go i poszła się położyć.

Kalf pozostał na środku izby nie wiedząc, co począć. Miała ochotę krzyknąć: Zrób coś, potrząśnij mną, uderz mnie, ale nie stój jak baran!

Położył się obok niej.

* Z rudy bagiennej zawierającej limonit (przyp. aut.).

— Sygrydo, wiesz, że cię miłuję. Możesz mi spokojnie wyznać, co cię dręczy.

Usunęła się pod ścianę obrzucając go wrogim spojrzeniem.

Olve wybuchnąłby śmiechem — pomyślała. Potem wzięła ją, nie bacząc, czy się złości. Ona zaś najpierw by się broniła, a wkrótce uległa, zapomniała o niechęci i gniewie wiedząc, że należy do niego.

— No, co? — pytał Kalf troskliwie.

— Nic, w czym mógłbyś mi pomóc.

— No dobrze, dobrze. Może wolisz przespać troskę.

Odruchowo podniosła rękę i wymierzyła mu policzek, aż klasnęło. Kalf chwycił się za twarz, popatrzył na nią w milczeniu, po czym wstał, zgasił kaganek i położył się na drugim łożu.

Sygryda płakała w ciemnościach.

Nazajutrz jeszcze była rozżalona, ale po rozwadze musiała przyznać, że nie postępowała mądrze.

Kiedy wstała, Kalf już nie spał.

— Wczoraj trochę nad sobą nie panowałam — powiedziała z przymusem.

— Jeśli to nazywasz brakiem panowania nad sobą, to mam nadzieję, że nigdy nie będziesz naprawdę zła.

Uśmiechnął się jednak i przygarnął Sygrydę. Ona także zmusiła się do uśmiechu, choć twarz miała jakby zeszywniała.

6

Pod koniec słonecznego miesiąca* obchodzono w Egge uroczystość świętych z Selje*. Księża głosili kazania o Sun-

* Odpowiada okresowi od 15 czerwca do 15 lipca (przyp. aut.).

* Święto obchodzone 8 lipca na pamiątkę zamordowanych w Selje towarzyszy świętej Sunnivy (przyp. ttum.).

nowie i jej świętych towarzyszach, natomiast ludzie myśleli tylko o jednym: o walkach ogierów, które miały się odbyć około środka lata*. W końcu ksiądz Jon także zaczął mówić o koniach. Natomiast ksiądz Osvald mruczał pod nosem o karze boskiej oczekującej tych, którzy nie słuchają kazań.

Ostatnimi czasy ludno było zarówno w Helgeidzie, jak i w Hovnes, każdy chciał dokładnie obejrzeć konie. Jedni uważali ogiera z Helgeidu za silniejszego, inni natomiast wyżej oceniali jego przeciwnika z Hovnes. Za każdym opowiadali się przeważnie najbliżsi sąsiedzi.

Tore Hund z synem Sigurdem oraz Tore syn Olvego przypłynęli z północy w przeddzień walki, która miała się odbyć nad brzegiem fiordu za starym dworem w Steinkjerze.

Wszyscy mężczyźni z całej gminy przybyli w odświętnych strojach. A kiedy zjawili się gospodarze z ogierami, ciągnął za nimi istny korowód. Ludzie gadali, przekrzykiwali się, robiono zakłady, nieliczni już podpici brali się do bitki.

W końcu ład zapanował w tłumie, otoczono kołem obydwu ogierzy.

Jednakże zanim walka się rozpoczęła, minęło trochę czasu, konie jakby się wzajemnie oceniały. Wprowadzono do koła klacz, żeby podniecić ogierzy, a nadto przy każdym stał właściciel z kijem.

Ogier z Helgeidu skoczył pierwszy, lecz przeciwnik nie kazał na siebie czekać. Rozległ się tupot kopyt, głośne rzenie, piasek pryskał na wszystkie strony. Ogromne zwierzęta wspięły się na zadnie nogi, górując nad widzami; kopyta tylko migały w powietrzu. Krew się polała, ogier z Helgeidu został ugryziony w bok.

Ludzie śledzili każde uderzenie, każde ukąszenie, pokrzykiwali na konie i na właścicieli, którzy wrzeszczeli, bodli zwierzęta kijami i brali tak zażarty udział w walce, aż spływali potem.

Sygyrda nie zeszła na fiord, lecz z napięciem oczekiwała powrotu mężczyzn, by dowiedzieć się o wynikach stoczonej walki.

* Środkowy dzień lata przypadał na 14 lipca (przyp. aut.).

— Piękna to była walka, ale nie rozstrzygnięta — rzekł Kalf. — Wątpię, by te konie mogły się zmierzyć powtórnie. Gospodarz z Hovnes został poturbowany, koń zwałił się na niego. — Przerwał i obejrzał się, bo w tłumie cisnącym się w drzwiach świetlicy ktoś głośno zaklął.

Był to Kjartan Torkjellsson, który także wrócił ze Steinkjeru. Ktoś go musiał utraktować, bo okrutnie był rozweselony. Podszedł wprost do Torego Hunda.

— Jeszczem cię godnie nie powitał, odkąd przybyłeś z północy, Tore — rzekł wyciągając do niego rękę.

— To się jeszcze da naprawić, Kjartanie Pogromco Eskimosów! — odparł Tore ściskając mu dłoń. Po czym spytał: — Co myślisz o walce?

— Dobra była. Ale przypomniała mi inną, którą kiedyś widziałem w Islandii, tam także nikt nie wygrał zakładu.

— Nie słyszałem o niej — odparł Tore. — Opowiedz nam, jak to było.

Kalf był zdumiony, nie wiedział, że Tore i Kjartan znali się, nigdy też nie słyszał przezwiska Pogromcy Eskimosów. Od tej strony jeszcze nie poznał Kjartana.

- Dobrze. Opowiem, ale...

— Piwa ci brakuje? — spytała Sygryda. Weszli do izby biesiadnej i brakowi chyżo zaradzono. Kjartan jednak zwlekał z opowiadaniem, póki nie przychwycił wzroku Grjotgarda, chłopak dał mu znak, by mówił.

— Były tam wspaniałe konie — zaczął Kjartan — ale nie miały chęci do walki. Pokazano im najpierw jedną, potem drugą klacz, nim nabrały ochoty. W końcu przyprowadzono małą siwą klaczkę i ta im się spodobała. Skoczyły na siebie. Ale ich gospodarze tak się rozsierdzili, jakby sami mieli rozegrać walkę, nic tylko ganiłi w koło i naskakiwali na siebie. W końcu jeden jak nie trzaśnie kijem drugiego! Ten, co dostał, przystanął i krzyczy: „Umyślnie uderzyłeś!” Na to drugi: „Nietrudno się omylić, kiedy masz końską mordę!”

Zapomnieli o koniach i dawaj, się tłuc. A ludzie stoją wkoło i na nich stawiają. Ja tymczasem popatruję na konie, bo prawie wszystko, co miałem, postawiłem na jednego.

— Mam nadzieje, że nie postawiłeś nic prócz koszuli!
— przerwał mu Tore.

Kjartan spojrzął na niego z urazą.

— Dopiero co wróciłem z wyprawy — odparł, po czym zwrócił się do Kalfa. — Gdybyś ty widział te konie, człowieku! Przystały walczyć, stanęły sobie z boku i patrzyły, jak ludzie się tłuką. I przysięgam, że mówię prawdę: kiedy właściciel jednego upadł, ogiery spojrzały po sobie, kiwnęły łbami! Potem ten, co należał do gospodarza trzymającego się jeszcze na nogach, głośno zarżał, odsadził ogon i pognał prosto do małej siwej klaczki. A ten drugi zwiesił łeb i człapał do stajni.

Najgorsze zaś było to, że choć postawiłem na właściwego konia, nie zdołałem nikogo o tym przekonać. Po dziś dzień mi nie zapłacili.

Kjartan już popuścił wodze fantazji, zaczął tedy dalej bajać o Winlandzie ku uciechu Kalfa i tych wszystkich, którzy go po raz pierwszy słuchali. Reszta wieczoru zeszła, nim się opatrzyli.

Wkrótce po walkach ogierów Tore Hund z synem wrócili na północ.

O koniach powoli zapomniano, w gminie panował zwykły spokój. Gospodarz z Hovnes prędko ozdrowiał i wszystkim zapowiadał, że ma innego ogiera, który wkrótce weźmie górę nad dawnym.

W Egge wszystko szczęściło się tego lata. Siano było lepsze niż zazwyczaj, krowy dawały więcej mleka, domownicy czuli się dobrze, bydło nie chorowało. We dworze gwarno było i wesoło, pracowano wśród śmiechu i żartów.

Tylko ksiądz Jon wydawał się smutny. Stale zaglądał do Gjevranu na pogawędki z Blotolfem, lecz coraz trudniej było dojść do ładu z gospodarzem. Przestał chodzić do kościoła. W końcu Finn powiedział księdzu, że sądzi, iż lepiej, by trzymał się z dala od Blotolfa.

Aż pewnego wieczora, gdy Finn z Ingerida przyjechali do Egge, ksiądz wykorzystał sposobność i znowu wymknął się do Gjevranu.

Wieczór był pogodny — ludzie siedzieli na dziedzińcu. Część pachołków z Gjevranu towarzyszących Finnowi grała w kule przeciwko pachołkom z Egge. Kalf, Finn i synowie Olwego wraz z czeladzią przyglądali się grającym, Sygryda z Ingerida szyły.

Nagle poderwali się, ktoś nadbiegł wołając:

— Gjevran się pali!

Finn z Kalfem niezwłocznie wyruszyli na czele gromady ludzi.

Z dala dostrzegli, że tylko kuźnia płonie. Niemniej spieszyli dalej, wiatr dał z niedobrej strony, mógł przenieść iskry, choć kuźnia położona była na uboczu.

Kobiety jechały za nimi wolnej. Zanim dotarły do Gjevranu, uwijano się już przy gaszeniu ognia; dworscy ludzie ustawieni długim szeregiem podawali sobie wiadra pełne wody, sąsiedzi przybyli im z pomocą.

Ogień zalewany wodą syczał i trzaskał. Kuźni jednak nie dało się uratować, wkrótce po przyjeździe Kalfa i Finna dach się zapadł.

Ludzie twierdzili, że kuźnia już stała w płomieniach, nim zdążyli dobiec. Nikt nie widział, co było przyczyną pożogi.

— Gdzie Blotolf? — spytał Finn.

Ostatnimi czasy Blotolf często przesiadywał w kuźni. Nikt jednak nie umiał odpowiedzieć na pytanie Finna, dopiero dziewczka służebna, która nadeszła po chwili, utrzymywała, że widziała gospodarza wchodzącego do kuźni. A kiedy później ksiądz przyszedł i pytał o niego, tam właśnie go skierowała.

Finn zbladł, wymienili z Kalfem spojrzenia.

Ogień gaszono ze zdwojonym pośpiechem, ale nim zdławiono płomienie, z kuźni w Gjevranie pozostało jedynie zwęglone rumowisko.

Szukali między czarnymi, dymiącymi bierwionami i w końcu znaleźli, jak im się zdawało, szczątki Blotolfa. Śladów księdza nigdzie nie było.

Kiedy tak stali bezradnie, ktoś wydał okrzyk i wskazał ręką w przeciwnym kierunku. Odwrócili się i ujrzeli księdza Jona, który szedł powoli z oczami w słup, niczym lunatyk.

Twarz i ręce miał umazane sadzami, a odzież osmaloną. Nie oglądał się na boki, szedł prosto do Kalfa i Finna.

— Blotolf? — padło z jego ust pytanie.

Kalf wskazał zwęglone szczątki. Ksiądz łkając padł na kolana. Kalf po chwili pochylił się nad nim.

— Księżu, powiadaj, co się stało!

— Nie nazywaj mnie księdzem!

— Jesteś i będziesz księdzem, póki biskup zechce.

— Nie jestem godzien odprawiać mszy.

— Twoja sprawa, nie moja — rzekł Kalf powoli. I znowu spytał: — Czy możesz opowiedzieć, co zaszło?

Musieli jednak zaprowadzić księdza do dworu, ułożyć go w łóżku i wlać mu miodu do gardła, nim przyszedł do siebie na tyle, że zdołał mówić. A i wtedy brakowało mu słów, ciągle przerywał opowieść.

Blotolfa znalazł w kuźni. Usiadł, by z nim pogwarzyć. Kiedy wszedł, przed Blotolfem leżał stos drewek, w rękę też miał kawałek drzewa, który rozszczepiał kozikiem. Ksiądz przestrzegał go, aby się nie skaleczył, lecz ślepiec miał niezwykle pewną rękę. Słuchał, co ksiądz mówił, a robił wrażenie mniej nieprzyjaznego niż zazwyczaj. Powiedział nawet, że czekał na Jona, po czym niespodziewanie poprosił:

— Zechciej mi podać ten kawałek drewna, który stoi w kącie obok dużych cęgów.

Ksiądz Jon podniósł się niezwłocznie, ale w kącie stało wiele różnych przedmiotów, toteż sporo czasu minęło, nim znalazł żądany patyk.

Kiedy w końcu wrócił i podał go Blotolfowi, ten chwycił księdza za przegub i wielce zdziwionego pociągnął ku wejściu, następnie plecami zaparł drzwi nadal trzymając jego rękę w żelaznym uścisku. Wtem ksiądz Jon postłyszał trzask ognia za plecami.

Z początku zachował spokój, zapytał tylko Blotolfa, co to miało znaczyć. Ale na widok twarzy starca przestraszył się, gdyż był uwięziony między nim a ogniem.

W odpowiedzi Blotolf go wyśmiał.

— Zobaczymy, czyś odważny i czy ufasz twojemu Bogu. Proś, może dla ciebie zgasi ogień!

— W imię Chrystusa — rzekł ksiądz wznosząc oczy ku niebu. Ogień jaśniej błysnął za jego plecami.

Blotolf z wykrzywioną twarzą jeszcze mocniej ścisnął rękę księdza.

— Twój Bóg pewno nie słyszy. Proś głośniej!

— Bóg słyszy, jeśli chce wysłuchać. My, ludzie, nie zawsze wiemy, co dla nas najlepsze. Ale teraz wyjdźmy!

Blotolf znowu śmiał się głośno, przeraźliwie.

— Tak łatwo nie umkniesz. Nie puszczę cię stąd, póki nie odstąpisz od tego Chrystusa, którym się chełpisz.

Ksiądz zląkł się teraz poważnie. Walczył jak szalony, by odzyskać wolność, lecz nie mógł mierzyć się siłami z Blotolfem.

Ogień ze stosu drzewa przerzucił się na ławę, lizał ściany. Ksiądz miał wrażenie, że chichoczący ślepiec, za którym w blasku pożaru tańczył mroczny cień, jest wcielonym szatanem.

— W imię Boże! — krzyknął żegnając się wolną ręką. Ogień huczał dalej, Blotolf patrzył nań niewidzącymi oczyma.

— Twój Bóg jest równie głuchy jak ja ślepy — drwił.

Kuźnię wypełnił dym, obaj kasłali, oczy księdza zaszczyły łzami. Strach brał górę. Próbował modlić się, błagał Boga o pomoc, lecz jedyną odpowiedzią były drwiny Blotolfa.

Ogień pełzał po ścianach, dosiądał już darniowego poszycia. Księdzu wydawało się, że płomienie czepiają się jego sukni, liza ciało.

Takiego przerażenia nigdy dotychczas nie zaznał; uczeplił się Blotolfa, padł przed nim na kolana, zebrał o łaskę.

— Powiedz, że nie wierzysz w Chrystusa! — krzyknął Blotolf.

Strach opętał księdza. W kuźni był żar nie do zniesienia, za chwilę upieką się żywcem.

Słowa modlitwy jakby się spalały i rozpływały pośród żaru piekącego ciała, pośród dławiącego dymu i syku płomieni. Tylko jedna myśl kształtowała się jeszcze wyraźnie: myśl o chłodnym, czystym powietrzu po drugiej stronie drzwi.

— Puszczaj! — krzyknął ksiądz. — Nie wierzę w Chrystusa.

— Byłem tego pewien — odparł drwiąco Blotolf. — Ale zanim wyjdiesz, dowiedz się, że gdybyś zaufał swojemu Bogu na tyle, by wytrzymać, aż ci się skóra trochę przypiecze, ja bym w niego także uwierzył. I wyszedłbym razem z tobą.

Po tych słowach Blotolf otworzył drzwi i wyrzucił księdza na dwór, po czym zamknął się w środku.

Ksiądz tarzał się na trawie chcąc ugasić płonące suknie. Co potem robił, tego nie pamiętał. Chyba zatkał uszy i umknął do lasu, byle nie słyszeć straszliwego trzasku pożaru.

Kiedy skończył opowiadanie, rozpłakał się niczym dziecko.

— Zdradziłem swoje powołanie, zdradziłem mego Boga — łkał. — I cóż teraz warte moje nędzne uratowane życie?

Kalf przyglądał mu się chwilę w milczeniu.

— Pomyśl o świętym Piotrze, o którym wspominałeś opowiadając o Anglii — rzekł w końcu. — Jeszcze jedno zaprzaństwo możesz popełnić, nim się z nim zrównasz.

1

Lasami od szwedzkiej strony przedzierał się pieszo samotny wędrowiec. Szedł boso, z obnażoną głową, odziany w gruby, samodziałowy, jakby mnisi habit przepasany sznurkiem.

Mieszkańcy dworów z Inndalu dziwowali się, czemu podróżny wyruszył sam jeden. Na drogach bowiem nie było bezpiecznie, łatwo spotkać łupieżców lub wyjętych spod prawa, toteż ludzie zazwyczaj szukali towarzyszy do podróży. Po ubiorze jednak i po krzyżu zawieszonym na szyi poznawano w nim kapłana.

Niektórzy usiłowali go wybadać, ale niczego się nie dowiedzieli. Odpowiadał, że odbywa pielgrzymkę.

Doszedłszy do Verdalenu skręcił w dolinę Leks wzdłuż zachodniej strony jeziora. Koło Semu znowu skręcił, tym razem ku Steinkjerowi. Wędrówka jego skończyła się wreszcie przy na wpół rozwalonych budynkach dawnego dworzyszca jarła Svena. Staął i popatrzył na fiord w stronę Egge.

Po chwili zawrócił i wszedł do kościoła. Bez pośpiechu otworzył wrota, wolnym krokiem podszedł do ołtarza, ukląkł i pograżył się w modlitwie.

Ksiądz Anund powrócił do Steinkjeru.

Po dłuższym czasie wyszedł z kościoła i skierował się ku miejscu, gdzie był prom.

Ale prom znajdował się właśnie po przeciwnej stronie i sporo czasu minęło, nim przewoźnik zawrócił wielką i ciężką barką. Ksiądz ze zdumieniem rozpoznał w nim tego samego, który był tu za czasów jarla. Natomiast przewoźnik nie od razu poznał księdza. Spoglądał na niego spod oka, dopiero po przepłynięciu rzeki odważył się zadać pytanie:

— Czy nie jesteście księdzem Anundem?

— Owszem — potwierdził ksiądz. Ale gdy po wyjściu na brzeg przewoźnik chciał paść mu do kolan, podniósł go mówiąc spokojnie i stanowczo: — Nie wódź mnie na pokuszenie, Torbjórnie. Natomiast jeśli chcesz mi się przyśłużyć, powiedz, co działo się w tych stronach podczas ostatnich dziesięciu lat.

Anund usiadł na kamieniu nad brzegiem rzeki i słuchał opowiadania Torbjórna.

— A więc Sygryda córka Torego wróciła do Egge — rzekł zamyślony. — A synowie Olwego też są we dworze?

— Tego lata tylko najmłodszy. Dwaj starsi ruszyli na wyprawę.

— Dzięki ci!

Ksiądz wstał i poszedł do Egge. Obrął drogę wiodącą dołem obok usypiska skalnego w Heggvinie. Potem wspiąwszy się na zbocze przystanął, by rozejrzeć się po całej dolinie. Dalej posuwał się z wolna, ogarnięty dziwnym spokojem, jakiego nie zaznał w ciągu tylu lat tułaczki po świecie. Droga wiodła przez wzgórze Egge, zatrzymał się przed nowym kościołem.

Stały tu nadal niedaleko od siebie dwa obeliskowe kamienie żalne, jak wówczas gdy był tu chrám, po chwili ksiądz rozpoznał także starą pogańską świątynię zamienioną w chór.

Jakaś postać klęczała przed ołtarzem, to ksiądz, tak jak i on sam; Anund wahał się chwilę, zanim ukląkł obok niego.

Nieznajomy drgnął, obrzucił obcego przelotnym spojrzeniem, po czym pochylił się jeszcze niżej i szeptał pacierze. Kiedy wstał, Anund powiedział, kim jest, dodając, że był niegdyś księdzem w tej gminie.

Towarzysz spojrział na niego z głęboką czcią.

— Uciekłem od moich obowiązków — wyjaśnił Anund.
— Ale Bóg w końcu pozwolił mi zrozumieć, że popełniłem ciężki grzech sprzeniewierzając się powierzonym mi wier-
nym. Dlatego powróciłem, wierzę bowiem, iż wolą Jego jest, abym tutaj pozostał.

— Sprzeniewierzyłeś się powołaniu Bożemu? — mały człowieczek wyglądał, jakby otrzymał wspaniały dar.
— A czyż nie jesteś księdzem Anundem, zwanym przez tutejszych kmieci świętym mężem?

— Jestem księdzem Anundem, lecz świętym nie byłem nigdy. Jeśli ludzie tak o mnie mówią, to za sprawą szatana, który chce ich omamić, a mnie kusić.

— Zwę się Jon. Od pięciu lat jestem w Egge. Dwóch nas było w tej okolicy, ale ksiądz Osvald przed rokiem spadł z konia i potem umarł. Odtąd zostałem sam. W kraju brak kapłanów, biskup nie miał kogo przysłać na jego miejsce. A ja... — przerwał na chwilę — ja nie jestem dobrym kapłanem, i choć usilnie się starałem, nie zdołałem sprostać obowiązkowi tego roku. Chyba niebo mi ciebie zesłało. Musisz jednak pojechać do Kaupangu porozmawiać z biskupem.

— Dokąd? — spytał Anund.

— Do nowego miasta pod Nidaros — wyjaśnił ksiądz Jon. — Król zawsze tam przebywa, kiedy odwiedza te strony. Tam także biskup Grimkjel ma swój dwór i w nim mieszka, jeśli nie jeździ po kraju.

Anund skinął głową, podali sobie ręce. Po czym razem poszli do Egge.

Sygyda na dziedzińcu łąjała służebną, dziewczyna płakała, lecz pani nie okazywała wyrozumienia, w gniewie nawet nie zauważyła przybycia księży.

— Ostatecznie mogę pojąć, żeś się potknęła w lamusie i suszone ryby wyleciały ci z rąk. Ale nie podejmij, dlaczego ich zaraz nie wydobyłaś. Powinno ci starczyć rozumu na pomyślenie, że skoro piwo stoi obok, ryba mogła wpaść do kufy. Gdybyś ją wyjęła nie czekając, można by piwo uratować. A teraz nadaje się tylko do wylania...

Dziewczyna pochlipywała, Sygryda obejrzała się, gdy ksiądz Jon chrząknął.

— Szkoda zmarnować piwo — zauważył przezornie.
— Może da się użyć w postne dni?

— Odejdź — rzekła Sygryda do służebnej. Trudno jej było teraz zachować powagę.

Nagle zauważyła drugiego księdza towarzyszącego Jonowi, z twarzy kogoś jej przypominał.

— Nie poznajesz mnie, Sygrydo? — spytał.

Wyciągnęła do niego obie ręce.

— Mogłam się domyślić, że to ty, Anundzie! — zawołała. Równocześnie jednak pomyślała, że minione lata chyba ciężko go doświadczyły, wyryły głębokie bruzdy na jego obliczu i szronem przyprószyły włosy.

Ksiądz Anund pozostał w okręgu Inntrondheim. Wkrótce po przybyciu udał się do Kaupangu, szczęście mu sprzyjało, gdyż biskup był w mieście i przyjął go z otwartymi ramionami.

Po powrocie natomiast Anund nie chciał osiaść w Egge. Wyporządził na mieszkanie jeden z budynków należących do dworu w Steinkjerze. Pewien człowiek imieniem Hrut przeniósł się tam z żoną, by mieć o księdza staranie.

Od wyjazdu jarla gospodarka w Steinkjerze leżała odłogiem. Dopiero kiedy Kalf przybył do Egge, kazał uprawiać pola i dbać o łąki należące teraz do króla. Powoli zaczęto też naprawiać budynki i wprowadzać do nich ludzi.

Z początku liczne rzesze mieszkańców ciągnęły do Anunda, byli wśród nich dawni wierni i dawni poganie.

Rozmawiał z każdym, jednych pocieszał, innych ganił, napominał. Lecz jeśli ktoś przychodził jako do świętego, odpowiadał krótko, że podobne myśli są dziełem szatana i ciężkim grzechem.

Dawnym zwyczajem nawiedzał całą gminę i gawędził z mieszkańcami. Przyjmowano go teraz z radością nawet w tych dworach, które dawniej zamykały przed nim drzwi.

W niedługim czasie przekonał się, że musi przyjąć konia, którego mu Kalf ofiarował. Miał teraz bowiem znacznie liczniejszą gromadkę wiernych nie tylko w pobliżu Steinkje-

ru, toteż jeśli miał dotrzeć do wszystkich, musiał jeździć wierzchem.

Sygyda z początku liczyła, że ksiądz Anund poprosi ją o rozmowę na osobności.

Ale czekała daremnie. Odnosił się przyjaźnie do niej i do Kalfa, gawędził i bawił się z Trondem, pewnego dnia przyniósł mu zdobyty gdzieś piękny korzeń arcydziegielu. Był jednak pochłonięty wypełnianiem swoich obowiązków i jakby nie miał o czym mówić z **Sygyda**.

Dopiero po miesiącu pobytu Anunda w Steinkjerze Sygyda uprzytomniła sobie nagle, że jeśli chce mówić z księdzem, musi udać się do niego jak wszyscy inni parafianie.

Gniewało ją to. Już wcześniej była niezadowolona, gdy Anund z podziękowaniem odmówił Kalfowi, który go prosił o zamieszkanie w Egge. Zupełnie jakby nie doceniał, że Kalf jest obrońcą chrześcijaństwa w tym okręgu i obdarzył gminę nowym kościołem.

Sygyda mniemała, że ksiądz Anund winien okazać względy należne jej jako pani na Egge. Tak czynił ksiądz Jon i dawniej Osvald. A nadto Anund powinien wiedzieć, że chętnie z nim porozmawia nie będąc zmuszona prosić go o to.

W końcu, gdy pewnego dnia odwiedził Egge, wyraziła mu swoje życzenie.

— Możesz przyjść do Steinkjeru jutro po południu — odparł.

Sygydzie dech zaparło. Powinien co najmniej sam przyjść do Egge!

— Jeśli ci to nie odpowiada, możemy naznaczyć inny dzień — dodał Anund uprzejmie, zerkając na nią spod oka.

Zagryzła wargi, ociągała się z odpowiedzią.

— Na pewno uda mi się przyjść jutro — oświadczyła w końcu.

— Co ci leży na sercu? — spytał nazajutrz ksiądz Anund.

Izba, w której go znalazła, była pusta i naga, tylko ławy stały pod ścianami, a odrobina światła sączyła się przez

dymnik. Na krótszej ścianie wisiał krucyfiks; Sygryda miała wrażenie, że poznaje rękę rzeźbiarza z Ogdalu.

— Czy mogę ci w czymś pomóc? — spytał ponownie.

Sygryda nie wiedziała, od czego zacząć. Nie miała mu nic szczególnego do zwierzenia, po prostu chciała z nim pogadać. Teraz nagle poczuła się niepewna, może nie należało niepokoić tak ogromnie zajętego człowieka bezładną gadaniwą o przeszłości.

— Chciałam z tobą pogawędzić. Właściwie z niczym nie przyszłam. — Czowała się jak smarkata, a wskutek tego była zmieszana. — Może lepiej pójdę. Masz ważniejsze sprawy do załatwienia.

Ksiądz się uśmiechnął.

— Mogą zaczekać. Ja także mam czasem ochotę na miłą pogawędkę. A na dzisiejsze popołudnie nie przewidziałem nic innego. Przykazałem Hrutowi, by miał na oku dziedziniec, nie chcę, żeby mnie niepokojono, chyba że istotnie ważną sprawą.

— A jednak mam ci coś do powiedzenia — przypomniała sobie nagle Sygryda. — Olve przed śmiercią polecił mi przekazać ci jego słowa.

Usiadła obok Anunda na ławie, ksiądz skupił uwagę.

— Co powiedział?

— Prosił, bym ci powtórzyła, że żałuje za swoje grzechy i za jedzenie ofiarnego mięsa także.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu, Sygrydo? — ksiądz wstał i zaczął przechadzać się po izbie. — Jeśli Olve umarł jako chrześcijanin, należy mu się chrześcijański pochówek.

— Olve leży w poświęconej ziemi — rzekła Sygryda. — Pochowano go przy kościele w Maerinie. Jeśli wcześniej tego nie powiedziałam, to dlatego, że zaraz po śmierci Olwego rozmawiałam z biskupem Grimkjelem.

Anund nie od razu odpowiedział. Najpierw ukląkł u stóp krzyża. Modlił się chwilę, po czym uczynił znak krzyża i wrócił na ławę.

— W Szwecji doszła mnie wieść, że król zabił Olwego w Maerinie za składanie obiady.

— Zamordowano go w Maerinie, to prawda, natomiast kłamali mówiąc, że składał ofiary.

Ksiądz słuchał uważnie, by nie uронić słowa z opowiadania o zgonie Olwego. Kiedy skończyła, pytał od nowa. W końcu dowiedział się wszystkiego, co zaszło w Egge ostatniej jesieni i zimy, nim straciła Olwego, usiłowała także powtórzyć, co Olwe mówił podczas ostatniej bytności w kościele w Steinkjerze.

— Powinienem był to przewidzieć — stwierdził w końcu Anund. — Powinienem zaufać Bogu, wiedzieć, że nie może zawieść Olwego. Bóg nigdy nie zawodzi tych, którzy go naprawdę szukają.

Sygyda pochylona do przodu ukryła twarz w dłoniach. Patrzył na nią w milczeniu. Po chwili wyprostowała się i nie podnosząc oczu na księdza odezwała się bezdźwięcznym głosem:

— Kłamiesz. Szukałam Boga i nie znalazłam Go.

— Czyś pewna, że szukałaś Boga, że chciałaś poznać Jego wolę? — zapytał łagodnym głosem.

— Powiadasz, że Bóg nikogo nie zawodzi — zawołała porywczo — a co z Blotolfem; najpierw go oślepił dla dobra chrześcijaństwa, a potem zginął, bo chrześcijański ksiądz nie miał ani dosyć odwagi, ani dosyć wiary, by mu pomóc?

Anund słyszał o Blotolfie i pożarze z ust księdza Jona.

— Blotolf popadł w szaleństwo. I nie do nas ludzi należy wydawanie o nim sądu lub potępienie go. Zresztą ludzie zbyt surowo ocenili księdza Jona. Ci śmiałkowie, którzy mówią o nim z pogardą, winni pamiętać, że jeśli nie grzeszą tymi wadami co on, to na pewno mają inne. A gdy mówią o jego słabości, niech pamiętają, że wielkiej mocy trzeba do znoszenia nienawiści i wzgardy z cierpliwością i łagodnością, z jaką on to czyni. Niemałą pokutę nałożył biskup na księdza Jona odsyłając go z powrotem do Egge. — Anund mówił teraz żarliwie. — I tę jego cichą pokorę niejedemu tu w gminie mógłby zapamiętać ku własnemu zbudowaniu, miast go poniżać.

Z oczu księdza Sygyda wyczytała, że jej przyganiał, i to ją rozgniewało. Wyłuszczyła mu szczerze tajemne wątpliwo-

ści oraz trudności, a on w odpowiedzi zadaje głupie pytanie, czy istotnie Boga szukała w kościele! A kogóż by? A na dodatek jeszcze robi przytyki do jej dumy!

Wstała, podziękowała za to, że zechciał ją przyjąć, jako wymówkę podała, iż nie chce zabierać mu więcej czasu, i odeszła.

2

Sygyda czesała len w świetlicy, jednocześnie rozmyślając o słowach Anunda. Nie mogła się zgodzić z przymówkami do jej dumy.

Kalfa wszyscy już uznali za naczelnika całego Inntrondheimu, a co za tym idzie, ją uważano za pierwszą niewiastę w okręgu. Jednakże nie pyszniła się ani nie wynosiła nad inne. Nie zapomniała wprawdzie, jak pochopnie wydano o niej sąd, mimo to była wszystkim życzliwa i pomocna, chodziła do połogów i bez skargi ponosiła trudy, gdy Kalf trzy razy do roku wydawał biesiadę dla okolicznych mieszkańców.

Prawda, że przywykła ostatnio przeprowadzać swoją wolę. Nie mieszała się jednak do rządzenia okręgiem lub gospodarstwem, chyba że Kalf prosił o radę. A choć wiedziała, że potrafi wodzić go za nos, robiła to najczęściej w taki sposób, by się nie spostrzegł. Czasem bywała do niego niezbyt przyjaźnie usposobiona, i to właśnie ze względu na jego szczerść i brak podejrzliwości. Pocieszała się jednak zawsze, że skoro on o tym nie wie, to go nie boli, no i ostatecznie sam był temu winien.

Brakowało jej silnej ręki Olwego z początku, jak i teraz. Niemniej jednak poczucie własnej mocy było miłe. A skoro Kalf nie uchwycił steru, ktoś musiał to zrobić.

Kalf na pewno nie pragnął, by sprawy układały się między nimi odmiennie pod jakimkolwiek względem. Wydawał się aż drażniąco zadowolony i z niej, i z siebie. Zawsze

wiedziała, czego mogła się po nim spodziewać, czy wśród ludzi, czy też na osobności, toteż w pojęciu Sygrydy z każdym rokiem stawał się nudniejszy.

Najprzeróżniejszymi sposobami próbowała nim wstrząsnąć. Drażniła go — obrażał się tylko, igrała z nim i droczyła się — okazywał wyraźnie, że uważa to za niepotrzebne. Złościła się i gniewała — nie pojmował, o co jej chodziło.

W końcu dała za wygraną. Niekiedy bywało jej z nim dobrze, najczęściej jednak udawała, byle uniknąć pytań, którymi wtedy ją zasypywał. Różnicy nawet nie zauważył.

Stopniowo przestała żałować. Pochłaniała ją praca we dworze, synowie oraz ich życie. Uważała teraz, że dawniej zbywała robotę i dziwiła się, dlaczego Olve nigdy się nie skarżył.

Ale też Olve nigdy nie zadzierał głowy. I właściwie jakby nigdy poważnie nie brał ani własnej, ani jej godności.

Kalf natomiast ogromnie się przejmował obowiązkami naczelnika okręgu Inntrondheim. W mniemaniu Sygrydy posuwał się pod tym względem aż za daleko; za czasów Olwego podobnych najazdów nigdy nie bywało. Teraz nieustannie płynął potok ludzi szukających rady u Kalfa. Kalf z Egge jest mądry i sprawiedliwy — powiadali. To prawda — myślała Sygryda.

Często wyjeżdżał. Nigdy jednak nie zabierał jej z sobą, jak czynił to Olve. Z początku dziwiła się, wiedząc, jak zależny od niej był Kalf. Z czasem jednak pojęła, że właśnie dlatego iż o tym wiedział, zostawiał ją w domu: bał się, żeby ludzie tego nie spostrzegli.

I to stanowiło w jej pojęciu największą różnicę między nim a Olvem: Olve zabierał ją z sobą, bo do niego należała, Kalf wolał ją zostawić w obawie, że ludzie stwierdzą, iż należał do niej.

— Au! — wyrwało się jej mimo woli. Włożyła skaleczony palec do ust, aby wyssać krew. Gniewnym wzrokiem obrzuciła zgrzebło, lecz zaraz się uśmiechnęła. Przy czesaniu lnu nie można się pogrążyć w zadumie.

Po dwóch dniach od rozmowy z Anundem, zaraz po letnim porównaniu, skald Sigvat przyjechał do Egge.

Nie pierwszy raz odwiedził dwór, od czasu gdy Kalf został namiestnikiem; dwukrotnie już przywoził królewskie rozkazy. Teraz także przyjechał z królewskim posłaniem, miał ważne polecenia dla Kalfa i musiał z nim mówić w cztery oczy.

Sygyda cieszyła się z odwiedzin Sigvata, ale równocześnie była z nich nierada. Patrzył na nią oczami płonącymi swoistym żarem, budzącym uczucie niemocy i przypominającym Sygydzie pierwsze spotkania z Olvem na Bjarkóy.

Sigvat z początku trzymał się z dala od Sygydy, rozmawiał tylko z Kalfem, zauważyła jednak, że czarne oczy śledzą ją bez przerwy.

Śmiał się i żartował z Kalfem. Przyznał, że miał córkę z nałożnicą. Król trzymał dziewczynkę do chrztu, na imię miała Tove. Ożenił się także, ale nie z matką Tovy. Mówiąc to zerkał na Sygydę. Ona zaś pomyślała, iż jeśli nawet żałował tego, co zaszło między nimi w Kaupangu, żal prędko minął.

A jednak przykro było patrzeć na różnicę między tymi dwoma mężczyznami i pomyśleć, że niewiele brakowało, by poślubiła Sigvata.

Po jego drugim pobycie w Egge Sygyda parę tygodni nie mogła odzyskać równowagi.

Prosił wówczas, by pokazała mu swoje makaty. Spytała Kalfa, czy zechce im towarzyszyć, odmówił jednak, bo nie znał się na tkactwie. Poszła zatem z Sigvatem do lamusa.

— Czy zechcesz mi dać jedną z twoich robót? — spytał, gdy klęcząc obok siebie oglądali w ciepłym blasku świecy wzorzyste makaty rozesłane na podłodze. — Miałbym wrażenie, że cząsteczka ciebie jest ze mną.

Zdziwiła się nieoczekiwaną prośbą. Nie patrząc na Sigvata odparła:

— Nie myśl o mnie w ten sposób.

— Nic na to nie poradzę — rzekł ujmując jej rękę, której mu nie umknęła. Uścisnął ją i podniósł do ust, lecz tylko na mgnienie oka.

— Wiesz, każdy skald musi tęsknić do niewiasty — zauważył ze śmiechem. — Do takiej właśnie, której nie może zdobyć. Kormak miał Steingerdę, Gunnlaug Wężowy Język — Helgę, Tormod skald Kolbruna ma swoją Torbjórgę. A ja ciebie. Może i lepiej, żem cię nie poślubił.

— Nigdy nie słyszałam, byś ułożył pieśń o mnie — rzekła Sygryda.

— Czy nie wiesz, iż prawo zabrania wygłaszania miłosnych pieśni?

— Niewielu bierze je poważnie!

— Głupio robią. Wspomnij, ile trudności Ottar Svarte przyczynił sobie i królowej Astridzie opiewając ją w pieśni! I to mimo że już była zamężna, gdy układał miłosne strofy.

— Słyszałam, że pieśń wcale nie była taka straszna — powiedziała Sygryda. — Zmuszono go jednak do wygłoszenia jej w obecności króla.

— Wygłosił ją przed królem. Ale wtedy już tu i ówdzie coś zmieniliśmy, i on, i ja. Pieśń w pierwszym układzie wcale dobra nie była i wątpię, by jeszcze miał głowę na karku, gdyby król ją posłyszał. O tobie, Sygrydo, ułożyłem pieśń, i to niejedną. Nie chcę jednak narażać na szwank przyjaźni z Kalfem i twojej dobrej sławy wygłaszając je wobec wszystkich.

— Ufam, że nie jesteś fałszywy jak Tormod skald Kolbruna, który układał strofy dla jednej niewiasty, a posługiwał się nimi w celu pozyskania innej.

— Nie pytaj, nie usłyszysz kłamstwa — odparł ze śmiechem.

— Czy mogę usłyszeć jedną z twoich pieśni? — spytała Sygryda.

Sigvat potrząsnął głową.

— Może innym razem.

— To nie dostaniesz makaty.

Zerknął na nią szelmowsko.

— Wspomniałem o tobie w jednej ze znanych pieśni — a widząc jej pytające spojrzenie dodał: — Czy nigdy nie słyszałaś pewnej strofy z pieśni o Nesjarze, w której powiedziałem:

W tym roku naszego słuchu
śmiech nie dobiegnie i drwina:
nie będzie trondheimska dziewczyna
kpić z przerzedzonej drużyny.
Raczej brodaczem tym wzgardzi,
co zbliżyć się zechce bardziej.

- Teraz dostanę makatę.
- Dostaniesz odpowiednią do pieśni — rzekła Sygryda i wybrała najmniejszą z makatek, jaką mogła znaleźć.
- Nie — zawołał obejmując ją. — Ja chcę tę o miodzie Suttunga. Tkałaś ją, kiedym cię ujrzał po raz pierwszy.
- Widzę, że nie zmniejszyłeś wymagań z wiekiem — zażartowała usuwając się, lecz dała mu makatę, o którą prosił.

Teraz znowu przybył do dworu, siedział z Kalfem w starej izbie gościnnej. Sygryda czuła się niepewna, nie wiedziała, co począć.

Może lepiej zniknąć. Mogła wyjechać do Beitstadu na dwa dni. Warto dojrzeć gospodarstwa. Kalf pozostawił jej zarząd własnymi dworami, toteż zaglądała tam często zarówno przed, jak i po śmierci Tory.

Zaniechała jednak tej myśli. Oboje z Sigvatem aż nadto dobrze wiedzieli, że między nimi nic nigdy być nie mogło. A co to szkodzi, jeśli układał o niej pieśni? Kalf o tym nie wie, więc mu to nie wadzi — pomyślała jak nieraz.

Mimo to wieczorem w biesiadnej sali trzymała się wśród kobiet i unikała wzroku Sigvata. Postarała się jednak usiąść dość blisko, by słuchać jego rozmowy z Kalfem.

Sigvat opowiadał, że przybył na północ, by odwiedzić swój dwór, nim wyruszy w handlową podróż do Rudy.

- Czy Tord Folesson z tobą jedzie? — spytał Kalf.
- Dłaczego Tord syn Folego miałby jechać ze mną?
- Sądziłem, że jesteście przyjaciółmi.
- Sporo czasu minęło, odkąd opuściłeś królewski orszak. Nigdy nie wybaczył mi figła, jakiego mu spłatałem, kiedy król Rorek chciał zmykać.

Kalf potrząsnął głową.

— Zapomniałem już.

— Tord i ja zauważyliśmy, że Rorek zniknął — wyjaśnił Sigvat. — Nie mieliśmy pojęcia, co robić, bo żaden z nas nie śmiał obudzić króla. Zapytałem tedy Torda, czy powie królowi, co się stało, jeśli ja go obudzę. Tord odparł, że owszem, jeśli odważę się przerwać mu sen, on go powiadomi. Kazałem więc jednemu z księży uderzyć w dzwony. No i Tord, który pozostał w sypialnej komnacie, musiał wszystko powiedzieć królowi, kiedy ten zerwał się z łoża zaspany i wściekły.

— Śmieszne, jak ludzie boją się zbudzić króla — zauważył Kalf. — Mężczyzna nie powinien tak cenić snu. Słyszałem, że nie śmiałeś go niepokoić, gdy syn z nieprawego łoża przychodził na świat i matka oraz dziecko wybierali się do grobu.

— Prawda. Obudzić króla czy niedźwiedzia w mateczniku to równie niebezpieczne. Kiedy chłopaka trzeba było ochrzcić, wolałem narazić się Olafowi wyszukaniem dla niego imienia, aniżeli przerwać królewski sen.

— Dobrze na tym wyszedłeś — chociaż nie dziwię się, że król musiał uważać imię Magnus za trochę dziwne.

Sigvat wybuchnął śmiechem, po czym zaczęli mówić o poważniejszych sprawach.

Mówiono o związaniu się króla z konungiem szwedzkim Anundem i o zamiarach króla Kanuta opanowania Norwegii. W jego mniemaniu prawo to przypadało mu w dziedzictwie po ojcu Svenie Widłobrodym, który za czasów jarla władał ogromną połacią Norwegii.

Później mówili o nowym prawie chrześcijańskim wydanym przez króla.

Kalf był zdania, że król poczynął sobie zbyt pochopnie odmieńając ustawy, Sigvat natomiast z zapałem pochwalał zjednoczenie kraju dzięki ustanowieniu przez Olafa jednolitego prawa dla całego obszaru oraz ograniczeniu dawnego prawodawstwa wiecowego.

— Zrobił to, czego nikt przed nim uczynić nie zdołał: zjednoczył Norwęgę w jedno królestwo, i to złączone w całość tak silnie, że nigdy już się nie rozpadnie.

Kalf był odmiennego zdania.

— Nie wszędzie są z króla zadowoleni. Rządzi samowładnie. Królestwo może się rozpaść jeszcze za jego czasów.

— Mówisz teraz inaczej niż ten Kalf syn Arnego, którego znałem z drużyny królewskiej.

— Wiele się od tego czasu nauczyłem — odparł Kalf. — J a k o namiestnik nauczyłem się nie wydawać zbyt pochopnych sądów. A moim zdaniem królowi nie raz zdarzyło się sądzić w nadmiernym pośpiechu. Gdyby zaczekał, aż dość minie, nie skazałby na śmierć Asbjórna syna Sigurda z Trondarnes. A gdyby Torar syn Nevjolva nie powstrzymał króla od zamordowania go niezwłocznie, Olaf ściągnąłby sobie na kark niezgorsze siły. Zresztą mieszkańcy Haalóy żywili do niego z dawna urazę, bo im nie zezwolił kupić zboża na południu w roku nieurodzaju. Im wesz bardziej wygłodzona, tym mocniej gryzie, jak ci wiadomo.

Sygyrda wiedziała, o czym mówili, słyszała bowiem od Finna Haraldssona o poczynaniach Asbjórna syna Sigurda.

Z początku pojechał do Soli, gdzie zakupił zboże od niewolnych brata matki, Erlinga syna Skjalga, niewolnych bowiem nie obowiązywał królewski zakaz. Jednakże Tore z Selu, królewski zarządca w Avaldsnes, odebrał mu zboże w powrotnej drodze. Zabrał mu także żagle i drwiąc z jego zakupów pozwolił mu odpłynąć na wiosłach. Dopiekło to mocno Asbjórnowi, który zaczął przemyśliwać o zemście. Dwa lata później znowu popłynął do Avaldsnes i przyłapał Torego na opowiadaniu łgarstw i kpieniu z niego w obecności króla. Tego było Asbjórnowi za dużo, zabił Torego w królewskiej sali. Olaf był wściekły, nie chciał słuchać wyjaśnień. I tylko dzięki Skjalgowi synowi Erlinga, jego krewniakowi, oraz Torarowi synowi Nevjolva Asbjörn pozostał przy życiu. Skjalg pojechał do Soli po ojca, Torar zaś użył przeróżnych wybiegów, aby nakłonić króla do odroczenia wykonania wyroku, póki Skjalg nie przybędzie z Erlingiem. Dopiero kiedy król ujrzał, z jak wielkimi siłami ciągnie Erling, zgodził się darować życie Asbjórnowi. Ten jednak musiał przyrzec, że obejmie miejsce zarządcy Avaldsnes po Torem z Selu.

Nie podobało się to wielce jego stryjowi Toremu Hundowi, uważał bowiem, że uchybiono rodowi. Toteż kiedy Asbjörn przybył na północ w odwiedziny do własnego dworu, Tore poradził mu, aby pozostał. Asbjörn uznał radę za dobrą i wbrew królewskiemu zakazowi osiadł z powrotem w Trondarnes.

Zaledwie rok minął, padł zamordowany przez Aasmunda syna Grankjela, jednego z królewskich druhów. Drugi zaś imieniem Karle również brał udział w zabójstwie.

— Masz słuszność — odparł Sigvat — król istotnie postąpił zbyt popędliwie, i to w sprawie, którą można rozważać z różnych stron. Ale działo się to przed kilku laty, a z każdym rokiem staje się łagodniejszy. Nieraz próbuję go hamować i wierzaj mi, że nie zawsze zgadzam się z jego poczynaniami. — Sigvat westchnął, po czym dodał: — Pogawędźmy o czymś weselszym. Może ty nam coś opowiesz, Kjartanie?

— Chyba znasz wszystkie moje opowieści.

— Powinieneś pojechać ze mną na handlową wyprawę, a znowu będziesz miał czym się przechwalać.

— Stary już jestem, kości mi się zastały — odparł Kjartan, który teraz najchętniej siadywał przy ogniu i wiązał sieci. — Zresztą osiadłem już na dobre w trondheimskim okręgu.

— Trondheimczycy niedługo będą się składali z Islandczyków i innych morskich włóczęgów — zauważył Sigvat patrząc w zamyśleniu na Kalfa, który wybuchnął śmiechem.

— Może i masz słuszność. Ale sądzę, że teraz winieneś nam pokazać, co potrafi skald.

Z krotochwilnym uśmiechem Sigvat wstał i zaczął wygłaszać żartobliwe strofy o każdym ze znanych mu biesiadników.

Późnym wieczorem Kalf podpisał sobie niezgorzej i dwaj pachołkowie musieli odprowadzić go do łoża. Domownicy też się rozeszli. Lecz Sygryda pozostała na dziedzińcu. Wieczór był niezwykle cichy i pogodny. Złotozielonkawy odblask padał na budynki i drzewa, nawet niebo wydawało się jasne.

Nie miała ochoty wracać do komory, do pijanego Kalfa. Ale gniewało ją nie tylko to, że się upił, według niej zbyt poufale dogadywał Sigvatowi, szczególnie pod koniec wieczoru.

Kiedy rozmowa ponownie zesłała na królewskie sądy i wymiar sprawiedliwości, Kalf przypomniawszy zgon Olwego w Maerinie i napomknął, że był ochrzczony. Sygryda z zadowoleniem stwierdziła, że wywarło to na Kalfie znacznie większe wrażenie, niż przypuszczała. Ale równocześnie uważała, że nie ma celu o tym mówić, szczególnie wobec człowieka tak bliskiego królowi jak Sigvat.

Niemniej jednak zdumiała ją odpowiedź Sigvata. Był przekonany, iż od tej pory Olaf nikogo nie kazał zamordować lub okaleczyć w imię chrześcijańskiej wiary. Ona jednak w to nie wierzyła...

Nagle wchodząc do sieni posłyszała szept.

— Sygrydo!

— Ciiicho! — rozejrzała się z przestachem. W sieni okienka były nieliczne i maleńkie, toteż panowały tu ciemności. W białej poświacie sączącej się przez drzwi widziała tylko zarys postaci Sigvata.

Bez słowa przygarnął ją i mocno tulił w ramionach.

Najpierw, śmiertelnie przerażona, chciała krzyknąć. Natychmiast jednak błysnęła myśl, na jaką karę go narazi, wobec czego zamilkła.

Obejmował ją prawą ręką, lewą zaś wsunął pod czepiec i gładził jej włosy i szyję.

Stała niczym urzeczona, nawet nie usiłowała umknąć.

Czuła, że wzbiera w niej jakaś nowa fala, która zawsze kryła się w głębi niby owe morskie prądy z początku niedostrzegalne pod powierzchnią. Teraz piętrzyła się i narastała jak woda w morzu, gdy dobija do lądu — i wobec niej była bezsilna.

Zarzuciła Sigvatowi ręce na szyję i ukryła twarz na jego ramieniu. On w milczeniu tulił ją coraz mocniej. W końcu ujął twarz Sygrydy w obie dłonie i całował, a wtedy przekonał się, że płakała. Delikatnie otarł jej łzy i znowu ją pocałował.

— Czy tęsknisz do mnie jak ja do ciebie? — spytał szeptem.

— Chyba tak — odparła. Chociaż właściwie dopiero teraz uprzytomniła sobie tęsknotę do niego.

Boże, zlituj się nad nami! — szepnął i zniknął.

3

Wkrótce po Wniebowzięciu ksiądz Anund prosił Sygrydę i jej dwóch starszych synów, by mu towarzyszyli do Maerinu.

Sygryda nie miała na to ochoty; nie była tam od śmierci Olwego. Trudno jednak odmówić księdzu!

W drodze przez fiord i później jadąc z Kroksvaagenu do Maerinu — milczała.

Odnajdywała te same miejsca, te same widoki tak dobrze znane. Ale zdawały się należeć do innego życia. Podobne uczucie mają chyba ci, którzy powtórnie się odradzają i zapamiętali cośkolwiek z poprzedniego życia. Sygryda zerknęła na księdza — chrześcijanom nie wolno wierzyć, że człowiek rodzi się ponownie.

Widok znajomych miejsc nie był przykry. Wspomnienie lat spędzonych z Olvem kryła w sercu niczym najdroższy skarb; a jeśli o nim myślała, odczuwała tęsknotę, ale nie smutek. W pogańskich czasach ludzie grzebali w ziemi skarby, by je zachować po śmierci. Może tak właśnie było między nią a Olvem?

Jednakże nie mogła się powstrzymać od pytania: dlaczego? — J a k zawsze, kiedy myślała o Olvem. Dlaczego Bóg pozwolił mu umrzeć? Wierząc w bogów łatwiej było na to odpowiedzieć. Los bowiem przesądzał o wszystkim. Człowiek godził się z niedolą, smutkiem, niebezpieczeństwem, bo wydarzenia były nieodwracalne, los jest potężniejszy nawet od bogów. Teraz natomiast należało wierzyć w Boga silniejszego od losu. Dlaczego zatem Olve musiał umrzeć, skoro ostatecznie znalazł Boga i był skłonny Mu służyć? Sygryda

myślała nie tylko o własnej stracie. Bóg ukształtował sobie przecież narzędzie i zaraz je zniszczył — to było marnotrawstwo z Jego strony.

Kto był Bożym narzędziem? To nie takie proste.

Król uważał się za nie i prawda, że ochrzcił kraj. Jeśli jednak zastanawiała się nad widzianym naocznie sposobem, w jaki krzewił chrześcijaństwo, miała wątpliwości. Bo cokolwiek czynił, żądza władzy zawsze szła w parze z chrześcijańskimi zamierzeniami. Zupełnie jakby Olaf w znacznie większej mierze posługiwał się Bogiem aniżeli Bóg królem.

Wszystko, co słyszała o królu w ciągu ostatnich lat, gdy chodziło o prawa i chrześcijaństwo, nie wpłynęło na zmianę wizerunku Olafa z Maerinu i Kaupangu. Wystarczyło przypomnieć sobie, że opierając się na donosie jednego człowieka i nie bacząc na ustawy i wiece kazał mordować i okaleczać ludzi; wystarczyło pomyśleć, że na jego słowo bez sądu zamordowano Olwego, a ogarniała ją dławiąca nienawiść do zadufanego w sobie króla.

Sygryda obejrzała się na synów.

Zwierzyli się jej, że na początku lata byli u króla Kanuta. Spotkali także jego krewniaka jarla Haakona syna Eryka i z nim rozmawiali.

Król Kanut przyjął ich życzliwie, wypytywał o nowiny z Norwegii. Ale bez trudu wymiarkowali, że dobrze o wszystkim wiedział; wspominał zabójstwo ich krewnego Asbjórna syna Sigurda. Nadmienił także, że chyba obaj pamiętają, kto winien jest śmierci ich ojca, i prosił, aby jeśli dojdzie do władzy w Norwegii, pamiętał, iż był powinowatym i przyjacielem rodu jarłów Lade. W końcu, zanim wyruszył z Anglii na pielgrzymkę do Rzymu, każdemu z nich ofiarował szeroki złoty naramiennik.

Sygryda rozważała, jak długo zamierzają czekać na rozprawienie się z królem Olafem. Niepokoiła się, czy zemstę dokładnie obmyślili, w przeciwnym bowiem razie królobójcy na pewno zginą z rąk jego świty.

Myślała także o bracie. Od zabójstwa bratanka nie widziała Torego Hunda i nie sądziła, aby był dobrze usposobiony względem króla. Finn Haraldsson pojechał

tego lata na Grytów, wkrótce spodziewano się jego powrotu; Sygryda niecierpliwie czekała, jakie wieści przywiezie.

Wzgórze maerińskie już wyrosło przed nimi. Sygrydzie przyszło na myśl, co Olve o nim opowiadał, gdy byli tu po raz pierwszy, i jak później on sam został związany z historią tego miejsca.

U stóp wzniesienia powstrzymała konia. Anund i jej synowie także się zatrzymali.

— Jedźcie dalej! Ja tu czekam! — rzekła.

— Boisz się czegoś? — spytał Anund.

Sygrydę doprowadzało do wściekłości to, że ksiądz odgadywał jej myśli. Poza tym sama nie wiedziała, czego się lęka. Może przerażały ją wspomnienia, a może konieczność spojrzenia na skrawek darni, pod którą jak dobrze wiedziała, spoczywały szczątki Olwego. Nie odpowiedziała księdzu.

— Na górę jedźcie sami! — powtórzyła tylko.

— Ojciec byłby nierad, żeś taka bojaźliwa! — w głosie Grjotgarda brzmiał odcień drwiny, Sygryda spojrzała na syna.

Grjotgard już nie był wyrostkiem; minęło mu siedemnaście zim, miał postawę i głos dorosłego mężczyzny. Był urodziwy — zauważyła to nagle — nic dziwnego, że podoba się dziewczętom.

— Pojedziesz z nami, matko! — nalegał Grjotgard. Popędził przy tym konia dając znak Sygrydzie, by ruszyła jego śladem. Anund i Tore także ją wyprzedzili, patrzyła za nimi stojąc w miejscu. Ale kiedy koń sam pospieszył pod górę za odjeżdżającymi, nie wstrzymywała go.

Grjotgard obejrzał się. Widząc, że im towarzyszy, zaczął czekać na nią, jechali strzemię w strzemię. Chłopak co chwila zerkał na matkę, Sygryda nie wiedziała, co powiedzieć. Dotychczas syn nigdy nie odzywał się do niej w taki sposób. Jednakże odkąd powrócił z wyprawy, jak gdyby zyskał na pewności siebie. Czuła się bezradna.

Dzień był wietrzny, im bliżej szczytu, tym silniej dęło. A kiedy zsiadli z koni, Sygryda powoli obiegła wzrokiem cały dziedziniec.

Tam przed progiem konał Olve. Dalej w głębi siedział król.

Podeszła do wejścia. Synowie nie odstępowali matki, którą już przewyższali wzrostem. Zatrzymała się wpatrzona w miejsce, gdzie padł Olve, Grjotgard położył rękę na jej ramieniu.

Anund zapukał do drzwi, otworzyła im kobieta z niemowłącem na ręku. Sygryda słyszała, że ksiądz z Maerinu miał żonę i dziecko, to na pewno ona.

Ksiądz nie ma w domu, oznajmiła niewiasta, ale kościół otwarty, można wejść do środka.

Minęli wrota kościelne, Tore prowadził do miejsca, gdzie stał samotny drewniany krzyż.

Sygryda osunęła się na trawę. Prawie w tym samym miejscu Olve siedział przed laty i mówił, że wierzy w jednego wszechmocnego Boga.

Wicher przewiewał ją do szpiku kości. Chmury się gromadziły. Fiord i wzgórza poszarzały, szedł od nich ziąb, Sygryda odwróciła głowę. Patrzyła na darń, lecz nie mogła znieść myśli, że Olve pod nią leży.

— Tu nie ma Olwego, Sygrydo — wzdrygnęła się na dźwięk głosu Anunda. — Olve znalazł Boga, którego poszukiwał i który powodowany miłością odpuścił mu grzechy. Otrzymał już odpowiedź na to wszystko, w czym ja pomóc mu nie mogłem. Tu spoczywa tylko ciało obrócone w proch, z którego powstało.

Sygryda podniosła się i wszyscy pochylili głowy, gdyż ksiądz Anund zaczął odmawiać pacierze. Lecz kiedy wymówił słowo „pomsta”, spojrzała na niego spod oka.

— ...Pomsta do Ciebie należy, Panie. Wspomagaj nas, abyśmy zawsze o tym pamiętali, my, stojący nad grobem człowieka, który lepiej niż inni pojmował Twoją miłość, który bolesną śmierć przyjął jako pokutę za grzechy, mówiąc: „Cierpię znacznie mniej, niżli na to zasługuję”.

Sygryda pojęła teraz, dlaczego Anund sprowadził ją do Maerinu. Jednakże zaciętość malująca się na twarzach jej synów świadczyła, że słowa księdza wywarły na nich słabe wrażenie.

Ulżyło jej na sercu.

Sygryda czuła się przygnębiona, kiedy wieczorem Kalf wyraźnie okazywał chętkę na coś innego niż spoczynek. Wiedział o jej wyprawie do Maerinu. Powinien więc mieć dosyć rozumu, by zostawić ją w spokoju.

Zrobiła zatem to, co jej się nie zdarzyło do dawna: odsunęła się od Kalfa.

O co chodzi? — spytał urażony i zdziwiony.

— Wiesz, gdzie byłam dzisiaj.

Puścił ją.

— Czyżbyś jeszcze opłakiwała Olwego?

Chciała mu powiedzieć dobre słowo dla ukrycia prawdy. Jednak szczerłość i uczciwość kierujące jej pożyciem z Olvem jakby uwydatniły szpetotę i nieprzystojność zakłamania, w którym teraz żyła.

Przyszło jej niespodziewanie na myśl, że najboleśnieszka prawda będzie lepsza nawet dla Kalfa niżli kłamstwo i fałsz, jakimi go zwodziła.

Kalf czekał na odpowiedź, z niezmierną ulgą postanowiła wyznać prawdę. Powie mu, że go nie miłowała, że pozwalała mu w to wierzyć, aby go nie urazić, oraz że nigdy nie zajął miejsca Olwego. Chciała mu także powiedzieć o swojej miłości do Sigvata, bo teraz już była tego uczucia świadoma. Chciała mu także otwarcie powiedzieć, jak okrutnie nienawidzi króla.

— No, Sygrydo? — uśmiechał się, pewien siebie. — Chyba nie opłakujesz Olwego przez tyle lat?

— Owszem. Tak jest.

Kalf nie przestał się uśmiechać.

— Nie żartuj. A gdybym ci dał wiarę...

— Prawdę rzekłam.

— Wyjazd do Maerinu nie wyszedł ci na dobre. Pojmuję, że i wspomnienia, i samo miejsce zbytnio cię przygnębiły. — Przygarnął ją znowu i głaskał po głowie. — Już dobrze, połóż się przy mnie, zamknij oczy i pozwól mi czuwać nad tobą!

— Ależ, Kalf... — zaczęła mówić.

— Żadne: ależ Kalf! — Roześmiał się. — Kładź się teraz i zapomnij o Maerinie!

Sygyda z ciężkim westchnieniem oparła głowę na ramieniu małżonka. Wszystko na darmo, że nawet prawda go nie przeniknie.

Od powrotu księdza Anunda Sygyda ciągle miała aż nadto spraw do rozważania.

Z początku zastanawiała się nad ich pierwszą rozmową w Steinkjerze. Doszła do przekonania, że się z nią rozprawiła, a mimo to nie miała spokoju. Tylu rzeczy nie powiedziała wówczas Anundowi.

Od czasu bowiem, kiedy stwierdziła, że nowy Bóg jej nie przyjął, zaczęła się zwracać do dawnych bogów i znalazła się niejako między młotem a kowadłem; w największej tajemnicy składała im nawet ofiary. Tylko Olve nie wierzył w dawne bóstwa, nawet księża mówili, że istnieją. A jeśli Bóg jej nie chciał, musiała szukać pomocy tam, skąd mogła ją uzyskać.

Nie spowiadała się z tego, bo przecież nie była temu winna. Robiła, co mogła, spełniała obowiązki chrześcijanki, chodziła na mszę według przykazania. Gdyby Bóg zechciał wysłuchać modłów i pomóc jej, chętnie przestałaby składać ofiary bogom. A najwięcej ją gniewało, że nie mogła zapomnieć głupiego pytania Anunda, czy istotnie szukała Boga i Jego woli.

Potem zjawił się Sigvat. W końcu jednak uspokoiła się w przekonaniu, że jeśli go pokochała, nie była temu winna. Nic złego nie uczyniła ani nie zamierzała uczynić.

A sprawa synów...

Tore był weselszy. Stosunki między nimi układały się znakomicie. Na swoich szesnaste zim był wysoki i silny, ogólnie lubiany, zaczynał też barszkować z dziewczętami w taki sposób, że Sygyda zastanawiała się, czy to jedynie swawola.

Wspomniała o tym kiedyś Kalfowi, ale ten odpowiedział śmiechem.

— A cóż wielkiego, jeśli będzie miał jedno albo i dwoje dzieci z nałożnicami? — zapytał.

— Może stać się krzywda dziewczynie — odparła Sygyda.

— Same sobie winne, skoro się nie pilnują.

Sygyda niezupełnie godziła się z Kalfem, toteż zamierzała pogadać z Torem. Ale mogła sobie tego oszczędzić; z takim samym skutkiem namawiałaby rzekę do odwrócenia biegu.

Co prawda większość dworskich dziewczek rzucała tęskne spojrzenia Grjotgardowi. A że był cichy i najczęściej trzymał się z dala od wszystkich, tym bardziej wydawał się im pożądany. Daremnie na niego popatrywały i wabiły uśmiechem, Grjotgard chadzał własnymi drogami.

Sygyda nie miała dzieci z Kalfem, toteż wszyscy uważali Grjotgarda za dziedzica Egge, choć Kalf nigdy o tym nie wspominał. Jednakże w ciągu ostatniego roku zabierał go ze sobą, ilekroć objeżdżał trondheimski okręg.

Grjotgard uspokoił się, jakoby zdołał pokonać wrodzoną porywczosć, Sygyda cieszyła się z tego. Czasem tylko w oczach chłopaka zapalały się błyski świadczące, że choć się opanował, nie zmienił usposobienia.

Ostatniej jesieni gorliwiej uczęszczał do kościoła niż dawniej, pewnej niedzieli Sygyda ze zdumieniem ujrzała, że służył księdzu Jonowi do mszy. Zastanawiała się, czy w Anglii coś zaszło, czy też Anund na niego wpłynął.

Odpowiedź uzyskała, gdy pewnego dnia prosił matkę o rozmowę na osobności. Po wieczery, ledwo domownicy zebrali się w świetlicy, przeszli oboje do starej izby gościnnej.

Grjotgard zatrzymał się w sieni i z dawną pewnością siebie właściciela dworu rzekł:

— Nie podoba mi się ta sień, którą Kalf kazał dobudować do starej izby. I bez niej było dobrze.

— Ale zimą jest ciepłej. Pamiętasz, jak śnieg zawiewał drzwiami? — odparła Sygyda.

Skinął głową, ale przedsiónek obrzucił wejrzeniem, które wyraźnie mówiło, że zniknie, gdy czas nadejdzie. Weszli do izby.

— Ksiądz Anund powtórzył mi ostatnie słowa ojca przed zgonem — zaczął siadając obok matki. — Chciałbym wiedzieć trochę więcej.

— I ja także — odparła Sygyda. — Ale twego ojca niełatwo było zrozumieć.

— Anund mówił, że miał dobrą śmierć.

— To samo rzekł biskup Grimkjel, kiedy mu opowiedziałam o jego ostatnich chwilach.

— Wiesz dobrze, matko, że pragnę bardzo, aby ojciec mógł być ze mnie dumny. Dlatego ważne jest, żebym wiedział o nim możliwie najwięcej.

— Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś o nim, najlepiej będzie, jeśli Anund weźmie udział w naszej rozmowie. Może on ci wyjaśni to, czego ja nie pojmuję.

Pożałowała tych słów, ledwo je wypowiedziała.

Dwa dni później Finn Haraldsson przyплыł z północy; nazajutrz przyjechał z Ingerida do Egge.

Ingerida znów była brzemienna. Wspominając, jak sprawy układały się niegdyś między nimi, Sygryda z uśmiechem spoglądała na coraz liczniejszą gromadkę dzieci w Gjevrane. Dotychczas mieli ich siedmioro.

Finn przywoził pozdrowienia od Torego. Brat Sygrydy już nie mieszkał na Bjarkóy, przeniósł się na stały ład, dwór po nim objął syn Sigurd Toresson.

Finn opowiadał także, że król wysłał braci Gunnsteina i Karla w okolice Morza Białego. Karl był jednym z dwóch zabójców Asbjórna. Tore dowiedział się, że ciągną za handlem ku północy, więc przyłączył się do nich. Był ogromnie niezadowolony, że król wysyła kogoś na północ, skoro uważał, iż przysługuje mu wyłączne prawo handlowania w tych okolicach; a gdy na dobitkę towarzysze w imieniu króla domagali się większej ilości wymienionych towarów oraz świadczeń, niżli on uważał za słuszne i właściwe, ogarnęła go istna wściekłość.

W powrotnej drodze pomścił zarówno bratanka, jak wyrządzoną sobie niesprawiedliwość, zabijając Karla. Użył tej samej włóczni, od której zginął Asbjörn, nazywał ją teraz „Mścicielką”. Odebrał także Gunnsteinowi towary przeznaczone dla króla Olafa. Od tej pory nie czuł się bezpieczny na Bjarkóy, dlatego też osiadł na ładzie.

Opowiadanie o podróży Torego na północ trwało długo, Sygryda przez ten czas nie spuszczała oczu z Kalfa.

Kalf dawał wyraz niezadowoleniu z wielu ostatnich poczynań króla. Szczególny zaś nacisk kładł na zatrzymanie jako jeńców pokojowych wysłanników przybyłych z Islandii. Obecnie Sygryda była ciekawa, jak przyjmie jawne zerwanie między królem a Torem.

Kiedy zostali sami, odważyła się powiedzieć:

— Tore miał słuszne przyczyny do zabójstwa Karla.
— Wobec milczenia Kalfa ciągnęła dalej: — Dlaczego król miesza się do handlu Torego z Bjarmelandem? Wszak musiał wiedzieć, że to się Toremu nie spodoba. Niech teraz sobie podziękuje za to, co się stało.

— Mogę ci przyznać słuszność w tym, że król nieroztropnie postąpił wysyłając Gunnstcina i Karla na północ — odezwał się Kalf po namyśle.

— Nie wiem, gdzie on ma rozum — przerwała Sygryda.
— Czy po swoich zwolennikach spodziewał się niewolniczej uległości? Powinien wiedzieć, że jeśli chce zyskać poważanie wolnych mężów oraz ich wierność, musi się odwzajemnić poszanowaniem i dochowywać im wiary. Nie może liczyć na to, że będą pełzali ze strachu przed swoim panem, niezależnie od tego, jak on sobie poczyna. Jeśli stawia siebie ponad prawo, musi być co najmniej sprawiedliwy, a nie rozsądzać sprawy ku własnej korzyści lub na dobro tej strony, która zrzęczniejsz się łąsi.

Kalf ciężko westchnął.

— Olafowi niełatwo być królem. Sam stwierdziłem, że nieraz trudno wydać sprawiedliwy sąd w jakiejś sprawie. Ale prawdą jest, że król okazuje słabość wobec pochlebców. Po tym, co zaszło między Torem z Selu a Asbjórnem, mądrzej uczyniłby postępując ostrożnie z twoim bratem.

— Tak — potwierdziła Sygryda. W zamyśleniu spoglądała na Kalfa. Pragnęła zemsty na królu Olafie, nigdy jednak dotychczas nie pomyślała o wykorzystaniu do tego celu małżonka.

Grjotgard nie czekał długo na rozmowę z Anundem. Po kilku dniach oznajmił Sygrydzie, iż ksiądz tegoż wieczora czeka na nich w Steinkjerze.

Po przybyciu do Steinkjeru musieli chwilę czekać, bo ksiądz Anund był zajęty. Usiedli tymczasem w świetlicy i gawędzili z Hrutem i jego żoną.

Oboje mówili o księdzu z rozjaśnionym wzrokiem. Biadali, że się zamęcza, a jeśli nie przypilnować, by zjadł w porę, pewno zapomnieliby o jedzeniu.

Sygrydzie nie spieszyło się do rozmowy z Anundem. Toteż kiedy we drzwiach stanął obcy mężczyzna z wiadomością, że ksiądz czeka, miała wrażenie, iż czas aż nazbyt szybko minął.

Poszli do izdebki Anunda, zapukali, ksiądz im otworzył. Ogień płonął na palenisku, toteż izba wydała się Sygrydzie mniej opustoszała i naga niż za pierwszym razem. Ksiądz usiadł na ławie i ruchem ręki zaprosił ich do zajęcia miejsca.

— Mieliśmy mówić o Olvem — zaczął ksiądz wobec milczenia gości. — Opowiem wam, co o nim wiem, a wtedy może i tobie, Sygrydo, łatwiej będzie się wypowiedzieć.

Następnie ksiądz zwrócił się do Grjotgarda:

— Twój ojciec miał powołanie kapłańskie. Niełatwo jednak poganinowi z urodzenia zrozumieć chrześcijaństwo, sam mogę o tym zaświadczyć. A jeszcze trudniej możnemu panu, takiemu jak Olve, nauczyć się chrześcijańskiej pokory. Lepiej niż inni pojmował Bożą miłość, wyczuwał także potęgę i mądrość. Rozumiał, że Chrystus umarł za ludzi. Tylko on sam nie mógł się dopasować do tego wszystkiego; nie mógł pogodzić się z tym, że był biednym grzesznikiem mającym udział w śmierci Chrystusa, że potrzebował Bożej łaski i musiał czynić pokutę. Chciał stać przed swoim Bogiem z podniesioną głową, bezgrzeszny jako istota, która oddaje Mu przysługę przez to samo, że się ochrzci. Śmierć Chrystusa była zapewne potrzebna innym, natomiast Olve miał wieść żywot świętego i sam siebie wybawić. I wtedy stała się rzecz

nieunikniona: pycha wzniosła zaporę między nim a chrześcijaństwem.

Mimo to musiał ciągle poszukiwać prawdy, nawet wiara w pogańskie bóstwa wiodła go ku wszechmocnemu Panu. Nigdy nie mógł zapomnieć przebłytku Bożej miłości; chociaż pojęcie miłości, z jakim się zrosł, dalekie było do chrześcijańskiego, coś z tego uchwycił. I w końcu ta właśnie iskra Bożej miłości go uratowała. Bo mimo wątpliwości, mimo pychy, w głębi serca nie mógł przestać wierzyć.

— Zrozumiałeś Olwego lepiej niż ja — odezwała się Sygryda.

— Dużo o nim myślałem — odparł powoli ksiądz zapatrzony w ogień, splatając dłonie złożone na kolanach. — Włoczyłem się po świecie, widziałem różne miejsca i wielu ludzi. Wszędzie szukałem odpowiedzi na pytania, które on mi zadawał. Uważałem się za marnego kapłana, skoro nie potrafiłem mu pomóc. W końcu sądząc, że wiem dosyć, zamierzałem wrócić do Egge na rozmowę z Olvem. Ale dotarłem nie dalej niż do Szwecji. Tam bowiem ludzie, którzy umknęli przed królem Olafem, powiedzieli mi, że Olve został zabity w Maerinie, gdzie składał obiady.

Miałem wrażenie, że świat się zawalił, w gniewie zwróciłem się przeciwko Bogu. Dlaczego dopuścił do zguby Olwego w chwili, kiedy mogłem mu pomóc? Nie otrzymałem odpowiedzi. Miałem wrażenie, że zamknięty w czarnym lochu krzyczę bez przerwy, a nikt mnie nie może usłyszeć. Wtedy z mroków dalekiej przeszłości wyłonił się obraz ojca Edmunda. Ujrzałem znowu jego oblicze, jak wówczas gdy mnie pielęgnował i przywrócił do życia. Zrozumiałem, że jeśli ktoś zdoła mnie wybawić z upadku ducha, to tylko on.

Zeszłej wiosny pojechałem ze Szwecji do Anglii, odnalazłem ów mały kościółek. Bóg okazał mi łaskę znacznie większą, niż zasługiwałem, odnalazłem tam bowiem i jego samego. Dotychczas chciałem zająć się Olvem i przywrócić zbłąkanego syna Ojcu. Teraz sam byłem zbłąkanym synem, który kłęczał przed swoim ojcem w chrześcijaństwie. On jednak nie próbował pocieszyć mnie jak inni; przeciwnie, upominał mnie surowo.

„Co robisz w Anglii, synu? — zapytał. — Czyż nie pojechałeś do Norwegii chrzcic swoich braci?”

Odpowiedziałem mu, że uciekłem, bo ludzie dopatrywali się we mnie świętego.

„Od czego uciekłeś?” — spytał. Usiłowałem znaleźć odpowiedź, ale nie miałem żadnej. Wtedy on mówił dalej: „Bałeś się sam siebie? Lękałeś się, że nie mając dość sił, nie oprzesz się żądaniu ludzi, którzy chcieli widzieć w tobie świętego, i pozwolisz uczynić z siebie półboga?” „Nie! — zakrzyknąłem w pierwszej chwili. — Wyjechałem, bo uważałem siebie za niegodnego.” „A z jakiego powodu miałbyś sądzić inaczej? — zapytał. — To nie był wystarczający powód dla usprawiedliwienia zdrady powołania kapłańskiego.”

Zupełnie jakby mi wymierzył policzek. Ale im dłużej rozmyślałem, tym wyraźniej pojmowałem, że miał słusność. Pokora, w którą stroiłem się niby w płaszcz, chęć pokutowania, na którą powoływałem się przed Bogiem — to zwykłe wykręty, w rzeczywistości byłem marnym prochem i pragnąłem uwielbienia. Wracając myślą w przeszłość stwierdziłem, że ogromnie pragnąłem ulec. Nareszcie pojąłem, dlaczego moje modlitwy nie trafiły wówczas do nieba; wyznałem Bogu wszystkie grzechy oprócz tego najcięższego. Zrozumiałem także, że uciekłem ze Steinkjeru, bo nie śmiałem uprzytomnić sobie tego grzechu i wyznać go Bogu.

Czyniłem sobie wyrzuty, ponieważ zdradziłem Olwego. Natomiast nie chciałem uznać, że popełniłem znacznie gorsze przestępstwo. Błąkałem się po świecie, poszukiwanie odpowiedzi dla Olwego stało się celem wykołowanego życia. Prawdziwy wątek odnalazłem w Anglii u ojca Edmunda. Pojąłem, że muszę wrócić do Steinkjeru. Wyznaczył mi jednak pielgrzymkę pokutną do Lindisfarne na Wyspę Świętego Cutberta. „Tam twoi ziomkowie pierwszy raz napadli chrześcijan — powiedziała. — Jedź więc i rozmyślaj, co uczynili! Pomyśl, jak później siali śmierć i zniszczenie, i módl się do świętego Cutberta, niechaj wspomaga cię w powołaniu krzewienia pośród nich wiary i dobroci!”

Anund przerwał, po czym dodał, jakby się usprawiedliwiał:

— Opowiadam o sobie. A przecież mieliśmy mówić o Olvem.

— Teraz nie możesz przerywać — zauważył Grjotgard.
— Opowiedz o Lindisfarne.

— Niewiele mam do powiedzenia — stwierdził Anund, lecz na widok zawodu Grjotgarda dodał: — Nic tam nie znalazłem. Trumnę świętego Cutberta przeniesiono na stały ład. Pomodliłem się w kościele, rozmyślałem o wikingach oraz ich uczynkach według polecenia ojca Edmunda, przypomniałem sobie, że niegdyś jeden z wikingów zjął krzyż z ołtarza i poświęcił go Torowi. Pojechałem jednak później trochę dalej ku południu na małe wyspy Farnes, gdzie święty Cutbert wiódł pustelniczy żywot. Na jednej z nich jeszcze stoi jego chatka. Pełno tam ptactwa, jaskółek, biedronek i innych.

Sygryda potakiwała ruchem głowy myśląc o ptakach znanych z dzieciństwa.

— Powiadają, że święty kochał ptaki i pilnował, by ludzie nie plądrowali gniazd. Jest ich tam tyle, że trzeba uważać, bo łatwo je nadeptać. Wszedłem do chatki świętego i wtedy nagle spotkało mnie coś przedziwnego, miałem wrażenie, że w tej celi trwałem zamknięty, gdy dowiedziałem się o zgonie Olwego. Ale tu było jasno, padłem na kolana i owa nieziemska światłość wypełniająca chatkę przeniknęła do mojej duszy. Nie potrzebowałem się modlić, moja dusza otworzyła się przed Bogiem; oddałem Mu wszystkie pragnienia, lęki, całą słabość nie znaną mi dotychczas. Równocześnie zaś spłynęła na mnie miłość promienna, ogrzewająca. Szeptalem więc tylko słowa Tomasza apostoła: Pan mój i Bóg mój!

— A potem? — spytał Grjotgard, gdy ksiądz umilkł.

— Nic więcej nie mam do powiedzenia — ksiądz Anund się uśmiechnął. — Popłynąłem statkiem do Danii. Stamtąd dostałem się do Szwecji, a później tutaj. I ufam, że tu zostanę.

— Dziwne jest poczucie winy — powiedział po chwili w zamyśleniu. — Opowiadałaś mi, Sygrydo, że Olve czuł się

winien składania ofiary w Maerinie, to prawda. Ja też byłem winien, bo opuściłem moich wiernych. Ale nawet jeśli obaj ponosimy odpowiedzialność, nie umniejsza to występku każdego z nas, bo grzechu dzielić nie można.

Anund mówił jeszcze chwilę o Olvem. Powoli wciągał w rozmowę Sygrydę, która ze zdziwieniem stwierdziła, o ile łatwiej jej było odnaleźć prawdziwą myśl Olwego przy pomocy Anunda.

Jesień tego roku wydawała się Sygrydzie inna niż poprzednie; we wszystkim dopatrywała się jakby nowego znaczenia. Liście zmieniały barwę z zielonej na złocistą, potem szkarłatną. Przyglądała się tym płomiennym jaskrawym plamom wśród sosen i świerków, których zwykła zieleń wydała się smutna. Potem liście opadały, pociemniały i suche szeleściły pod nogami. Natomiast iglaste drzewa zdawały się dumnie mówić: „Gdzie podziała się ich wspólniałość? Spójrz na nas, my zadowolamy się zwykłą, codzienną szatą, ale nadal świeżą i zieloną!”

Chrześcijaństwo w jej duszy podobne było owym liściom. Płonęło, bo na mgnienie oka dostrzegła blask żarliwej miłości, o której mówił Olve i Anund. Potem jednak zwiędło, stało się suche i bezbarwne.

Pomyślała, że Kalf jest szczęśliwy, nie oczekiwał na znak od Boga ani na płomienną miłość; nie miał wątpliwości, czynił, co należało, i wierzył w Boga jak poprzednio w pogańskich bożków.

Sygryda miała wrażenie, że wolałaby nie poznawać nowej wiary, jeśli nie miała jej nigdy zrozumieć.

Teraz liście opadły, nagie czarne gałęzie rysowały się na przytłaczającym jesiennym niebie, podczas gdy deszcz siekł wzgórza i spływał z dachów, Sygryda zaś miała wrażenie, że w niej powstaje coraz większa pustka, czarna i beznadziejna.

Wiedziała, że powinna udać się do Anunda do spowiedzi. Ale go unikała z obawy, co będzie, jeśli po rozmowie z księdzem nie znajdzie ani spokoju, ani zrozumienia, którego pragnęła. Wtedy wszelka nadzieja przepadnie.

Na okres zimy król osiadł w Kaupangu, Kalf pojechał do niego.

Zaczął się już miesiąc bicia zwierząt*, we dworze było mnóstwo zajęcia, toteż Sygryda nie miała czasu na rozmyślania. Należało zarzynać bydło, suszyć lub wędzić mięso, robić kiełbasy, porozmieszczać zapasy w lamusach.

W zgiełku pracy mały Trond nie odstępował matki. Sygryda często odrywała się od zajęć, by spojrzeć na niego. Chłopaczek był łagodny, ufny. Gdziekolwiek się zjawiał, domownicy byli mu radzi, nikt nie potrafił gniewać się na malca, nawet jeśli przeszkadzał.

Często pytał o Kalfa; Sygrydzie nieraz przychodziło na myśl, że tęskni za nim o wiele bardziej niż ona.

Kalf powrócił krótko po Wszystkich Świętych. Tego samego dnia wezwał Sygrydę i starszych jej synów do biesiadnej sali.

Król przysyłał pozdrowienia dla synów Olwego. Nie zapomniał, że byli jego chrześniakami. Kalf przywiózł dla nich podarki: otrzymali wspiane miecze, złotem zdobione.

Młodzi przyjęli podarunki w milczeniu.

Król jednak pomyślał także o ich przyszłości — zapewnił Kalf. Przedkładał Grjotgardowi bogaty ożenek z jedyną córką właścicieli dużego dworu w Hedmarkenie, ojciec jej należał do królewskiej drużyny.

Grjotgard słuchał bez słowa.

— Podejdźcie bliżej, chłopcy! — rzekł Kalf nieoczekiwanie uroczystym głosem.

Stanęli przed poczesnym miejscem.

— Rzekłem królowi, iż sam nie mając synów ciebie, Grjotgardzie, uważam za dziedzica Egge. A zatem jeśli jeden z was ma poślubić dziewczynę z południa kraju, będzie nim Tore. W twoim imieniu, Tore, zawarłem więc umowę, latem pojedziesz na południe. Przy królewskim poparciu zostaniesz szanowanym naczelnikiem, a może nawet namiestnikiem.

* Odpowiada okresowi od 15 października do 15 listopada (przyp. aut.).

Grjotgard zawahał się na mgnienie oka, po czym podał rękę Kalfowi, który ją mocno uściśnął.

Sygyda gorąco pragnęła doczekać tej chwili. Teraz jednak poczuła odrobinę zazdrości, Kalf bowiem jakby ściślej związał chłopaka ze sobą, odciągając go od matki.

Tore także podał rękę Kalfowi; tym sposobem przypieczętował układ zawarty przez Kalfa w jego imieniu. Ale oczu nie podniósł. Sygyda pomyślała o naramienniku otrzymanym od króla Kanuta, który Tore zawsze nosił ukryty pod kaftanem. Kalf mówił o przychylności Olafa...

— Pewno taka szpetna, że nikt z Hedmarkenu jej nie chce — szepnął Tore do Grjotgarda, gdy opuszczali salę.

— Dziewczyna z tak możnego rodu nie może być strasznie brzydka — odparł Grjotgard.

— Mniejsza o to — jeśli mi się nie spodoba, na pewno znajdę inną na pociechę — zauważył Tore.

Kalf nie ruszył się z poczesnego miejsca. Miał wrażenie, że jeszcze czuje uścisk dłoni Grjotgarda.

Nareszcie pozyskał upartego, dumnego chłopaka. Wiedział dobrze, że powodem nie była obietnica wyznaczenia go dziedzicem; gdyby Grjotgard był do niego wrogo usposobiony, przyjąłby to z wyzywającą miną jako rzecz oczywistą i należną. Długoletnia cierpliwość w końcu dała owoce!

Starszym synom Olwego nigdy nie zastąpi ojca tak jak Trendowi. Ale na to nie liczył. Z początku nawet się nie spodziewał, że będzie ich przyjacielem i doradcą, co w pewnej mierze równoważyło zawód, wywołany brakiem rodzonych synów.

Jednakże okazywane mu zaufanie nakładało nań odpowiedzialność, i to ciężką. Kalf bowiem nie wierzył, że synowie zapomnieli o zabójstwie ojca. Domyślał się, co zaszło latem; na pytania o wyprawę odpowiadali wykrętnie. Jednakże Kalf darzył synów Olwego niemal ojcowskim uczuciem, toteż powiedział królowi Olafowi, iż nie do pomyślenia jest, by knuli zdradę. Ufał, że czas osłabi nienawiść do króla, nim zdarzy się sposobność do zemsty.

W ogóle Kalfowi trudno było wyżej stawiać wierność królowi niż bliskim sercu. Dobrze pamiętał, że z przyjaźni dla Finna Haraldssona nie osądził Blotolfa z Gjevranu.

Ale nie tylko o to chodziło. Kalf z czasem zaczął uważać siebie nie tyle za królewskiego namiestnika, ile za naczelnika trondheimskiego okręgu, toteż jeśli życzenia króla nie szły w parze z dobrem ogółu, coraz trudniej mu było wydawać sądy w imieniu Olafa. Robił więc pewne ustępstwa Ucząc, że na dłuższą metę będzie to korzystniejsze dla króla.

Odkąd dowiedział się o fałszywym kroku Olafa w Maerinie, nie odzyskał dawnego zaufania do króla. Jeśli raz popełnił ogromny błąd, mógł popełnić ich więcej. Podejrzliwym okiem śledził królewskie poczynania i sądy, które nieraz wydawały mu się nierozważne i despotyczne; a szczególnie kiedy występował przeciwko starym naczelnikowskim rodóm.

Kalf uśmiechnął się na myśl, jak skwapliwie wytykała to Sygryda! Musiał jednak przyznać, że prawdziwie ciężkie doświadczenia spotkały jej krewniaków. Zdawał sobie jasno sprawę z uczuć, jakie żywiła wobec króla, choć nigdy ich otwarcie nie wypowiadała.

Musiał przy tym stwierdzić, że niezupełnie pojmował Sygrydę. Bywała miła i serdeczna, to znów najniespodziewaniej w świecie i bez najmniejszego powodu unosiła się złością. Kalf pocieszał się, że żaden mężczyzna nie zdoła pojąć niewieściego usposobienia. W swoim mniemaniu robił, co mógł, panował nad sobą dłużej, niż można było żądać.

I znowu myślami powrócił do króla.

Nie widział go od dawna, toteż z dziwnym uczuciem stanął przed nim w Kaupangu. Coraz silniej wątpił o królewskiej rozwadze i sprawiedliwości, mimo to Olaf porwał go mówiąc o Norwegu zjednoczonej po objęciu we władanie zachodnich okręgów kraju. Iskra dawnej ufności znowu rozbłysnęła, Kalf od nowa podziwiał otwarty umysł i rozmach króla.

Równocześnie jednak zdumiewała go sprzeczność zachodząca między prawodawstwem, jakie zamierzał ustanowić, a bezprawiem, którym kierował się, chcąc dopiąć celu.

Rozmyślania te przerwał Grjotgard, który wrócił po zapomnianą włócznię; chłopak obdarzył Kalfa uśmiechem.

Kalf wstał i razem opuścili salę, idąc dziedzińcem położył rękę na ramieniu wychowańca.

Nadchodziły święta, Sygryda wiedziała, że powinna pójść do spowiedzi przed Bożym Narodzeniem. Rozmyślała ciągle, czy udać się do księdza Jona i wyznać szereg zwykłych powszednich grzechów, czy też zwrócić się do Anunda. Zdawała sobie bowiem jasno sprawę, że z Anundem będzie miała ciężką przeprawę. Już postanowiła wybrać księdza Jona, gdy w niedzielne popołudnie Anund przybył do Egge.

Po odwiedzinach Sigvata z większym zapałem wróciła do krosien; właśnie rozpoczęła nową makatę, którą pragnęła jak najspieszniej ukończyć. Wobec domowników zgromadzonych w dużej świetlicy Sygryda usprawiedliwiała się, że przyszła tylko rzucić okiem na swoją robotę. Jednakże po zapaleniu światła przysiadła na chwilę, by skończyć maleńki kawałek, od którego oderwano ją poprzedniego dnia.

Pochłonięta tkaniem nie słyszała, że ksiądz Anund stanął za nią.

Podniecenie malujące się na jej twarzy sprawiło, że wyglądała nad wiek młodo, choć wokół ust rysował się wyraz stanowczości, a na skutek częstego marszczenia czoła miała głębokie bruzdy między oczami.

— W ten sposób świecisz niedzielę, Sygrydo? — odezwał się ksiądz.

Wzdrygnęła się i podniosła wzrok na Anunda. Upomnienie ją rozgniewało.

— Nie jesteś moim spowiednikiem — odparła szorstko.

Ksiądz Anund spojrzał na nią ze zdumieniem.

— Prawda — przyznał. — I na pewno nie powiem, że ksiądz Jon nie jest do tego powołany.

— Więc o co chodzi? — spytała Sygryda zabierając się znowu do roboty.

— Nie jestem twoim spowiednikiem, słusznie rzekłaś. Ale nie mogę patrzeć, że grzeszysz świadomie, z wolnej a nieprzymuszonej woli, i nie powstrzymać cię od tego.

Sygryda obrzuciła gniewnym spojrzeniem księdza, który mimo to mówił dalej:

— Nie wiem, co mówisz księdzu Jonowi na spowiedzi. Ale nie jestem pewien, czy wyznajesz wszystko, co powinnaś. — Ujął ją za ręce i patrząc jej w oczy zapytał: — Czy możesz mnie uczciwie zapewnić, że spowiadasz się niczego nie pomijając?

Sygyda wyrwała ręce.

— Nie masz prawa o to pytać — rzekła wstając.

— Sygydo, mówię do ciebie jako kapłan, któremu Olve przekazał swoje ostatnie wyznanie wiary, jako ten, który czuje się odpowiedzialny za dusze polecone przez niego Bogu w ostatnim tchnieniu.

— Daj mi spokój — powiedziała osuwając się na ławę.

— Nie.

— Po co przyszedłeś?

— Chciałem z tobą pomówić.

— O czym?

— O pragnieniu zemsty, jakie żywicie, ty i twoi synowie.

Sygyda zerwała się z miejsca.

— Wtrącasz się w zbyt wiele spraw!

— Wtrącam się do tych spraw, w które — zgodnie z moim przekonaniem — nasz Zbawiciel każe mi się wtrącać — odparł spokojnie ksiądz Anund. — Nie bierzesz chrześcijaństwa zbyt poważnie, jeśli siadasz do pracy w niedzielne popołudnie. A skoro mi wytykasz, że nie jestem twoim spowiednikiem, to czego możesz się spodziewać, jeśli nie tego, że zwątpię o szczerości twojej spowiedzi. Ale mimo wszystko gotów jestem uwierzyć, gdy spytam cię ponownie w imię Chrystusa, czy spowiadasz się, jak należy, a odpowiesz mi twierdząco.

W milczeniu spuściła wzrok.

— Nie odpowiesz mi?

Sygyda mrugała oczami, chcąc ukryć napływające łzy. Miała wrażenie, że stał nad nią jako nieubłagany duch. Przypomniała sobie bowiem duchy, o których Olve wspominał opowiadając różne przygody w Kordobie. Wskakiwały rzekomo ni stąd, ni zowąd i urastały do niezwykłych, przerażających rozmiarów. Zerknęła spod oka w nadziei, że może ksiądz zniknął niby senna mara. Nie. Stał tuż obok.

- Czy przyjdiesz do mnie do spowiedzi, Sygrydo?
— zapytał. — Czy mam porozmawiać z księdzem Jonem?
— Mogę przyjść do ciebie — odparła półgłosem.
Anund nie zwlekając wyznaczył czas i miejsce.

Kiedy Sygryda usiadła naprzeciwko księdza w steinkjerskim kościele, od razu przystąpiła do sedna sprawy.

Ksiądz nie patrzył na nią, pochylony ku przodowi oparł lewy łokieć na prawej dłoni, palcami zaś lewej ręki przysłonił oczy, jakby chciał odciąć się od wszystkiego, żeby wyraźnie słyszeć jej słowa. Nawet po wyznaniu, że składa ofiary bożkom, nie uczynił najmniejszego ruchu. Od czasu do czasu tylko, jeśli przerywała, bezdźwięcznym głosem zadawał pytanie, aby jej pomóc.

Kiedy ostatecznie skończyła mówić, ksiądz poszedł uklęknąć u stóp ołtarza. Po chwili wrócił i odezwał się zdumiewająco łagodnym głosem:

- Biedna Sygrydo! Od śmierci Olwego dałaś się unosić prądowi niczym rozbity statek.
— A co chcesz, abym robiła? — spytała po dłuższej chwili milczenia. — Czy mam mówić więcej ojczenaszów i częściej chodzić na mszę, jak zwykle zaleca mi ksiądz Jon?

— Dobrze jest odmawiać modlitwy i chodzić na mszę. Ja także zalecę ci te praktyki. Ale ważniejszą rzeczą jest, abys prawdziwie żałowała za grzechy, a wątpię, czy zdołasz wzbudzić w sobie skruchę, dopóki nie pojmiesz, w czym błądziłaś.

— O to chyba nietrudno. Wyliczyłam ci właśnie moje grzechy. Składałam ofiary bogom...

— Składanie ofiar bożkom jest poważną sprawą — przerwał jej Anund. — Ale jeśli masz więcej tego nie czynić, musisz zrozumieć, co cię do tego skłoniło.

— Pragnęłam uzyskać pewność, że Bóg mnie przyjął — powtórzyła znowu Sygryda. — Ale ksiądz Jon mówił tylko o przykazaniach i zaleceniach. A choć usiłowałam postępować według nich, nie zaznałam ani spokoju, ani pomocy.

— Zapytałem kiedyś, czy szukasz Boga w kościele — odezwał się ksiądz Anund. — Teraz widzę, że moje podejrzenia były słuszne. Szukałaś tylko własnego uspokojenia i spełnienia twoich pragnień. A kiedy tak się nie stało — zwróciłaś się do bożków. W rzeczywistości byłaś pochłonięta tylko sobą, zarówno w kościele, jak i składając obiady bogom. Czy pojmujesz to?

— A jakiż pożytek mamy z Boga, który nam nie pomaga, jeśli o to prosimy?

Ksiądz Anund ciężko westchnął.

— Sądziłem, że słysząc, co Olve mówił o miłości Bożej, powinnaś więcej rozumieć. Chrystus nie obiecywał doczesnej nagrody tym, którzy za Nim poszli. On powiedział: Weź swój krzyż i pójdz za mną! Jakże możemy oczekiwać nagrody za dobroć na tej ziemi, skoro On, wcielenie Dobra, został ukrzyżowany? Z dawnymi bogami można było prowadzić targi, Sygrydo. Jeśli nie dotrzymywali umowy, można było obrazić się na nich. Inaczej jest z Bogiem chrześcijańskim. Przez życie Chrystusa Bóg ukazał, że w swojej dobroci oddaje się całkowicie ludzkości. Kiedy odwiedziłem Wyspę Świętego Cutberta, dopiero wtedy w pełni pojąłem, jak ogromnie On nas ukochał mimo naszych ułomności. On zna nasze pragnienia, ale również wie doskonale, co dla nas najlepsze. Czy ojciec podaruje synowi żmiję, choćby o nią prosił? Bóg daje nam się całkowicie, a w zamian żąda, abyśmy oddali Mu się także bez reszty, bez proszenia o nagrodę. Nie znaczy to, że nie mamy prosić Go o pomoc bezpośrednio lub za pośrednictwem Jego świętych. Pan Jezus również prosił w Getsemani: „Ojcze, odsuń ode mnie ten kielich, jeśli taka jest Twoja wola!” My zawsze musimy Go naśladować: „Niechaj stanie się wola Twoja, a nie moja!” Jeśli więc Bóg nie wysłuchuje naszych modlitw, trzeba się z tym godzić.

— Rzekłeś, iż nie wolno się targować — powiedziała Sygryda. — Wielka różnica, czy robimy coś za nagrodę tu na ziemi, czy też spodziewamy się jej po śmierci?

Ksiądz się uśmiechnął.

— Zadajesz pytanie na wywrót, niemal jak Olve. Niebo nie jest nagrodą, Sygrydo. To jest Boża obietnica, nadzieja dla ludzi. On wyznaczył nam cel, do którego biegniemy — J a k o rzekł święty Paweł. Im więcej dajemy z siebie Bogu, naszemu Stworzycielowi i Dobroczyńcy, im więcej czynimy dla bliźnich w Jego imię i nie prosząc o zapłatę — tym bliżsi jesteśmy celu.

— Olve mówił mi kiedyś o tym, że naszym bogactwem jest tylko to, co dajemy nie licząc na wzajemność — zauważyła Sygryda z namysłem.

— Otóż to właśnie — powiedział ksiądz Anund. — Tak jest. Jedynie to, co dajemy nie prosząc o nagrodę, nie myśląc o własnym zbawieniu, tylko to zbliża nas do Boga, ponieważ w ten sposób upodabniamy się do Niego. Ale nikt, nawet święty, nie zdoła wyzbyć się całkowicie pragnienia czegoś dla siebie. Bóg o tym wie. Dlatego dał nam sakramenty, które uświęcają nasze nieudolne wysiłki przyznania pierwszeństwa Jego woli przed naszą. Jeżeli jednak sakramenty mają wydać owoce, musimy uczciwie się starać i szczerze żałować, ilekroć błądzimy.

Żalisz się, Sygrydo, na księdza Jona, bo twierdzi, że najważniejszą rzeczą jest postępować według poleceń i nakazów Kościoła. On ma słuszność. Wiele dróg prowadzi do Boga; czasem wydaje mi się, że jest ich tyle, ilu ludzi. Jedni pojmują więcej, inni mniej, zależnie od zdolności, jakimi Bóg ich obdarzył. Wszyscy jednak muszą przejść przez jedne wrota, a są to wrota naszej woli. Stoją one otworem dla wszystkich tych, którzy ledwo rozumieją przykazania i potrafią odmówić Ojczy nasz. Przez nie także muszą przejść najmędrsi; im człowiek ma lepsze mniemanie o sobie, tym niżej musi się pochylić. Olve także przestąpił te wrota, gdy swoją wolę ugiął wobec Bożej i chciał się wyświadczyć królewskiemu kapelanowi. Pan nasz w miłosierdziu swoim wskazał nam drogę sakramentów i przykazań, bo dzięki niej wszyscy jesteśmy równi w Jego obliczu: uczony i głupiec, wątpiacy i umocniony w wierze, człowiek dobrego lub oschłego serca, silny i słaby, nawet święty; dzięki sakramentowi możemy w pokorze złożyć nasze ułomności przed

Bogiem, uzyskać Jego przebaczenie i uświęcenie w Jego miłości. Czy pojmujesz to, Sygrydo?

Po chwili skinęła głową potakująco, choć z pewnym wahaniem.

— Może zatem zrozumiałaś także, że obrałaś złą drogę chodząc na mszę w nadziei, że pojmujesz bliskość Boga lub uzyskasz znak potwierdzający, czy Bóg ciebie przyjął?

— Chcesz powiedzieć, że mam chodzić do kościoła, aby siebie dawać Bogu, a nie po to, żeby On mi coś dał?

— Tak. I jeśli potrafisz zrozumieć to w pełni i według tego żyć, ufam, iż wyleczysz się z pozostałych błędów.

Sygryda, nim odeszła, uklękła przed księdzem Anundem, który jej pobłogosławił.

Przed kościołem, w chwili kiedy mieli się rozstać, ksiądz uśmiechnął się przekornie:

— A przyjdź mi jeszcze raz powiedzieć, że nie jestem twoim spowiednikiem! — zawołał.

5

Wkrótce po Bożym Narodzeniu do Kalfa przybył umyślny od brata, który po śmierci ojca został naczelnikiem w Giske. Torberg wzywał pomocy.

Był zmuszony przyjąć w Giske jednego z tych posłów islandzkich, których król pojmał. Zwał się Stein syn Skaftego. Torberg czuł się zobowiązany do udzielenia mu schronienia w zamian za przysługę wyświadczoną niegdyś jego małżonce Ragnhildzie, córce Erlinga Skjalgssona. Tymczasem król Olaf ogłosił Steina za wyjętego spod prawa na skutek zabójstwa królewskiego zarządcy.

Król był wściekły na Torberga za użyczenie gościny Islandczykowi, toteż kazał mu się stawić przed swoim obliczem w półpoście i wyjaśnić, dlaczego postąpił wbrew jego woli. Torberg nie ucieszył się tym wezwaniem, prosił

braci o poparcie i radę, pytał, czy Kalf zechce przybyć do Agdenes ze statkiem i zbrojnymi.

Kalf nie miał szczególnej ochoty na tę wyprawę, mimo to odesłał gońca z wieścią, iż przybędzie.

— Całe szczęście, że choć raz chodzi o twoich krewniaków — powiedziała Sygryda.

— Już wcześniej gniew króla dosięgnął Erlinga Skjalgssona — odparł Kalf. — A był on w równym stopniu moim krewniakiem, jak i twoim.

— Cieszy mnie, że o tym pomyślałeś — zaznaczyła Sygryda.

Rozmowy z księdzem Anundem nie nastroiły jej łagodniej wobec Olafa.

— Król wszakże zdawał się uważać zemstę za rzecz słuszną. Przecież zezwolił skaldowi Tormodowi popłynąć do Grenlandii dla pomszczenia mlecznego brata?

— Nie każdy postępek króla musi być słuszny — odpowiedział jej ksiądz Anund.

Sygryda była mu ogromnie wdzięczna za te słowa. Jednakże na ich podstawie nie zmieniła zdania. Pomszczenie zabitego krewniaka stanowiło niemal święty obowiązek, kto go nie dopełnił, okrywał się hańbą.

Sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby król uznał błąd popełniony w Maerinie i przedłożył synom Olwego warunki zadowalającej ugody. Olaf natomiast przemilczał prawdę, nie przywrócił Olwemu pełni czci, a dary ofiarowywane jej synom przypominały Sygrydzie kość rzuconą psom. Musiał mieć wysokie mniemanie o sobie, skoro sądził, że nagroził krzywdę ofiarowując się za chrzestnego ojca!

Doskonale rozumiała, co Anund miał na myśli mówiąc o miłości i przebaczeniu, ale jej nienawiść do króla była tak silna, że słowa Anunda rozbijały się niczym o skałę, której nawet największe wysiłki księdza nie zdołają skruszyć.

Natomiast sprawa chodzenia do kościoła przedstawiała się odmiennie, pod tym względem trafił do jej serca. Teraz, kiedy nie myślała o własnym zadowoleniu, jakby ciężar spadł jej z barków. To było zdumiewające: skoro przestała czego-

kolwiek oczekiwać, powoli na nią spływał upragniony spokój.

Na tydzień przed półpościem Kalf odpłynął na południe statkiem na dwadzieścia wiosł i z pełną załogą. Towarzyszyli mu obaj starsi synowie Olwego, Sygryda ze zdziwieniem patrzyła na młokosów w pełnym wojennym rynsztunku.

Guttorm syn Haralda także z nimi wyruszył.

— Jeśli wyprawiasz się przeciwko królowi, chętnie zajmę miejsce na pokładzie twego statku — powiedział.

Kalf zmierzył go wzrokiem.

— Niech będzie, jako chcesz. Gdyby przyszło do walki, może się nieźle przysłużysz.

Dwór opustoszał. I choć Sygryda bez najmniejszego trudu wynajdywała sobie zajęcie, czas włókł się jej nieznośnie. Jednakże minęło niewiele ponad dwa tygodnie, gdy Kalf powrócił do Egge.

Załatwili sprawę pokojowo. Sygryda z trudem ukryła uczucie zawodu.

Kalf opowiedział, że oprócz Torberga przybyli również jego dwaj bracia: Finn oraz Arne. Erling Skjalgsson na prośbę córki przysłał z pomocą dwóch synów. Każdy z nich miał statek oraz zbrojną drużynę, toteż z niemałymi siłami wyruszyli do Kaupangu.

Pod Nidaros zatrzymali się na naradę. Synowie Erlinga chcieli wypłynąć do miasta ze wszystkimi siłami i dać królowi do wyboru: czy się podda, czy woli toczyć bitwę; Kalf opowiedział się po ich stronie. Król Olaf potrafił niekiedy postępować z posłami w taki sposób, że lepiej było prowadzić z nim układy mając zbrojne zaplecze.

Natomiast pozostali synowie Arnego opowiedzieli się za zjednaniem króla dobrocią. W końcu Finn oraz Arne z niewielkim poczem udali się do Olafa.

— On zwykle powtarza, że nie da się zastraszyć przewagą sił. A przecież tę mowę jedynie rozumie — zauważył Kalf oschle.

Tym razem także uległ, przyrzekł wolność Steinowi synowi Skaftego, a Torbergowi bezkarność za to, co uczynił. Zażądał natomiast, aby synowie Arnego złożyli przysięgę, że w każdym wypadku pójdą za nim i nigdy nie ukryją żadnego spisku przeciwko niemu.

— Czy ty również złożyłeś taką przysięgę? — spytała przerażona Sygryda.

— Nie — odpowiedział Kalf. — Nie mógłbym, choćbym chciał. W przeciwnym razie byłbym zobowiązany popłynąć wprost do Kaupangu i wydać królowi Guttorma i twoich synów.

Sygryda spojrzała na niego ze zdumieniem. Dotychczas nie wiedziała, czy Kalf odgadł, że synowie Olwego noszą się z myślą o zemście.

— Powiedziałem, że według mnie król ulegnie bez przysięgi, jeśli będziemy twardo obstawali przy swoim — rzekł Kalf wyciągając się na łożu. — Ale tamci bali się utracić jego przyjaźń. Ode mnie jej nie wymagał, co wyraźnie świadczy, że miałem słusność.

Tego wieczora Sygryda okazała Kalfowi znacznie więcej serdeczności niż kiedykolwiek dawniej.

Zaraz po Wielkiejnocy gość zawitał do Egge. Był nim Finn syn Arnego; wracał z Kaupangu na północ i wraz z całą drużyną zatrzymał się we dworze.

Od czasu zawarcia ugody między Olafem a synami Arnego Finn pozostawał na królewskim dworze. Nigdy dotychczas nie był w Egge; Sygryda nie widziała go od wesela w Kaupangu.

Przed ślubem Kalf zapowiedział, że pozna jego braci, jak dotąd poznała tylko najmłodszego Arnego. Przed paru laty gościł w Egge. Był to chłopak spokojny, dzielny, ale pozabawiony własnego zdania.

Finn natomiast miał je niewątpliwie.

— Wstyd mieć braci tak zawojowanych przez baby jak ty i Torberg! — oświadczył Kalfowi po wieczerzy w biesiadnej sali. — Najpierw Torberg dał się namówić kobiecie na wystąpienie przeciw królowi. A potem ty pozwoliłeś się

podjudzać przeciwko niemu. Możesz być pewien, że doskonale pojmuję, czemu okazałeś tyle porywczosci pod Kaupangiem!

— Nie powinieneś wspominać o zawojowaniu przez kogokolwiek, odkąd stałeś się niewolnikiem królewskim — odparł Kalf.

— Nie wiedziałem, że związanie się z królem uważasz za hańbę. — Finn roześmiał się szydlerczo. — Składając królowi przysięgę nie sądziłem, że mogłaby obrócić się przeciwko rodzonemu bratu!

— Piękna przyjaźń łączy was, braci — wtrąciła Sygryda, niezdolna ukryć jadowitego uśmiechu.

— Może przestaniesz się uśmiechać, kiedy ci powiem, jak zamierzam postąpić z twoim bratem — rzekł Finn. — Król polecił mi rozstrząść sprawę między nim a krewnikami Karla.

Sygryda spojrzała na niego w zamyśleniu.

— Nie okazujesz zbytnej wdzięczności za to, żem cię uratowała od gniewu królewskiego w Kaupangu — powiedziała.

Finn zwrócił się w stronę Sygrydy.

— Od królewskiego gniewu, za co? — spytał.

— Chciał wiedzieć, kto odmówił konającemu sprowadzenia księdza.

— Nawet jeśli mówisz prawdę, wątpię, abym ci cokolwiek zawdzięczał. Nie zrobiłaś tego dla mnie.

— Na pewno rzadko kiedy powiedziałaś równie prawdziwe słowa — przyznała Sygryda. — Twoim postępkom w Maerinie nie zyskałeś mego zaufania. Nie sądzę jednak, aby Tore musiał lękać się ciebie. Żeby go przyłapać, trzeba mieć więcej rozumu niż ty.

— Zobaczmy — odburknął Finn. — Nie zamierzam spierać się z kobietą.

Zwrócił się do Kalfa z opowiadaniem o dobrowolnym zaciągu, jaki król zamierzał obwieścić w całym kraju; w tym właśnie celu wysłał Finna na północ.

— Teraz okaże się, kto jest wierny królowi — zakończył spoglądając znacząco na Kalfa.

— Dochoвам królowi wiary dopóty, dopóki będę mógł liczyć na jego wierność — odparł spokojnie Kalf. — Więcej nie można wymagać od nikogo. A ufam, że ceni sobie wierność wolnego męża dosyć wysoko, by liczyć na mnie.

— Pięknie brzmią twoje słowa — powiedział Finn — ale nie wiem, czy zawierzywszy ci, mądrze uczyni.

Kalf wzruszył ramionami.

— Dowiodłeś, że bardziej lękasz się króla niż ja. Oto cała różnica między nami. I nie sędzę, aby to cię uprawniało do chełpienia się wiernością.

Finn zerwał się i huknął pięścią w stół, aż miód prysnął z rogów.

— Nikt jeszcze nie nazwał mnie tchórzem, żeby nie musiał tego odwołać! — wrzasnął.

— Odwołam, skoro tylko dasz mi po temu wystarczające dowody — odpowiedział Kalf. — A jeśliś tak odważny, jak twierdzisz, niedługo poczekamy.

— To może się okazać w inny sposób, niż myślisz! — groził Finn, ale usiadł z powrotem.

Chwilę trwali w milczeniu, przerwała je Sygryda:

— Znajdą się tacy, którzy się nie zaciągną.

— Pójdzie za nim część ludzi z Soli — zauważył Kalf w zamyśleniu. — Wątpię jednak, by Einar Tambarskjelve się zaciągnął.

— Teraz już nawet nie jest namiestnikiem — stwierdził Finn.

— A nie — wtrąciła Sygryda. — Nie dał się związać z królem silniej, niż było trzeba. Olve zwykł mówić, że jest za sprytny, aby stanąć po czyjejsz stronie, nim się upewni, czy postawił na pewno na dobrego konia.

I rzeczywiście ku uciezce Sygrydy i zgodnie z przepowiednią Olwego Einar zawarł ugodę z królem, wrócił do kraju, ale nie jako królewski namiestnik.

— Naprawdę tak mówił? — Kalf się roześmiał. — Bądź co bądź Tambarskjelve jest jedynym możliwym naczelnikiem, który tak się urządził, że może nie wyruszyć przeciwko królowi Kanutowi, równocześnie nie łamiąc przysięgi złożonej Olafowi.

Bracia rozmawiali dalej, natomiast Sygryda życzyła im dobrej nocy i odeszła do łożnicy.

Nazajutrz Kalf odprowadzał Finna na statek.

— Jeśli chcesz usłuchać dobrej rady, poczynaj ostrożnie z Torem Hundem. Cokolwiek uczynił, nie zrobił tego bez powodu. Handel z Bjarmelandem uważał za należyty mu z prawa, większość bogactw, które odebrał Gunnsteinowi, zdobyli tylko dzięki niemu, a z Karlem dzielił go krwawy zatarg.

— Tobą rządzi kobieta, nie licz jednak, że i ja dam się tak samo zwojować.

— Lepiej królowi zjednać przyjaciela, niż przysporzyć mu wroga — zauważył Kalf.

— Bądź przekonany, że jeśli dosięgnę Torego Hunda, dopiekę mu tak, iż prędko o tym nie zapomni — oświadczył ze śmiechem pewny siebie Finn.

Tej zimy we dworze ciągle szeptano po kątach. Sygryda nie przywiązywała do tego wagi, dziewczki zawsze plotkowały. Nie próbowała zatem dociekać, o co chodziło. Dopiero kiedy Kalf zaczął przygotowywać się do odjazdu na południe, szepty stały się tak głośne, aż obity się o jego uszy. Wobec tego był zmuszony wezwać Grjotgarda.

— Powiadają, że jedna z dziewczek jest przez ciebie brzemienna.

— Tak. Nie da się temu zaprzeczyć — odparł Grjotgard.

— Prędzej spodziewałbym się tego po Torem niż po tobie.

— Nie wszystko układa się według przewidywań. — Grjotgard mówiąc wpatrywał się w znak wojenny zawieszony na ścianie nad Kalfem.

— Żeby mi się to więcej nie powtarzało! — rozkazał Kalf. Ale najwyraźniej wcale się nie przejmował tą sprawą, dzięki czemu Grjotgardowi ulżyło na sercu.

Najbardziej przejęła się Sygryda. Jeśli czuła wyjątkowe przywiązanie do któregoś z synów, był nim Grjotgard; niestety od powrotu z wyprawy przed rokiem miała wrażenie, że go utraciła.

Nie zwierzał już matce swoich radości i smutków, jak zwykł czynić, odkąd pogodzili się po śmierci Olwego. Często rozmawiał z Anundem, ostatnio zbliżył się do Kalfa. Sygryda dopatrywała się w tym przyczyn, dlaczego trzymał się od niej z dala; teraz dopiero pojęła prawdę. Powinna była domyślić się wcześniej.

Z początku, kiedy chodziło o wybór dziewczyny, musiała przyznać, że dobrze wybrał, bowiem Helena córka Torberga odznaczała się wyjątkową urodą. Dawniej Sygryda ją lubiła, bo młódka była łagodna, bystra, chętna do pracy, aż dziw brał, czemu ostatniej zimy żaden z domowników nie prosił o nią, teraz istotna przyczyna wyszła na jaw. Nikt nie śmiał zbliżyć się do bogdanki Grjotgarda.

Sygryda z niechęcią myślała, że na pewno chłopak zwierza się teraz chętniej Helenie. Z chwilą bowiem, gdy stosunek dwojga młodych przestał być tajemnicą, od razu widać było, jak Grjotgard odnosi się do dziewczyny.

Jednakże Sygryda myślała również z pewną ulgą, że należało raczej współczuć Helenie. Miała dopiero szesnaście zim i bez wątpienia miłowała chłopaka. A z tego mogło wyniknąć dla niej tylko nieszczęście.

Sygryda była bardziej przejęta stosunkiem Grjotgarda do Heleny niż bliskim wyjazdem Kalfa. W chwili rozstania było jej trochę przykro, że brała to sobie tak lekko.

6

Wędrownie ptaki powróciły do Inntrondheimu, lasy i pola kipiały życiem. Szpaki śpiewały czasem niby fletnie, czasem sycząco, cudne słowicze trele brzmiały radośnie w zestawieniu z poważniejszymi, marzącymi głosami kosów. A skowronki zanosiły się śpiewem z tą samą beztroską, z jaką wybierały sobie miejsce na gniazda.

I oto nadeszło lato bujne i szczodre. Wszystko kiełkowało, wzrastało i żyło. Ludzie zapomnieli o biadaniu nad

życiem upływającym w harówce, aby tym gorliwiej zakrzętać się wokół roślin, nim zmrozi je lodowata dłoń zimy.

Potem przyszła jesień, opłakująca deszczowymi łzami minione lato — J a k niegdyś powiedział Olve. Szare dni snuły się jeden za drugim, aż w końcu litościwa zima przykryła białym kobiercem śniegu usychające trawy i Uście oraz zawstydzoną ziemię. Szron powlókł nagie gałęzie srebrem w promieniach słońca.

Sikory i mysikróliki nie ulękły się zimna ani coraz dłuższych nocy — śpiewały nadal na ośnieżonych drzewach, a sójki całymi stadami nadlatywały pod same zabudowania.

I znowu słońce zwyciężyło potęgę ciemności, woda kapała z drzew i dachów. Cały świat budził się z wolna; początkowo zdumiony, onieśmielony bolesną tęsknicą wiosny, a potem coraz promienniejszy i radośniejszy, w miarę jak słońce odzyskiwało moc wraz ze zwycięskim pochodem lata.

Mijały miesiące: siewny, odstawiania jagniąt, słoneczny, sianokosów, płynęły dni tym krótsze, im bliżej zimy.

Tymczasem Sygryda, osamotniona w Egge, czuła się jakby silniej niż kiedykolwiek związana z porami roku. Każdy upływający dzień oraz praca zmienna w zależności od miesięcy — stanowiły niejako jądro życia.

Nawet wielkie kościelne święta wiązały się teraz z życiem.

Adwent jakby rozjaśniał najgorszy okres ciemności przed godami, przypominał bowiem, iż światłość zstąpi na świat; potem przychodziło spełnienie obietnicy w pasterce, Narodzenie Chrystusa i zimowe porównanie. Na przedwiośniu święto Zwiastowania Maryi zapowiadało brzemienną wiosnę, która wyda owoce na przyszłe lata. Dalej Wielkanoc — zmartwychwstanie po mrocznym okresie postu, ostateczne zwycięstwo nad zimą w chwili bliskiego zwątpienia, czy świat się jeszcze obudzi. Około letniego porównania, gdy dnia zacznie ubywać, przypada uroczystość świętego Jana Chrzciciela prorokującego nadejście Chrystusa, zapowiedź, że moce ciemności nie odniosą zwycięstwa. A w końcu jesienią święto umarłych, modły za tych, którzy w minionym roku zostali powołani do największego ze wszystkich żniw.

Sygyda czuła się teraz całkowicie zespolona z obyczajami i uroczystościami chrześcijańskimi. Zamiast się złościć na marnotrawienie dnia pracy, Sygyda cieszyła się, kiedy krzyż niczym wici krążył po całej gminie, przypominając mieszkańcom o bliskim świecie kościelnym.

Jednakże z początkiem drugiej jesieni coraz częściej rozmyślała o powrocie Kalfa. Część jego drużyny już wróciła, opowiadano także o toczących się walkach.

Poprzedniego roku król Olaf wyruszył na południe i dopłynął aż do samej Danii. Tam spotkał Anunda, króla Szwecji, więc razem najeżdżali kraj wzdłuż i wszerz usiłując go podbić.

Na wieść o tym król Kanut nie zwlekając opuścił Anglię. Wojska starły się w końcu pod Helgaa, w Skanii. Ale do rozstrzygającej bitwy nie doszło, bo król Kanut zatrzymał się ze swoją flotą w Óresundzie.

Jesienią król Olaf przybył do Sarpsborga na zimowe leże z całą drużyną i kilku namiestnikami, których chciał przy sobie zatrzymać. Był wśród nich Kalf.

Tore Hund stawał w bitwie po stronie króla Kanuta, tyle Sygydzie powiedziano, ale co się z nim stało, tego nie wiedziała. Pewno towarzyszył Kanutowi płynącemu wzdłuż brzegów Norwegii ku północy.

Kanut bowiem po odcięciu króla Olafa od jego floty niezwłocznie zabrał się do przeprowadzenia zamysłu opanowania całej Norwegii. Wykorzystał umiejętnie nieobecność Olafa w kraju; po bitwie pod Helgaa tego samego lata rozesłał do przybrzeżnych gmin umyślnych z pieniędzmi i obietnicami dla tych, którzy zgłoszą się do niego na służbę. Bez przerwy nadchodziły wieści, kto przysiągł wierność Kanutowi, a kto tego nie uczynił.

Powiadano, że zimą król Kanut zgromadził potężną flotę w Anglii, latem wylądował w Agderze i zajął północne wybrzeże. Zatrzymywał się w każdym okręgu, kazał się obwoływać królem, a nim odjechał dalej, pozostawiał za sobą namiestników.

Tymczasem Olaf pozbawiony statków, które po wyprawie na Danów zamieniły się we wraki, siedział w Ostlan-

dzie niczym ryba na suchym łądzie. Pozostały mu tylko małe łądzie i nieliczna załoga, a jeśli ktoś się do niego przyłączał, to jedynie najbliżsi okoliczni mieszkańcy, którzy nie mieli innego wyboru.

Sygryda nie współczuła królowi Olafowi w jego trudnościach, pragnęła tylko szybkiego zakończenia, aby Kalf mógł powrócić do Egge.

Nie odczuwała jego braku, choć ku własnemu zdumieniu i to jej się czasem zdarzało, ale był potrzebny we dworze. Nie miała bowiem pojęcia, co począć z Grjotgardem.

Źle się stało, że jego syn, a jej pierwszy wnuk, zmarł przed rokiem wkrótce po urodzeniu. Nie odczuła tego boleśnie ze względu na układ rzeczy. Nie była jednak przygotowana na to, co stało się później. Grjotgard oświadczył, iż chce dać Helenie odkup, aby zaślubiny ich były prawomocne, a dzieci miały prawo dziedziczenia.

Sygryda zaniemówiła. Małżeństwo między Grjotgardem, dziedzicem Egge, a dworską służebną było nie do pomyslenia.

Kiedy trochę odzyskała spokój, rozmówiła się z synem. Mógł wziąć nałożnicę, to inna sprawa i do tego ona się nie wtrącała, ale zupełnie inna sprawa zawarcie z nią małżeństwa. Mężczyzna pojmował małżonkę ze względu na majątek i powinowactwa rodów, a nie dla pięknych oczu i białych ramion.

Grjotgard jednak obstawał przy swoim. Powiedział matce, że trzyma się przeżytków. Według nowej nauki nie wolno mieć nałożnic, był zupełnie pewien, że obaj księża, Anund i Jon, poprą jego zdanie. A ponieważ Helena do niego należała, zawarcie ślubu było rzeczą słuszną.

Sygryda udała się wprost do Anunda, ale jej zabiegi pozostały bezskuteczne. Anund dał do wyboru: albo chłopak odeśle Helenę z Egge — przy czym zgadzał się z Sygryda, iż byłoby to najlepsze wyjście — albo też poślubi ją, co sam za słuszne uważa.

Grjotgard nie chciał wysłać Heleny z Egge, nawet Guttorm nie zdołał go do tego namówić. Tak sprawy wyglądały obecnie.

Sygryda próbowała rozmawiać z Heleną, tłumaczyła jej, iż działa na szkodę własną i Grjotgarda; najlepiej, by dobrowolnie opuściła Egge. W odpowiedzi zazwyczaj łagodna Helena powstała przeciwko Sygrydzie, z płonącym wzrokiem zarzuciła ją potokiem gniewnych słów. Następnego dnia Grjotgard oświadczył matce, że jeśli pragnie zachować jego miłość, musi dać spokój Helenie.

Sygryda przypuszczała, że może Kalf zdołałby przemówić chłopakowi do rozumu, gdyby był w domu. Powiedziała zatem synowi, że w żadnym wypadku nie może żenić się bez zgody Kalfa.

Ze złością myślała, że powoływanie się na chrześcijańską wiarę w danych okolicznościach doskonale pasowało do Grjotgarda. Ostatnio zbyt często przysłuchiwał się gadaninie Anunda, który twierdził, że krwawa zemsta jest grzechem.

Wczesną jesienią rozesłano wici po trondheimskim okręgu; król Kanut przybył do Kaupangu i zwoływał na ting do **Öre**.

Grjotgard pojechał na więc z pozostałymi mieszkańcami gminy. Złoty naramiennik, dar króla Kanuta, dotychczas ukrywany w skrzyni, nosił teraz na rękę.

Sygryda słysząc, że syn chce zabrać Helenę, uważała za konieczne rozmówić się z nim, choć wolałaby tego uniknąć. Powinien wiedzieć, że postępował nie tylko głupio, ale wbrew obyczajom zabierając nałożnicę na ting. Wystawi się na ogólne pośmiewisko.

Grjotgard odparł, że woli narazić się na ludzkie drwiny, aniżeli zostawić Helenę samą z **Sygryda**. Na tym się skończyło. Chłopak liczył już sobie dziewiętnaście zim, był dorosły i nie cenił rad matki.

Sygrydzie gniew nie minął, toteż kiedy powrócił z tingu, nie wyszła przywitać go na dziedzińcu. Szyła w świetlicy, na skrzyp otwieranych drzwi nawet głowy nie podniosła.

— Mogę powiedzieć, że przybywając w gościnę Uczyltem na lepsze przyjęcie.

Zerwała się z miejsca rozsypując przybory do szycia, przed nią stał Tore Hund.

Tego wieczoru Sygryda godnie wystąpiła, nie szczędziła najprzedniejszych zapasów z dworskich lamusów. Na stole znalazło się całe pieczone prosię, wędzone mięsiwa, kiełbasy oraz wino do uczty.

Tore opowiadał o Anglii, dokąd jeździł do króla Kanuta, a później o wyprawie do Danii. Mówił także o tingu w Ore, podczas którego obwołano Kanuta królem Norwegii. Był tam obecny również Einar Tambarskjelve, nowy król mianował go swoim namiestnikiem. Tore także został królewskim namiestnikiem, podążał teraz na Bjarkóy, gdzie dworem zarządzał syn jego Sigurd przez cały czas, kiedy ojciec był wyjęty spod prawa.

— Teraz już prędko skończymy z tłustym Olafem! — oświadczył zerkając na Sygrydę. — I znowu powrócą jarlowskie sądy.

— A więc prawdą jest, co ludzie powiadają, że jarl Haakon złamał dawną przysięgę, iż nigdy więcej nie chwyci za broń przeciwko Olafowi Haraldssonowi — zauważyła Sygryda.

— Uczyniłbym z tego zarzut jarlowi, gdyby Olaf zawsze dotrzymywał słowa — odparł Tore.

Sygryda nagle sobie coś przypomniała.

— A jak się sprawy ułożyły między tobą a Finnem synem Arnego, kiedy pojechał na północ ogłaszać dobrowolny zaciąg? — spytała. — Wstąpił tu po drodze i mówił, że król upoważnił go do osądzenia twojej sprawy przeciwko krewniakom Karla. Odgrażał się niezgorzej.

Tore wybuchnął śmiechem.

— Rzadko kiedy znajdowałem się w gorszych opałach. Zwołał ludzi do Vaaganu, a po moim przybyciu zażądał tak ogromnego okupu, że nie było mowy o jego uiszczeniu. Zacząłem się wykręcać, wtedy przyłożył mi włócznię do piersi i kazał sobie oddać złoty naramiennik, który zdobyłem na wyprawie do Bjarmelandu. Rozejrzałem się wkoło, a tu jak okiem sięgnąć widać samych przyjaciół Gunnsteina i Karla. Cóż miałem robić, trzeba było użyć podstępów i ratować, co się dało.

Miałem ze sobą sporo cennych przedmiotów, ale jadąc do Vaaganu przewidywałem, iż mogę się znaleźć w ciężkiej

opresji. Ukryłem je zatem w podwójnych dnach beczek na piwo. Finnowi zaś rzekłem, że muszę pożyczyć od przyjaciół i krewniaków, jeśli mam zebrać tak wysoki okup, jakiego żąda. Potem ubawiłem się setnie, bo między nami toczyła się jakby gra!

Ja stawiałem na czas, zwlekałem, odraczałem, tu pożyczyłem markę, tam órego, a cały czas spędzałem na statku zapatrzony na czubek masztu i udawałem, że liczę. Finn tymczasem nalegał i groził.

W końcu zobaczył beczki i spytał, co w nich mam. Nie ościagałem się z utraktowaniem go piwem, wierzaj mi! Patrzyłem tylko, ile wytrzyma, bo im gorzej się upijał, tym bardziej ja się cieszyłem. O to mi przecież chodziło.

Daleko mu było do trzeźwości, kiedy w końcu spostrzegł, że jego poplecznicy w sprawie przeciwko mnie już się rozjechali. Złagodniał na widok mniej więcej równych sił.

Umykał na ląd tak prędko, jak tylko zdołał leżąc na czworakach, potem się zatrzymał, wstał i czkając orzekł, że na razie starczy tego, co zapłaciłem.

A zapłaciłem mniej więcej jedną trzecią okupu. Ale zapewniam cię, że nie samo dobre srebro otrzymał. Potem pojechałem do króla Kanuta.

— Dlaczego nie udałeś się do niego od razu? Czego chciałeś w Vaaganie?

— Gdyby król Olaf przedłożył mi ugodę możliwą do przyjęcia, byłbym uważał się za związanego przysięgą — odpowiedział Tore. — I pojechałbym z nim do Danii.

Tore przerwał opowiadanie i rozejrzał się po sali.

— A gdzie twój syn Tore? Dotychczas go nie widziałem.

— Ubiegłego lata pojechał do Hedmarken i tam się ożenił.

— Musiał być dobry ożeniek, skoro odjechał tak daleko. Sygryda potwierdziła.

— Miałam od niego wieści tej wiosny. Dobrze mu się powodzi.

— A ty kiedy się żenisz? — spytał Tore Grjotgarda.

Odpowiedzi nie uzyskał, toteż spojrział pytająco na Sygrydę.

— To zależy od Kalfa — odparła. — W każdym razie nie przed jego powrotem do Egge.

Nie miała ochoty wprowadzać Torego w sprawy Grjotgarda. Pamiętała przecież, że poślubił Rannveigę, choć nie dorównywała mu urodzeniem, bała się więc, aby nie wziął strony chłopaka. Co prawda różnica między Rannveigą córką Haralda z Grytøy a nieprawą córką Torberga była wielka, ale...

Spytała Torego, kogo ze znajomych spotkał w drużynie króla Kanuta, wymienił kilku, o których nie wiedziała, czy byli przy królu.

Ale naprawdę nastawiła uszu, dopiero kiedy wymienił skalda Sigvata. Zaznaczył jednak, że Sigvat w żadnym razie nie chciał walczyć przeciwko Olafowi. Powrócił do Norwegii, powiadano, że znowu jest przy królu.

— Sigvat jest przyjacielem każdego — mówił Tore. — Może wybierać do woli, któremu z możnowładców chce służyć. Zresztą przyjaźń dla króla Olafa nie powstrzymuje go od układania pieśni pochwalnych na cześć Kanuta!

— A pieśni miłosnych nigdy nie układa? — spytała nagle Sygryda.

Tore się roześmiał.

— Dlaczego pytasz? — nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: — Kobiet nigdy mu nie brakuje, ale nie sędzę, by któraś obchodziła go na tyle, żeby aż opiewał ją w pieśniach.

Sygryda uśmiechnęła się do swoich myśli, lecz nic nie powiedziała. Kiedy zaś ponownie spojrzała na Grjotgarda, poczuła się łagodniej usposobiona wobec niego i Heleny.

Tym razem Tore Hund nie zabawił dłużej w Egge; po dwóch dniach odpłynął na północ.

Z kolei Grjotgard zaczął przebąkiwać o wyjeździe, zamierzał odwiedzić Torego w Hedmarkenie. Nie mówił, z czym się wybiera, ale Sygryda podejrzewała, że miał przekazać wieści dla króla Kanuta.

Wkrótce postanowił opuścić Egge ze swoją drużyną, między innymi miał mu towarzyszyć Kjartan Pogromca

Eskimosów, który oświadczył, że musi być tam, gdzie i Grjotgard. Do Kaupangu zamierzali popłynąć statkiem, a dalej jechać konno przez góry.

Rankiem przed wyjazdem Grjotgard prosił Sygrydę o rozmowę w cztery oczy.

— Zostawiam Helenę pod twoją opieką. Jeśli nie będziesz dla niej dobra, niechaj Bóg ma cię w swojej opiece — powiedział do matki.

Ostatnio Sygryda często rozmyślała o Grjotgardzie i Helenie córce Torberga. Ku własnemu zdumieniu doszła do przeświadczenia, że jeśli syn poślubi dziewczynę, nie stanie się wielkie nieszczęście. Bogactwa nie potrzebował, Helena nie pochodziła z wysokiego rodu, ale Torberg był porządnym człowiekiem.

— Nie sądzę, abym miała się nadal sprzeciwiać twojemu małżeństwu — odpowiedziała.

Grjotgard spojrział na matkę bacznie, ale i ze zdziwieniem.

— Nikt nie nakłonił mego brata Torego do ożenku dla majątności — ciągnęła dalej Sygryda. — I sama dobrze wiem, co to znaczy nie kochać współmałżonka.

Grjotgard odetchnął głęboko, po dłuższej chwili rzekł:

— Dziękuję ci, matko! Nie jesteś tak sroga, jak można było sądzić w ostatnich latach; powinienem o tym wiedzieć.

— Uśmiechnął się do niej.

Oboje chwilę trwali w milczeniu.

— Bóg mi świadkiem, że jestem ostatnim z tych, którzy by cię namawiali do zapomnienia o ojcu. Ale czy nie mogłabyś ze względu na was oboje zatroszczyć się i o Kalfa?

Sygryda wyprostowała się i spojrzała na syna. Nie przychodziło jej do głowy, że rozmyślał o jej stosunku do Kalfa.

— Wiem, że to nie moja sprawa — dodał Grjotgard.

— Nie potrzebujesz mi tego mówić, ale nawet ślepy by zauważył, że on ciebie mało obchodzi. A na to nie zasługuje. Jeśli zaś sam tego nie zauważył, to tylko dowód, jak ogromnie ciebie miłuje.

W ciągu najbliższych dni Sygryda pilnie rozważała słowa syna.

Usiłowała być dobra dla Heleny. Ale to nie było łatwe, dziewczyna odnosiła się do niej podejrzliwie, pewno wierzyła, że to jest podstęp ze strony Sygrydy.

7

W ulewny jesienny dzień wrócił z południa drużynny Grijotgarda, Sygryda w podnieceniu czekała na wieści. Zdumiała się jednak, gdy zamiast odpowiadać na jej pytania, oznajmił, że pragnie mówić z księdzem.

Ksiądz Jon był w kościele, ale wnet przyszedł. Wysłannik rozmawiał z nim szeptem w kącie izby, zerkając spod oka na Sygrydę. Potem ksiądz Jon postąpił ku niej i prosił, by udała się z nimi do nowej świetlicy, pustej o tej porze dnia.

— Niezbadane są drogi Pańskie — zaczął mówić powoli ksiądz Jon, kiedy już usiedli.

— Na miłość boską, nie wygłaszaj mi kazania! Mów, co się stało!

— Chodzi o twoich synów. Obaj zginęli.

Dotychczas tylko raz w życiu Sygryda czuła się tak całkowicie obezwładniona. A było to w Maerinie po zgonie Olwego.

— Pan dał, Pan zabrał, niech będzie pochwalone imię Jego! — ciągnął ksiądz takim głosem jakby celebrował mszę.

„Przestań!” — miała ochotę krzyknąć Sygryda. Nie mogła jednak dobyć głosu. Zupełnie jakby beztrzesko wędrowała przez las, biegła ścieżyną przed siebie, by nagle stanąć jak wryta na skraju otchłani. W głowie jej się kręciło; nad przepaścią kłębiła się mgła, a nad głową kruk głośno kracząc zataczał kręgi...

Opanowała się jednak, rękami mocno chwyciła kraj ławy i odchyliła się do tyłu.

— Jaka... śmiercią... zginęli? — spytała.

— Król gościł u Torego w Hedmarken, gdy nagle do uszu jego doszło, że Tore zamierza go zgładzić. Umocnił się w tym przekonaniu, bo na rękę chłopaka znalazł naramiennik, dar króla Kanuta. Wtedy to wydał rozkaz, aby go ścięto.

— Czy Kalfa tam nie było? — spytała.

— Był — odparł wysłannik. — Król jednak nie chciał nakłonić ucha na prośby, ani Kalfa, ani innych, którzy się za nim wstawiali, w jego imieniu obiecując uścić grzywnę.

— A Grjotgard? — głos Sygrydy drżał.

— Jechał właśnie przez Osterdalen, kiedy posłyszał o śmierci Torego. Oszalał z wściekłości, myślał jedynie o zemście, wobec czego palił i niszczył dobra królewskie. Ale król go doścignął i osaczył razem z drużyną. Wtedy to Grjotgard z wnętrza budynku spytał, czy król go słyszy. A gdy otrzymał twierdzącą odpowiedź, krzyknął: „O łaskę prosić nie będę!” Z tymi słowami wyskoczył z izby i zamachnął się mieczem w stronę, z której jak mu się zdawało, dobiegł go głos króla. Na dworze jednak było ciemno, zamiast króla zabił Arnbjórna, syna Arnego, brata Kalfa.

Zginał na miejscu, a wraz z nim prawie cała jego drużyna. Goniec przybyły z wieścią należał do nielicznych, którzy uszli cało.

Drużynny skończył opowiadać i odszedł. Ksiądz pozostał z **Sygryda**. Głos jego raz ciszej, raz głośniejszemu szemrał niby wiatr pośród drzew, aż w końcu Sygryda poprosiła, by zostawił ją samą. Po czym wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem po izbie; jak długo tak chodziła, nie umiała by powiedzieć. Równie samotna nie czuła się nigdy, nawet w Maerinie, tam synowie stali u jej boku. Teraz nie miała nikogo, nikogo oprócz Tronda. A on był jeszcze taki mały...

O królu myśleć nie mogła; dławiła ją wściekłość.

Nagle ujrzała przed sobą Grjotgarda, wyglądał tak jak ostatniego dnia przed rozstaniem. Choć mizerną, ale jednak pociechą było to, iż pożegnali się w przyjaźni. „Bądź dobra dla Heleny” — powiedział owego ranka. Przystanęła zapartazona na lampę; wąty knot płonący w miseczce wiszącej na długiej tyczce zatkniętej w polepę.

Może nie była całkiem samotna — przyszło jej nagle na myśl — wszak ktoś dzieli jej żałobę.

Szybko pobiegła do starej świetlicy. Tam powiedziano jej, że Helena jest w jednym z mniejszych budynków, poszła więc do niej. Zastała ją w łożu z głową ukrytą w ramionach. Usiadła obok dziewczyny.

— Heleno — szepnęła obejmując ją.

Dziewczyna wzdrygnęła się, uniosła głowę: oczy miała zaczerwienione od łez, lecz płonące gniewem.

— Daj mi spokój — burknęła półgłosem.

— Obie go kochałyśmy — głos Sygrydy brzmiał niemal błagalnie.

Helena odepchnęła ją, przez chwilę zdawało się, że uderzy Sygrydę.

— Nie byłam dla ciebie nic warta przedtem, może tak zostać nadal! — zawołała.

Sygryda podniosła się i odeszła do komory. Było tam chłodno i cicho. Wśliznęła się do łóżka i leżała zapatrzona w ciemność.

Długo tak leżała, gdy nagle drzwi skrzypnęły w zawiasach.

Do izby wsunął się Trond, zapomniał zamknąć za sobą, toteż do łożnicy wpadła smuga światła z kominka w mieszkalnej izbie.

— Czego chcesz? — spytała Sygryda bezdzwięcznym głosem.

— Nie wiem... — odparł chłopak niepewnie. — Ksiądz Anund przysłał mnie tutaj.

— Pójdź do mnie — rzekła Sygryda, a kiedy synek zbliżył się do łoża, przytuliła go do siebie, jakby nigdy więcej nie zamierzała zwolnić uścisku.

I wtedy łzy popłynęły jej z oczu.

Po bezsennej nocy Sygryda poszła na mszę. Jednakże spokój, jaki zwykle ogarniał ją w kościele, tym razem zniknął, nie zaznała żadnej pociechy.

Głos księdza Jona brzmiał jakby z innego świata. W duszy jej panował jedynie bunt, bunt przeciwko losowi i Bogu.

Przed oczami jej przesuwały się obrazy z życia synów. Widziała, jak Tore w świetlicy stawia pierwsze niepewne kroki na chwiejnych nóżkach. Widziała go powracającego z łowów owego dnia, kiedy zabił pierwszego łosia.

Widziała Grjotgarda unoszącego się we wczesnym dzieciństwie szalonym gniewem, przypominała sobie, jak później zmagął się, aby nad sobą zapanować. I ostatecznie porwcość go zgubiła!

— Msza już skończona, Sygrydo — szepnęła Ragnhilda.

Sygryda, która całej mszy wysłuchiwała na klęczkach, podniosła się z kolan i wyszła z kościoła. Po południu ksiądz Anund odwiedził Egge. Poprzedniego wieczora Sygryda nie chciała z nim mówić, teraz natomiast na jego prośbę poszli razem do kościoła.

— Spróbuj przewyciężyć nienawiść, Sygrydo — zaczął.

— Dosyć już mam twoich nauk — odpowiedziała z oczami płonącymi gniewem. — Potrafisz tylko powtarzać: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół, nadstawiając drugi policzek...” Czy mam kochać samego czarta?

Anund aż się cofnął na widok wyrazu malującego się na jej twarzy.

— Nie. Mamy nienawidzić zła, natomiast...

— Jeżeli wolno mi nienawidzić zła, wolno mi także nienawidzić króla Olafa i wszystkiego, przy czym on ob staje — przerwała mu Sygryda.

— Mamy nienawidzić grzechu, a miłować grzeszników.

— A więc kochać diabła i nienawidzić jego poczynań?

— To co innego, Sygrydo. Szatan jest uosobieniem zła.

— Król Olaf także. On jest diabelskim niewolnikiem, wykorzystującym Boga dla własnej korzyści. Nazywał siebie chrzestnym ojcem moich synów, a nie chciał słuchać wstawiennictwa ich opiekuna. Miał jak najlepszą sposobność okazania, czy jest głęboko przywiązany do chrześcijaństwa; mógł przedłożyć Toremu ugodę słusznie należną za zgładzenie jego ojca. On natomiast pokazał swoje prawdziwe oblicze... — Sygryda przerwała i wyszła.

Ksiądz Anund tymczasem ukląkł u stóp ołtarza, przed pięknym zatroskanym obliczem świętego Jana.

Tej zimy Sygryda zajmowała się Trondem jak nigdy żadnym z dzieci.

Często też przebywała w samotności i nikt, nawet księży, nie wiedział, co myślała. Natomiast stale dopytywała się o wieści z południa. Jednakże pogłoski zmieniały się ciągle, toteż nie wiadomo było, którym wierzyć.

Po zamordowaniu Torego Olvessona naczelnicy Opplandu powstali przeciwko królowi Olafowi; podobno musieli umykać do Vikenu. Sygryda żywiła tajemną nadzieję, że to prawda i że król będzie musiał dużo więcej wycierpieć w odwecie za śmierć jej syna.

Powiadano także, że król Kanut płynąc na południe wzdłuż brzegów Norwegii dotarł do Sarpsborga; stamtąd wybierał się do Danii. Tymczasem zaś jarl Haakon, towarzyszący mu od samej Anglii, miał rzekomo osiąść w trondheimskim okręgu.

Ta ostatnia wieść dość szybko okazała się prawdziwą, ponieważ jarl jeszcze przed Godami ogłosił zaciąg dla całego Trondheimu i ludzie dążyli na południe, aby się z nim połączyć.

Od powracających Sygryda dowiedziała się, że król Olaf uciekł do Vestlandu do Szwecji, a Kalf go odstąpił. Miał jechać z jarlem na północ. Jednakże szczegółów Sygryda dowiedziała się nie wcześniej niż po Trzech Królach, bo dopiero wtedy Kalf wrócił do Egge.

Dzień był zimny, wilgotny. Nocą padał śnieg, lecz pogoda znów się odmieniła, lało, aż woda chlupotała pod nogami na dziedzińcu. Pod nią zaś powstała lodowa powłoka tak śliska, że ani kroku postąpić nie było można.

W Egge pospiesznie rozpalono ogień na wszystkich paleniskach biesiadnej sali, gdzie zgromadzili się domownicy.

Kalf stanął w progu i rozglądał się dokoła, blisko dwa lata nie było go w domu.

Sygryda podniosła się z miejsca; szła go witać godnie i spokojnie, każdy jej krok, a nawet uśmiech były ściśle odmierzone. Mimo to wyraz cierpienia w jej oczach nie mógł ujść uwagi Kalfa.

Jakżeby pragnął nie zważając na zebranych, nie bacząc na godność Sygrydy i własną zapomnieć o wszystkich i okazać jej ogrom swojej do niej tęsknoty oraz wspólnej boleści nad stratą dwóch synów.

Sygryda dostrzegła blask uczucia w jego oczach, choć wydawał się jej dziwnie obcy; w szyszaku z nosalem wyglądał niemal przerażająco, w rękę dzierżył włócznię. Płaszcz jego ociekał wodą, krople deszczu spływały z szyszaka na twarz błyszczącą w blasku ognia.

Zanim podeszła do niego, zawahała się mimo woli.

Zawsze myślała o nim prawie jak o niedorostku. Teraz jednak, kiedy wydał się jej obcy, nagle dostrzegła w nim takiego Kalfa, jakim był dla wszystkich: możnego naczelnika, którego wielu się lękało, ale dużo liczniejsi szanowali i darzyli zaufaniem.

Ponadto był teraz stronnikiem jarla, wrogiem króla Olafa. Usiłował ratować Torego, a po śmierci wychowańca odstąpił króla. I bez wątpienia na równi z nią bolał nad stratą synów.

„Czy nie mogłabyś zatroszczyć się trochę więcej o Kalfa!” — powiedział Grjotgard w czasie ich ostatniej rozmowy. Może nie przyjdzie jej to z wielką trudnością?

— Przemokłeś — odezwała się, bo nie wiedziała, co powiedzieć.

Kalf spojrział po ociekającym wodą płaszczu i rzekł:

— Może byś mi znalazła suchsze odzienie?

Jedząc, bez przerwy zerkąta na małżonka.

Podczas przebierania się pomagała mu, jak przystało niewieście, której mąż powrócił z wyprawy. Kalf nie spuszczał z niej oczu, gdy nalewała wodę do miski i wyjmowała ręczniki oraz suche szaty.

Nagle chwycił ją za przegub ręki i przygarnął ku sobie z nieoczekiwaną gwałtownością. Poddała się jego woli z ochotą, a nawet żądzą, jakiej w stosunku do niego nigdy dotychczas nie odczuwała.

Kiedy powrócili do biesiadnej, sala była już przystrojona odświętnie, makaty i opony zdobiły ściany. Czekał tu także Trond; chłopiec z początku boczył się trochę, ale później nie odstępował Kalfa ani na chwilę.

Po skończonym posiłku Sygryda zaczęła wypytywać Kalfa o jego podróż oraz ucieczkę króla.

Z Vikenu król pociągnął wzdłuż brzegu ku zachodowi, licząc, że jeszcze odzyska przychylność mieszkańców. Wszędzie jednak przyjmowano go źle. A mimo wszystko niedaleki był zwycięstwa, gdy udało mu się zwabić Erlinga Skjalgssona, który z jednym statkiem oderwał się od nagromadzonej licznej floty. Doszło do bitwy, król miał dużo więcej zbrojnych, w końcu Erling się poddał i przysiągł królowi wierność. Ale ktoś z królewskiej załogi stracił głowę i zabił Erlinga. Wtedy Olaf był zmuszony do odpłynięcia na północ wzdłuż zachodniego brzegu, lecz nigdzie nie mógł przybić do lądu, wszędzie bowiem rozpalono stosy wojenne, a wieść o zabiciu Erlinga rozprzestrzeniła się szybko.

Na północ od Stadu dowiedział się, że jarl Haakon płynie przeciwko niemu z ogromną flotą. Wobec natarcia Haakona z przodu, a synów Erlinga od tyłu, Olaf, chcąc ujsz z życiem, musiał uciekać łodem do Szwecji.

— Tam rozstałem się z królem — opowiadał Kalf. — Moi bracia przysięgą zobowiązani do towarzyszenia królowi w kraju, jak i poza jego granicami, musieli odjechać z nim na wschód. Oświadczyłem, że jeśli zamierza walczyć przeciwko jarlowi, pozostanę, gdyż do tego obowiązuje mnie przysięga. Ale i tak dobrze rozumiał, że nie powoduje mną miłość. Zamierzałem potem wrócić do domu. Napotkałem jednak flotę jarla, który prosił, abym się przyłączył, więc razem płynęliśmy ku północy. Chciał, bym został jego namiestnikiem, tak jak swego czasu królewskim, ale odmówił.

Sygryda patrzyła na niego jak porażona.

— A więc jesteś stronnikiem króla... — spytała.

— Nie. Nie jestem niczym stronnikiem.

— Albo jesteś za Olafem, albo przeciwko niemu, co mi będziesz bajął! A jakże możesz być za nim po tym, co się

stało, tego nie pojmuję. — Sygryda była oburzona. — Czy widok moich pomordowanych synów był dla ciebie obojętny?

— Wiedz, że to się stało wbrew mej woli. Ofiarowywałem wysoką grzywnę w imieniu Torego. A kiedy Grjotgard padł — straciłem zarówno syna, jak i brata.

— Może najdotkliwiej zaboląła cię strata Arnbjorna. Nie słyszę, żebyś zamierzał pomścić moich synów. Jednakże bądź co bądź powinienes zdać sobie sprawę, jak nisko cenił cię Olaf, skoro nie słuchał twego wstawiennictwa za Torem.

Kalf położył rękę na dłoni Sygrydy.

— Dlaczego rozstałem się z królem pod Skote, jak myślisz?

— Nie wiem.

— Nie potrzebujesz wytykać mi, że król zawiódł moje zaufanie, wydając rozkaz zabicia Torego. I opuściłbym go znacznie wcześniej, gdybym na nim nie wymógł obietnicy, że Grjotgard odjedzie w pokoju. Król nie zawinił śmierci Grjotgarda. Zresztą w królewskiej drużynie nie ja jeden byłem oburzony tym, co uczynił Toremu. Skald Sigvat rzucił na szalę całą przyjaźń dla króla i gdy się rozstawali w Vike nie, na pewno nie zapomniał śmierci Torego.

— A zatem Sigvat opuścił króla wcześniej niż ty? — spytała Sygryda z namysłem.

— Zapewniam cię, Sygrydo, że jestem mniej życzliwie usposobiony wobec króla niż Sigvat. Ale gdybym zobowiązał się do obrony kraju przed Olafem, tedy zobowiązę się również do skierowania broni przeciw rodzonym braciom.

— Nie sądzę, aby Finn wahał się skierować broń przeciwko tobie.

— Finn jest porywczy i dużo gada — odparł Kalf — niemniej jednak jest moim bratem. A jeśli więź rodzinna będzie zerwana, cóż nam pozostanie, w czym będziemy pokładali ufność?

— Skoro tak wysoko cenisz swoich braci, to może ode mnie i Tronda zażadasz grzywny za zabójstwo Arnbjorna przez Grjotgarda? — spytała złośliwie Sygryda.

Kalf ciężko westchnął.

— Wiesz dobrze, że nawet nie myślisz tego, co mówisz.
— Po czym dodał: — Nie odmówiłem jarlowi ostatecznie. Powiedziałem, że to przemyślę i dam znać, gdybym postanowił związać się z nim. Ale rozmowa o tym tutaj nie przystoi.

Oziębilo się znowu, mróz chwycił, dziedziniec wyglądał niczym ścięta powierzchnia jeziora, na niebie wełniane obłoki srebrzyły się w blasku księżyca.

Kalf podtrzymawał Sygrydę, gdy szli przez dziedziniec; przed wejściem jednak przystanąła i rozejrzała się wkoło: widok niczym w baśniowym kraju!

W komorze Kalf długo patrzył na śpiącego Tronda.

— Jak możesz przypuszczać, że nie boleję nad śmiercią twoich synów? — rzekł zwracając się do Sygrydy. — Kochałem ich jak rodzonych.

Sygryda już zamierzała ostro odpowiedzieć, lecz powstrzymał ją wyraz twarzy Kalfa.

— Na miłość Boga, Sygrydo — szepnął obejmując ją — niechaj nic nas nie rozdzieli teraz, po tym powitaniu, jakie mi zgotowałaś! Musisz zrozumieć, że jeśli się ociągam wystąpić z bronią w rękę, to nie przeciwko Olafowi!

Sygryda milczała, bo rozumiała go i wiedziała, że miał słuszność.

Mężczyznę obowiązywała przede wszystkim wierność rodowi. A w zamian ród wspierał go w doli i niedoli. Jeżeli natomiast mężczyzna zajął wrogie stanowisko wobec swoich krewniaków, nie mógł liczyć na pomoc w ciężkiej godzinie.

Toteż kiedy zajrzał w jej twarz z uśmiechem, Sygryda odprężyła się pod jego wzrokiem.

W ciągu pierwszego tygodnia pobytu Kalfa w Egge było im obojgu lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Potem jednak wszystko wróciło do dawnego. Do domu bowiem powrócił nie nowy, lecz ten sam Kalf, a gdy Sygryda zdała sobie z tego sprawę, rozgoryczenie jej rozjątrzyło się jeszcze bardziej.

Nie wiedziała, co nurtuje ją silniej tej zimy: nienawiść do króla Olafa czy żal do Kalfa. Zdawała sobie sprawę, że była

nieznośna, mimo to bezustannie dopominała się pomsty za synów oraz nalegała, aby Kalf związał się z jarlem. Zadręczała go także i w innych sprawach, zupełnie jakby wyszukiwała powody do kłótni z mężem. Od czasu do czasu nawet Kalfowi brakowało cierpliwości. Po takim wybuchu Sygryda robiła się przymilna i łagodna na dzień lub dwa, po czym zaczynała od nowa.

Ale nie tylko Sygryda namawiała Kalfa do związania się z jarlem.

Okoliczni kmiecie przychodzili do niego, przypominali, że był ich naczelnikiem, a więc nadal powinien nim zostać. Mówili, że potrzebują jego przewodnictwa zarówno na tingach, jak i przy innych sposobnościach; uważali go za niezastąpionego.

Kalfowi to pochlebiało. A nadto przywykł do namiestnikostwa, toteż choć musiał zarządzać własnymi majątkościami, nie mógł się wyzbyć wrażenia bezczynności. Polubił świadomość posiadania władzy oraz mocy, jaką zapewniała godność namiestnika. I tak powoli z czasem doszedł do przekonania, że chyba jego obowiązkiem było zostać naczelnikiem okręgu, ludzie go potrzebowali...

Ostateczne postanowienie powziął goszcząc w Egge Finna Haraldssona. Finn towarzyszył jarlowi w pościgu za królem Olafem, teraz był zaprzysiężonym stronnikiem Haakona.

— Nietrudno stwierdzić, jak ogromnie ludzie są przywiązani do jarla, bo też rozważny jest i sprawiedliwy. Dostyc mają jednego samowładcy i gwałtownika. Nie mogę tylko pojąć, czemu ty się ociągasz, zamiast przystać do niego! Król Olaf niczym nie zasłużył na twoją wierność.

— Tu nie chodzi o króla — odparł Kalf. — Cała rzecz w tym, że moi bracia trwają przy nim. Gdyby próbował na nowo podbić kraj, nie chciałbym zostać zmuszony do stawiania przeciwko nim w walce.

— Jeśli kraj będzie dostyc silny, Olaf nigdy nie powróci — stwierdził Finn. — A ty przyłączając się do jarla umocnisz kraj, bo chyba nikt — nie wyłączając samego jarla — nie cieszy się takim zaufaniem mieszkańców Inntrondheimu jak

ty. A gdyby Olaf wrócił, czy poszedłbyś do niego w służbę, czy poddałbyś się jego władzy nie chwytając za miecz?

— Wątpię.

— Jedno tylko ci rzeknę: jeśli zostaniesz stronnikiem jarla, na pewno nie będziesz miał sposobności walczenia przeciwko braciom.

— Od tej strony sprawy nie rozważałem — powiedział Kalf z namysłem — ale może masz słuszość. W każdym razie ufam, że widział Olafa po raz ostatni.

— Może jarl przyznałby ci większe daniny, niż miałeś za króla.

— Tak sądzisz?

Nieco później tego wieczora Kalf powiedział do Sygrydy:

— Możesz przestać nudzić. Złożę przysięgę jarlowi, byle mi przyznał wyższe daniny, niż miałem za króla.

Następnego dnia wysłano gońca do jarla, który w odpowiedzi zaprosił Kalfa do Kaupangu dla omówienia szczegółów układu.

Kalf pojechał.

Sygryda uzyskała, czego pragnęła, sama jednak nie wiedziała, dlaczego czuła się zawiedziona.

Po powrocie małżonka Sygryda nie przestała go zanudzać, wynajdywała tylko odmienne powody.

9

Zima tego roku była kapryśna, mrozy przeplatały się z odwilżą, śnieg ani razu dłużej nie poleżał, wiosna nadeszła wcześniej.

Zaraz po Wielkanocy Kalf wyruszył do Anglii, chciał zobaczyć się z królem Kanutem. Sygryda znowu pozostała sama w Egge.

Przed świętami choć niechętnie, lecz poszła do spowiedzi. Ksiądz Anund dowodził jej, że zaciętość i nienawiść oddalają

od Boga. Niewiele jednak osiągnął i choć dopuścił ją do Sakramentu Ołtarza, zachował wiele wątpliwości.

Sygyda nie wiedziała ani czego szuka, ani w co wierzy. Robiła to, czego się po niej spodziewano: pracowała i spełniała obowiązki chrześcijanki.

Od wyjazdu Kalfa, jeśli nie była do tego zmuszona, nie rozmawiała z nikim prócz Tronda; jemu natomiast okazywała miłość tak gwałtowną, że chłopiec niemal uciekał przed matką ze strachu.

W tydzień po wyjeździe Kalfa goście zawitali do Egge. Trzej mężczyźni gnali co koń wyskoczy, wierzchowce mokre od potu ledwo trzymały się na nogach, Sygyda pospieszyła na dziedziniec zapytać, co się stało.

Okazało się, że skald Sigvat z dwoma towarzyszami przyjechał do Kalfa.

Kiedy Sygyda wyjaśniła, że Kalf odpłynął do Anglii, mieli ogromnie zawiedzione miny.

— Liczyłem, że go przychwycę, nim wyjedzie.

— Mimo to jesteś mile widzianym gościem we dworze — rzekła Sygyda. — Prawie zajeździliście konie, chyba kilka dni będą odpoczywały, nim przyjdą do siebie.

Wieczorem w biesiadnej sali Sygyda była rozmowna i jakby mniej chmurna niż ostatnimi czasy.

— Słyszałam, że usiłowałeś ratować mego syna Torego. Dzięki ci za to — powiedziała do Sigvata.

— Na niewiele się to zdało. Ale prawdą jest, że robiłem co w mojej mocy.

— Kalf powiadał, że omal nie naraziłeś się królowi.

— Raz przynajmniej powiedziałem mu swoje zdanie — rzekł Sigvat. — A jest to krok nierozważny ze strony skalda, jeśli chce zachować pańską łaskę.

— Co mu powiedziałeś?

— Że tego rodzaju uczynki kosztowały go wierność ludu i jeśli chce rządzić krajem w myśl chrześcijańskich przykazań, musi przody nauczyć się lepiej panować nad sobą. Powiedziałem to oględniejszymi słowami, ale Olaf głupi nie jest.

— Mało warte jest chrześcijaństwo Olafa — rzuciła Sygyda.

— Wtedy i ja czułem podobnie — mówił Sigvat z namysłem. — Później jednak doszedłem do innego przekonania; dlatego pragnąłem porozumieć się z Kalfem przed jego wyjazdem.

— Może Kalf zechciałby cię wysłuchać — z brzmienia głosu Sygrydy jasno wynikało, że ona nie zamierzała tego zrobić.

— Ludzie różnie osądzają króla — mówił zamyślony Sigvat. — Ty go nienawidzisz, widzę to po tobie, wystarczy go wspomnieć. Masz po temu słuszne powody i nie ty jedna zresztą. Są jednak i tacy, którzy miłują go tak ogromnie, iż o wszystkim zapominają. Ja także jakbym się odmienił; najczęściej darzyłem go miłością i szacunkiem, ale czasem wydawało mi się, że nie zasłużył ani na jedno, ani na drugie. Jesienią poznałem go lepiej. Mówiliśmy o wielu sprawach, żądał, abym był przy nim dniem i nocą; nie chciał zostać sam. Zupełnie jakby się czegoś bał... Z początku nic nie rozumiałem, bo wedle mnie całym swoim postępowaniem dowiódł, iż nie lęka się ani diabła, ni śmierci. Powoli jednak zdałem sobie sprawę, że on się boi utracić sprzyjające mu szczęście. A na skutek tego zaczynał wierzyć, że może Bóg go opuścić pozostał sam z czartem i grzechem. A pojąłem wszystko, dopiero kiedyśmy się rozstali. Przed odjazdem bowiem wyłożył mi wszystko jasnymi słowami: „Bóg odebrał mi szczęście, Sigvacie. Nic dziwnego, że i ty mnie opuszczasz. Może i miałeś słuszność powiadając, iż nie żyłem według chrześcijaństwa, jak należało”.

Gdyby mi wtedy rzekł jedno słowo, aby przy nim pozostać, padłbym mu do nóg. Ale on tego nie uczynił. Powiedział tylko: „Bóg z tobą, Sigvacie!”

Prawie całą zimę spędziłem w Vikenie. Myślałem o królu i o tym, co powiedział. Stopniowo uprzytomniłem sobie, iż zbyt pochopnie go porzuciłem. Bóg wie, że mam własne grzechy, a żadnych podstaw do wydawania sądu o innych. — Sigvat przerwał. Pochylił się do przodu, łokcie położył na stole, brodę oparł na rękę i zapatrzony w przestrzeń zdawał się mówić raczej do siebie niż do Sygrydy.

— Nie pierwszy raz odjechałem króla Olafa. Kiedy chciał podbić Islandię i zatrzymał jako zakładników Steina Skaftessona wraz z resztą Islandczyków, których zwabił do Norwegii obietnicami, ja odjechałem do Rudy. A jednak wróciłem, choć inni obiecywali mi zaszczyty i bogactwa. Bo z dala od niego mam wrażenie, że jeśli nawet jest zachłanny i bezwzględny, nie ma to wielkiego znaczenia wobec jego wielkości, umiejętności przewidywania i niezachwianej wiary, iż Bóg wybrał go, aby ochrzcił Norwęgę... — Sigvat znowu przerwał i z pewnym wahaniem zwrócił się wprost do Sygrydy: — Kiedy niedawno przybyłem na północ, słyszałem, iż Kalf był u jarla i wybiera się do króla Kanuta. Natychmiast ruszyłem w drogę, bo czułem, iż muszę go powstrzymać od wyjazdu do Anglii, jeśli zdołam...

— Gdybyś go nawet przychwycił, nie zrobiłoby to żadnej różnicy, skoro już złożył przysięgę jarlowi. A jeśli chodzi o króla Olafa, to coś mi się zdaje, że póki szczęście mu dopisuje, nadyma się niczym smarkacz, natomiast wobec przeciwności załamuje się żałośnie — powiedziała Sygryda w sposób odstręczający, aby dać Sigwato wi do zrozumienia, że nie powinien być rozmawiać z nią o królu.

— To, że Kalf zaprzysiągł wierność jarlowi Haakonowi, to inna sprawa — odezwał się Sigvat. — Haakona znam dobrze, sumienie mu wyrzuca niedochowanie przysięgi Olafowi i zbrojne wystąpienie przeciwko niemu. Gdyby Kalf o to prosił, jarl zwolniłby go z danego słowa. Ale jeśli chodzi o króla Kanuta — to rzecz inna. Nie darzę miłością tego rodzaju władców. Nie szcędzą przysiąg i pięknych słówek, ale dobrze, jeśli ich dotrzymają, póki cię widzą. W moim mniemaniu ta wyprawa przyczyni Kalfowi samych trosk i nic więcej.

— A będąc w Anglii, czy nie układałeś pieśni sławiących króla Kanuta?

— Owszem — odparł stropiony Sigvat.

— Skald wiele robi dla złota — mówiła Sygryda z namysłem. — Brat mój, Tore, powiedział kiedyś, że Sigvat jest przyjacielem wszystkich. A czy pomyślałeś kiedykolwiek

o tym, że jak mówią ludzie: kto jest przyjacielem wszystkich, w końcu staje się niczym?

— Nie prosiłem cię o nauki — Sigvat był zły. — Jeśli przybyłem do Egge, to jedynie po to, aby namówić Kalfa do towarzyszenia mi do króla, któremu daleko do bogactw.

— Jeśli masz na myśli króla Olafa, cieszę się, iż przybyłeś za późno.

Dalsza rozmowa im się nie kleiła. Rozstali się życząc sobie oschle dobrej nocy.

Znaczną część następnego dnia Sygryda spędziła przy krosnach. Obecność Sigvata budziła w niej niepokój i to ją złościło tym bardziej, że choć za nic nie przyznałaby się do tego nawet sama przed sobą, pragnęła, aby przyszedł z nią pogwarzyć.

Przyszedł po południu, zastał ją samą w świetlicy.

— Piękniejszego tkania nigdy nie widziałem!

Sygryda na dźwięk słów przypominających te, które powiedział przy ich pierwszym spotkaniu, spojrzała w roześmiane oczy skalda.

— Nie godzimy się, gdy chodzi o króla Olafa — mówił dalej. — Ale niechaj nasza dawna przyjaźń na tym nie straci!

— Słusznie rzekłeś.

Sygryda wróciła do roboty, Sigvat zaś opowiadał o handlowej wyprawie do Rudy, którą odbył po rozstaniu z królem Kanutem. Potem stopniowo od zwykłej opowieści przeszedł do sag i pieśni. Sygryda miała wrażenie, że widzi barwną makatę nie tkaną, lecz wyszywaną — opowiadanie bowiem stanowiło niejako osnowę, na tle której pieśni uwytknęły się niczym obrazy kunsztownie haftowane. Odłożyła robotę i zapatrzyła się na skalda; krucze włosy, oczy błyszczące w świetle łuczywa, wąskie, a równocześnie silne dłonie — pierwszy szczegół, jaki zauważyła w jego osobie.

— Kiedy usłyszę twoje miłosne pieśni? — spytała, gdy przerwał. Głos jej brzmiał beztrąsko, trochę przekornie, wiedziała, iż takie pytanie niezbyt przystoi niewieście, lecz nie mogła się pohamować.

Sigvat szybko rozejrzył się wkoło.

— Nie teraz. Mógłby ktoś wejść. A czy nie ma tu we dworze miejsca, gdzie moglibyśmy być sam na sam? — spytał z rozjarzonym wzrokiem.

Sygyda aż się cofnęła, nie przypuszczała bowiem, że w ten sposób pojmie jej słowa.

— Wątpię, bym odważyła się pozostać z tobą sam na sam, Sigvacie.

— Chcę tylko, abyś raz jeden wysłuchała moich pieśni. Może nigdy więcej nie nadarzy mi się sposobność do wygłoszenia ich tobie.

Sygyda nie patrzyła na niego, bo mógł zbyt wiele wyczytać z jej oczu.

— Sygydo, przysięgam, że nie zbliżę się do ciebie zanadto — w głosie Sigvata brzmiało naleganie.

— Na co przysięgasz? — spytała wstrzymując oddech.

— Przysięgam na Boga żywego i zbawienie mojej duszy.

— Wierzę ci — powiedziała patrząc mu prosto w oczy, on zaś nie umknął wzrokiem.

— Gdzie możemy się spotkać?

Sygyda zastanowiła się chwilę.

— Pamiętasz ów lamus, w którym ci niegdyś pokazywałam makaty?

Skinął głową.

— Drzwi zostawię otwarte. A przyjdę, kiedy ludzie ułożą się do snu.

Przez resztę dnia unikała Sigvata. A na myśl, w co się uwikłała, po prostu dławiło ją w gardle.

Jeśli ktoś ich zaskoczy, nie uwierzy, że chodziło tylko o pieśni. A dać się przyłapać na cudzołóstwie — to nie żarty. Pocięsała się jednak, że taka możliwość prawie nie istniała. Ona jedna miała klucze do lamusa, noc były ciemne, nikt ich nie zauważył. Zresztą na myśl o spotkaniu z Sigvatem uchylała wszelkie przeszkody. Może by nawet wołała, żeby nie składał tak uroczyściej przysięgi.

Upewniwszy się, że domownicy na dobre posnęli w starej świetlicy, poszła do lamusa szukając drzwi po omacku.

Drzwi skrzypnęły w zawiasach, wzdrygnęła się i ostrożnie zamknęła je za sobą na klucz. Nie mogła stwierdzić, czy Sigvat już przyszedł, dopóki nie chwycił jej za rękę.

— Sygrydo, przyszedłeś! — szepnął wyraźnie zdziwiony.

Nie śmieli zapalić światła, mogło prześwitywać okienkiem. Usiedli na rozpostartej opończy Sigvata.

— Mogę cię objąć? W tym chyba nie ma nic złego...

— Chyba nie...

Oparła się o ramię skalda, on zaś szeptem mówił pieśni jedną po drugiej. W niektórych kpił ze swojej ku niej skłonności, inne natomiast były poważne, piękne, pełne tęsknoty. Czasami posługiwał się obcym słowem, którego nie rozumiała, ale nie chciała przerywać mu pytaniem.

Kiedy w końcu umilkł, nie mogła przemówić słowa; miała wrażenie, że zbiera się jej na płacz.

— Czy teraz pojmujesz, jak za tobą tęskniłem? — Tu-lił ją do siebie, a ona nie stawiała mu oporu. Usta jego dotykały jej policzka. — Czy zrozumiałaś moje okrutne kochanie?

Drżąca wstrzymywała oddech. Tego słowa nie używał nigdy ani Olve, ani Kalf.

Nagle cofnęła się, bo poczuła jego rękę na swojej piersi.

— Sigvacie, przysiągłeś... — mówiąc to myślała nie tyle o swojej czci, ile o jego straszliwej przysiędze.

— Do diabła z przysięgą!

Usiłowała się wyrwać, lecz nie zdołała. Nawet krzyknąć nie mogła; gdyby znaleziono ją tutaj ze skaldem, krzyki niczego by nie usprawiedliwiły. Bardzo prędko przestała stawiać opór.

A potem, kiedy całował ją ciągle bez przerwy, myślała tylko o jednym.

— Sigvacie, dziękuję ci! — szepnęła.

Odjechał nazajutrz wczesnym rankiem, Sygryda go pożegnała. On zachowywał się godnie, ale i z niezmiernym szacunkiem, jakby nic nie zaszło między nimi. Tylko kiedy ujmując jej dłoń ucisnął ją ukradkiem, uśmiechał się pełnymi żaru oczyma.

W ciągu najbliższych dni Sygryda pilnie nastawiała uszu i szeroko otwierała oczy, lecz nic nie świadczyło, że ich dostrzeżono; nikt jej nawet nie podejrzewał.

Na ogół we dworze uważano — pierwsza dała temu wyraz Ragnhilda — że Sygryda zachowała się niewłaściwie wobec Sigvata, doprowadzając pierwszego wieczora do sporu, a później prawie z nim nie zamieniając słowa. A mimo to uśmiechnął się tak pięknie dziękując za gościnę!

Sygryda odetchnęła z ulgą i przestała się kłopotać, póki inna znacznie poważniejsza troska nie dała się jej we znaki.

Nie myślała o możliwości zajścia w ciążę. Od urodzenia Tronda minęło siedem zim, toteż po prostu uważała, iż więcej dzieci mieć nie będzie. Kiedy zbudziły się pierwsze podejrzenia, wierzyć sobie nie chciała.

Jednakże z każdym dniem pewność jej wzrastała.

Z początku nie posiadała się z rozpacz i przerażenia; nawet myśleć trzeźwo nie potrafiła, tylko beznadziejnie pragnęła, aby rzeczywistość okazała się złym snem. Aż pewnego dnia musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

Nadszedł miesiąc odstawiania jagniąt, Sygryda osobiście doglądała odbierania ich owcom. Serce jej się krajało od żalosego beczenia jagniąt, które na oddzielnym wybiegu rozpaczliwie szukały matek. Myślała o dziecku, które wyda na świat; o bezradnej maleńkiej istotce, która na świecie nie będzie miała nikogo, kto by się o nią zatroszczył prócz matki. A może jej to dziecię odbiorą!

Przyszła jej na myśl Tora córka Olwego, wszak jej odebrano dziecko, teraz jednak po wprowadzeniu chrześcijaństwa prawo zabraniało odbierać dzieci. Może Kalf wypędzi ją razem z noworodkiem na żebrany chleb. A jeśli zatrzyma ją w Egge, będzie ją karał jak ojciec Olwego Tore.

Potem znowu rozmyślała o dziecku — może będzie czarnowłose jak Sigvat, może będzie miało rozmarzone oczy, które widzą to, czego inni nie dostrzegają. Dziecko Sigvata... wprost myśleć nie śmiała!

Opanowała się jednak, bo jeśli chciała wyjść cało z tej biedy, musiała myśleć wyjątkowo trzeźwo.

Po pierwsze — powiedziała sobie chyląc się nad ogrodzeniem i drapiąc beczące jagnię za uchem — dziecko może być równie dobrze Kalfa, jak i Sigvata.

Dlaczego miałyby powstać jakieś podejrzenia? Nigdy nie dawała powodu do obmowy — nie licząc plotek po zgonie Olwego, które i tak bardzo prędko okazały się fałszywe. Olwemu zawsze była wierna. Kalfowi też, choć bardzo dużo czasu spędzał na wyprawach. Jeśli zaś chodziło o Sigvata, domownicy uważali, że była dlań ozięblejsza, niż na to zasługiwał.

Wystarczy nie budzić podejrzeń swoim zachowaniem, a prawie na pewno nikt, nawet Kalf, nie trafi na ślad jej winy. A jeżeli dziecko będzie niezmiernie podobne do Sigvata? O tym wołała nie myśleć.

Najważniejsze zatem było zachowywać się w taki sposób, jak gdyby oczekiwała dziecka Kalfa. Próbowwała wyobrazić sobie, co by wówczas czuła.

Chyba nie należało okazywać zbytnej radości; ogólnie wiadano, że stosunki między nią a Kalfem nie były najlepsze. Ale komuś by się zwierzyła, bo kto nie ma nic do ukrywania, nie potrzebuje robić tajemnic.

Postanowiła powiedzieć o tym Ragnhildzie; jeśli poprosi ją o dochowanie sekretu, wieść rozniesie się po dworze niczym płomień w suchej trawie.

Wewnętrzne odrętwienie zelżało trochę, kiedy Sygryda zmierzała do świetlicy.

Po paru dniach służebne zaczęły na nią zerkać z uśmiechem. A kiedy Gyda córka Halldora spytała ją wręcz, Sygryda odparła, iż za wcześniej na pewno rokować.

Kalf nie pozostał długo w Anglii, przed świętym Janem wrócił do Egge. Domownicy nigdy jeszcze nie witali go z taką radością i nadzieją. Nawet Sygryda była niezwykle łagodna.

O pobycie u króla Kanuta mówił niewiele, lecz przywiózł dary od niego. Dopiero gdy pozostali sam na sam, oznajmił Sygrydzie, że król przyrzekł mu godność i władzę jarla w Norwegii, jeśli zechce bronić kraju przed królem Olafem.

— Uważał, że dla jarla Haakona lepiej będzie, jeśli osiadzie w Anglii. Według niego jarl żałuje, iż nie dotrzymał przysięgi, i gdyby król Olaf wrócił, uznaliby za niegodne siebie zbrojne wystąpienie przeciw niemu.

Sygyda opowiedziała o bytności Sigvata w Egge, nadmieniając, z czym przyjechał do Kalfa i co mówił o bezwartościowych obietnicach Kanuta. Zaznaczyła przy tym, że jeśli chodziło o jarla Haakona — rzekł to samo co król.

— A zatem Kanut powiedział prawdę o jarlu — zauważył Kalf.

Na wieść, że Sygyda oczekuje dziecka, uradował się wprost niepomernie, prawie jak młodzik.

— Widzisz teraz, jaki Bóg dobry! Chce nam wynagrodzić stratę twoich synów!

Sygyda nigdy nie czuła się tak nikczemna.

Pod wpływem wzruszającej troskliwości Kalfa Sygydę dręczyły coraz silniejsze wyrzuty sumienia. Wkrótce jednak zaczęła się buntować przeciwko świadomości grzechu. Dlaczego sama miała ponosić ciężar winy?

Szczegółowo wszystko roztrząsając, doszła do przekonania, że Kalf w dużej mierze sam wszystkiemu zawinił. Wspomniała sposób, w jaki Olve sobie poczynił, gdy Sigvat pierwszy raz odwiedził Egge. Kalf wręcz przeciwnie, niczego nie zmiarkował podczas bytności skalda we dworze, a nawet popychał ich ku sobie, pozwalając im pójść samym we dwoje do lamusa oglądać tkaniny.

I dlaczego miała żałować Kalfa? Był ponad miarę zachwycony nadzieją posiadania dziecka, a jeśli wszystko dobrze pójdzie, nigdy się nie dowie, że inny był ojcem. A to, o czym nie wiemy, ani nas boli, ani nam szkodzi.

Zresztą ona nie zawiniła temu, co zaszło między nią a Sigvatem. Skald był winien, złożył doniosłą przysięgę i złamał ją. Sygyda usiłowała otoczyć się szańcami niewinności jak w warownym zamku. I z każdym dniem czuła się bezpieczniejsza.

Mimo wszystko jednak nie zdołała całkowicie zdławić poczucia niegodziwości wobec Kalfa; i to ją gniewało, bo do

jej warownego grodu jakby zakradał się zdrajca.

Pewnego wieczora, gdy Sygryda wraz z Ingerida córką Blotolfa wspominały dawne czasy, powstał pierwszy wyłom w szańcach, którymi się obwarowała.

Ingerida nawiązując do rozmowy, jaką wiodły niegdyś w oborze, powiedziała:

— Nieraz myślałam o słowach prawdy, które mi wtedy rzekłaś!

Wieczorem Sygryda długo leżała bezsennie przypominając sobie, jak drwiła z Ingeridy, kiedy ta utrzymywała, że Finn ją uwiódł. I nagle, choć niechętnie, uprzytomniła sobie jasno, że wobec Sigvata powinna była mądrzej się zachować.

Po tym pierwszym wyłomie nieprzyjaciół przypuścił gwałtowny szturm! Przecież dobrze wiedziała, co robi. Miała ochotę zostać z nim sam na sam; niemal pragnęła, żeby doszło do tego. Żądała ważkich przysięg, bo przede wszystkim chciała mieć możliwość zrzucenia odpowiedzialności na Sigvata.

Bez wątpienia była współwinowajczynią.

Wspomniała natomiast, co ksiądz Anund kiedyś mówił o niemożności dzielenia winy. Powoli zaczynała pojmować, co miał na myśli.

Choćby wina jej była najmniejsza, jeśli w jakikolwiek sposób mogła temu zapobiec — ponosi pełną odpowiedzialność. Wina i odpowiedzialność ciężąca na Sigvacie w żadnym wypadku nie mogła umniejszyć jej własnej. Mało tego, ona skusiła go do złożenia wielkiej przysięgi i do złamania jej z narażeniem zbawienia duszy.

Sygryda wydała głośny jęk.

Kalf poruszył się, lecz spał dalej. Ona zaś usiadła w łozu i objęła głowę rękami.

Czy Sigvat na pewno zamierzał dochować przysięgi? Może umyślnie ją zwiódł...

Dlaczego miała mu wierzyć? Tore mówił, że Sigvat był przyjacielem wszystkich i na pewno nigdy nie brakowało mu kobiet. A śliczne pieśni układał dla królów i wielmożów niezależnie od tego, czy ich lubił. Czy zatem pieśni miłosne nie były przynętą, na którą złapał wiele niewiast przed nią?

Może teraz drwi sobie z dumnej Sygrydy, pani na Egge, która bez trudu dała się uwieść. Na tę myśl policzki jej spłonęły rumieńcem. Miała to, na co zasłużyła!

Jeśli śpiący u jej boku Kalf mógł zapobiec temu, co się stało — słowa Anunda jego też dotyczyły. Winy nie można dzielić, jej własna pozostaje nie umniejszona.

Nareszcie Sygryda doszła do przekonania, że zgrzeszyła nie tylko przeciwko przykazaniom chrześcijańskim, ale również przeciw prawom z dawien dawna obowiązującym w tym kraju. Mimo to czepiała się myśli, że jeśli nikt nie zauważy, nikomu nie stanie się poważna krzywda, ani Kalfowi, ani oczekiwanemu dziecku.

Jeżeli chodziło o Kalfa, to nawet wręcz przeciwnie; radował się i choć nigdy tego nie ujawnił, ufał, że będzie miał syna. Był beztroski jak człowiek, który nie wie, że góra zwali się na niego — myślała Sygryda.

Nagle jak na jawie ujrzała go stojącego u stóp groźnego zwału spiętrzonych przez nią kłamstw i oszukaństwa, pod górą pełną szczelin i luźnych skał z ogromnymi głazami chwiejącymi się na stromym szczycie. On o tym nie wiedział, ale to nie umniejszało groźby wypadku, po którym może się nigdy nie otrząsnąć.

A tak niewiele brakowało, by nieszczęście zważyło się na nich oboje; byle kłamstwo, byle fałszywy krok mógł podważyć jego zaufanie do niej. Poza tym skąd pewność, że Sigvat będzie milczał? A jeśli podobieństwo dziecka do Sigvata będzie tak uderzające, że Kalf musi je zauważyć i odgadnąć przyczynę?

Oniemiała z rozpacz. A kiedy nareszcie zapłakała, miała wrażenie, że łkanie rozerwie jej piersi.

— Sygrydo, płaczesz? — Kalf się obudził.

Mimo desperacji nie mogła powstrzymać się od złośliwej myśli: dlaczego pytał, skoro słyszy. Kiedy jednak zaczął dopytywać się natarczywiej, doszła do przekonania, że lepiej, by zadawał pytania nie wymagające odpowiedzi.

— Na to nie mogę ci odpowiedzieć — Sygryda próbowała się roześmiać, lecz bezskutecznie. — Nie przejmuj się łzami brzemiennej kobiety!

Kalf westchnął.

Pokażcie mężczyznę, który zna się na niewiastach!

Coraz trudniej było Sygrydzie ukrywać myśli pod beztroską, jaką musiała pozorować wobec Kalfa i domowników.

Była teraz nie tylko świadoma krzywdy wyrządzonej Kalfowi, ale nękały ją również nieznanne dotychczas wyrzuty z powodu przekroczenia Bożego przykazania. Po raz pierwszy odgadywała, co skłoniło Olwego do opłakiwania swoich grzechów.

Do spowiedzi szła z obowiązku, lecz niechętnie; w głębi ducha pragnęła zwierzyć się Anundowi, zrzucić z siebie brzemień poczucia grzechu. Nie miała jednak odwagi, ponieważ lękała się, czy nie każe jej wyznać prawdy Kalfowi.

Chodziła teraz do kościoła w Steinkjerze częściej niż dawniej i tam rozmyślała o rozmowie z Olvem.

Pewnego dnia Anund zastał ją w kościele.

Zaczęła z nim rozmowę, zadawała pytania dotyczące nauki, w końcu odważyła się poruszyć sprawę dla niej najważniejszą.

— Jeśli niewiasta wyzna ci na spowiedzi, że nie dochowała wiary małżonkowi, czy kazałbyś jej powiedzieć mu o tym?

— Czy pytasz ze szczególnych przyczyn? — Anund patrzył na nią badawczo; przymus brzmiający w jej głosie świadczył, że coś się w tym pytaniu kryje.

— Chciałabym wiedzieć.

— Wątpię, bym tego żądał — odparł Anund. — Obowiązkiem kapłana jest uczynić wszystko dla zabezpieczenia małżeństwa. A tego rodzaju wyznanie ze strony niewiasty spowodowałoby jego zerwanie i przyczyniłoby więcej nieszczęścia niż dobrego. Raczej nałożyłbym na nią inną pokutę.

Stali w pobliżu wejścia, toteż ksiądz mógł przyrzeć się dokładnie twarzy Sygrydy w blasku słońca zagładającego przez wrota. Sygryda odwróciła wzrok.

— Czy nie lepiej, byś wyzbyła się tego, co cię dręczy, cokolwiek by to było? — spytał ksiądz.

Sygryda płacząc padła Anundowi do nóg.

— Sygrydo, Sygrydo, czy widzisz teraz, jak brak miłości prowadzi do nieszczęścia — powiedział, kiedy skończyła spowiedź.

— Mnie się zdaje, że wręcz przeciwnie, ona to przysporzyła mi biedy. Gdybym nie miłowała Sigvata...

— Uczucie, jakie żywiłaś do skalda Sigvata, nie było prawdziwą miłością — przerwał jej Anund. — „Miłość dobrych nie narusza obyczajów” — mówi święty Paweł.

— A zatem co czułam do niego? — spytała zmieszana.

— Cieleśną namiętność — odparł krótko. — A nadając jej imię miłości popełniasz taki sam błąd jak wielu innych.

Sygryda przysłoniła oczy dłonią; dłuższy czas milczała.

— Co zatem rozumiesz przez miłowanie kogoś? — spytała w końcu. — Wierzyłam, że miłuję Olwego, a tej zimy choć krótko — Kalfa.

— Dla Kalfa nigdy nie miałaś uczucia miłości, w przeciwnym razie nie uczyniłabyś mu tego. A czy miłowałaś Olwego, o tym sądzić nie mogę. „Miłość nie szuka swego; wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, zawsze jest ufna, wszystko przetrwa” — mówi również święty Paweł. Jeśli tą miarą możesz zmierzyć twoją miłość do Olwego i wytrzyma ona tę próbę, tedy istotnie go miłowałaś.

Sygryda milczała. Nie była pewna, czy jej miłość do Olwego sprostałaby takiej próbie.

— Stale uważałaś, że Kalf jest twoim dłużnikiem, czy tak? — spytał po chwili Anund.

— Jak to?

— Godność namiestnika i Egge uzyskał dzięki tobie.

— Może masz słuszność — powiedziała po namyśle.

— Teraz ty zaciągnęłaś dług wobec Kalfa, Sygrydo, i nigdy nie zdołasz go spłacić. Czy to pojmujesz?

Skłoniła głowę, lecz nie odpowiedziała.

— Choćbyś do końca dni była uosobieniem dobroci dla niego, jeszcze go nie spłacisz — dodał ksiądz. Sygryda niżej pochyliła głowę.

— Teraz, kiedy poprosiłaś już Boga o wybaczenie, pierwszą rzeczą, jaką uczynisz, będzie: wziąć sobie do serca ów dług wobec Kalfa. Jeśli według ciebie on nie okaże się

takim, jakim być powinien, wspomnij, że należy ci się od niego tylko surowość i wzdarda. Jeśli będziesz chciała mu szorstko odburknąć, wspomnij, co uczyniłaś! Nałożę na ciebie jeszcze inne pokuty, i to tego rodzaju, żeby nauczyły cię pokory i dobroci wobec Kalfa oraz innych ludzi, a miłości oraz szczerości wobec Boga. Wierzę, iż dzięki temu w końcu nauczysz się także odpuszczać cudze winy.

— Jeśli masz na myśli króla Olafa, to chyba nie ma z nim nic wspólnego — szepnęła Sygryda.

— O nim myślałem także — odparł ksiądz.

Sygryda zamilkła, lecz nie mogła się z nim zgodzić.

Późnym latem Sygryda dowiedziała się od Kalfa, że skald Sigvat wyruszył do Rzymu. Odbывał pokutę, lecz za jaki grzech, tego nikt nie wiedział.

1

Na dziedzińcu Kalf doglądał krycia starej świetlicy nowym darniowym poszyciem. Właśnie kładziono płaty kory brzozonej; gospodarz zerkał na sine chmury ciągnące z północy; miał nadzieję, że pogoda jeszcze wytrzyma. Mimo to odchodząc w kierunku kuźni przykazał, aby się pośpieszyli.

Dużo było do zrobienia między siewami a żniwem, zarówno w gospodarstwie męskim, jak i niewieścim. Narzędzia, budynki i płoty wymagały naprawy, wiklinę należało zebrać i upleść, zdjąć korę do garbowania, opleć len, a zeszłoroczny wycesać.

Tego lata Kalf szczególnie troskliwie zabiegał o należyte wykonanie wszelkich robót.

Wczesną wiosną rozeszła się pogłoska, iż król Olaf podąży ku zachodowi z Rusi, gdzie pozostawał, odkąd opuścił Norwegię. Kalf uważał, że musi pozostawić dwór w jak najlepszym stanie Sygrydzie i dzieciom na wypadek, gdyby miał zginąć w walce, która była nieunikniona.

Dzieciom... Kalf nie mógł zaprzeczyć, że był lekko zawiedziony, kiedy około zimowego przełomu Sygryda powiła córkę.

Chciał nadać jej imię Tora po swojej matce, lecz Sygryda pięknie prosiła, żeby wybrać jej imię po świętej niewieście. Nazwano ją więc Sunniwą.

Sunniva córka Kalfa, to nieładnie brzmiało; nie lubił nowych imion. Tora było lepiej. Jednakże był obecny przy porodzie Sygrydy i wobec tego nie mógł się zmusić do odmówienia jej prośbie. Zresztą to nie miało większego znaczenia w rzeczywistości. Imię po jego matce już nadano córce Torberga. Dzieciak zawsze będzie ten sam niezależnie od imienia; a na pewno dobrze, by równie świątobliwa niewiasta jak Sunniva czuwała nad jego córką.

Dziewczynka była ładna i zdrowa, Kalf dziwił się tylko trochę, skąd u niej czarne oczy. Uspokoił się jednak, bo Sygryda wyjaśniła, że jej matka była ciemna. A z córki był dumny; wkrótce przestał żałować, że nie była chłopcem. Poza tym liczył, że z czasem przyjdą na świat synowie, skoro mieli jedno, mogą mieć i więcej.

W jego mniemaniu urodzenie córki wyszło Sygrydzie na korzyść. W ciągu ostatniego roku przycichła, była łagodniejsza i pieszczotliwsza niż dotychczas. Może to się wiązało także z jego odstąpieniem króla, bowiem na Olafa była okrutnie rozgryczona.

Kalf wspominał ową wiosnę po powrocie z wyprawy do Danii; upijał się wtedy na umór świadomie i często, byle uniknąć jej nalegań.

Teraz znowu rozmawiał z nią o wielu sprawach, jak w pierwszych latach po ślubie. Okazywała dużo mądrości i rozwagi, toteż często zasięgał jej rady, nawet przed ważkim postanowieniem.

Dla domowników także stała się miłsza; okazywała większą troskliwość chorym i ubogim. Kalf był temu rad ze względu na siebie, ponieważ na skutek tego sam cieszył się większym poważaniem okolicy.

Natomiast wobec króla Olafa nie była łagodniej usposobiona, zauważył to wyraźnie, ilekroć wspomiano o jego powrocie z Rusi. Baczył tedy pilnie, by nie ujawniać, co myśli o Olafie i jego poczynaniach.

Kalf wszedł do kuźni, gdzie zastał tylko Guttorma, który sam wykonywał prawie wszystkie kowalskie roboty. A był

dobrym kowalem, choć nie najbieglejszym w tych stronach. Teraz właśnie wykuwał ostrza do kos.

— Czy są nowiny z podróży Olafa? — spytał Kalfa.

— Podobno jeszcze przesiaduje w Szwecji. Mówią, że otrzymał zbrojne hufce od Anunda, króla Szwecji.

— Mam nadzieję, że wymienię z nim ciosy, jeśli przybędzie do Trondheimu — rzekł Guttorm podnosząc cęgami klingę i dokładnie oglądając ostrze pod światło.

— Znajdzie się sposobność — odparł Kalf. — Chociaż czasem zastanawiam się, czy nie lepiej, żeby król Kanut z wojskami Danów bronił kraju. W ten sposób król Olaf przybędzie z zastępami Szwedów, my Norwegowie moglibyśmy trzymać się na uboczu i czekać, aż oni na siebie napadną.

— Widzę, że nie masz chęci bić się z królem Olafem — Guttorm odłożył ostrze kosi do wystygnięcia, sięgnął po inne, które wymagało powtórnego rozgrzania przed hartowaniem, położył je na ogniu, a sam tymczasem zabrał się do sklepywania następnego.

Kalf przyglądał mu się chwilę w milczeniu. Guttorm pracował szybko, wkrótce ostrze kosi było gotowe.

Na przestrzeni ostatniego roku Kalf zaprzyjaźnił się z Guttormem. Cenił go też ogromnie jako człowieka, na którego zawsze mógł liczyć, z którym mógł mówić o wszystkim w przekonaniu, że nic nie rozejdzie się dalej.

Uśmiechnął się na myśl o tym. Bez końca coś dziedziczył po Olvem: dwór, wdowę, synów, naczelnikostwo Inntrondheimu, a teraz zyskał jego najserdeczniejszego przyjaciela!

— Nie jestem pewien, czy żywię cieplejsze uczucia do Kanuta niż do Olafa — odezwał się w końcu. — A mało prawdopodobne jest, by Kanut zamierzał dotrzymać obietnicy danej mi ubiegłego roku w Anglii, na mocy której miałem zostać jarlem. To samo obiecywał Einarowi Tambarskjelwe.

— Słyszałem — odparł Guttorm. — Ale Tambarskjelwe chyba dostał odprawę, kiedy zjawił się u Kanuta po utonięciu jarla Haakona i domagał się zwolnienia z przysięgi.

— Według tego, co słyszałem, dostał nie tylko odprawę. Król miał oświadczyć, że nie chce mieć żadnego jarla

w Norwegii; przyśle tutaj Svena jako króla. A to nie rokuje dla mnie nic lepszego niżli dla Einara.

— Prawda — odparł Guttorm biorąc się do hartowania nagrzanego ostrza.

— Niektórzy twierdzą, że jarl Haakon nie utonął w morzu — podjął na nowo Kalf. — Powiadają, że zeszłej jesieni opuścił Anglię, popłynął na Orkady z poleceniem od króla Kanuta i tam został zamordowany na skutek królewskiej zdrady.

— Takie wieści nie pogłębiają zaufania do Kanuta, co do tego zgadzam się z tobą.

— A nie. — Kalf długo milczał, wreszcie rzekł: — Ostatnio zastanawiałem się, czy nie moglibyśmy uzyskać korzystniejszych warunków od Olafa, gdybyśmy go spotkali z dużymi siłami, aniżeli możemy się spodziewać od króla przeniewiercy, jakim jest Kanut.

— Jak ci wiadomo, mam własne porachunki z Olafem, mniemałem, że ty również, ponieważ zamordowano twoich przybranych synów. — Guttorm, zajęty robotą, nie podniósł oczu na Kalfa.

— Mam czterech braci w królewskiej drużynie — odparł Kalf. — A ponieważ król Kanut nie jest skłonny dotrzymać danych mi obietnic podobnie jak i król Olaf, ta okoliczność przeważa szalę.

— Rozumiem. I za to cię nie obwiniam.

Kiedy trochę później wychodzili z kuźni, deszcz już padał, Kalf pomyślał o nie dokończonym dachu starej świetlicy.

Podczas wieczerzy Kalf był milczący, zasepiony. Sygryda w ciągu wieczora nie zdołała wybadać, co zaprzętało jego umysł. A kiedy usnął, długo leżała rozmyślając o tym, jak i wielu innych sprawach.

Czekając na wyporządzenie starej komory nocowali w jednym z lamusów. Ale nie sami, a ponieważ Sygryda nie nawykła sypiać w zamkniętym łożu, przeto miała uczucie mdłości od zaduchu.

Od pewnego czasu dręczyły ją zmyry jak w pierwszym okresie poczęcia Sunnivy. Powinna była przenieść do lamusa

miotłę zawieszoną nad drzwiami komory. Właściwie z Sunniva wszystko poszło gładko. Poród miała wprawdzie cięższy tym razem, a nadto bała się, ponieważ wiedziała, że nie może wymienić imienia prawdziwego ojca. Mimo to skończyło się pomyślnie, nikt nie podejrzewał, że dziecko nie było Kalfa.

Sygyda natomiast była przekonana o ojcostwie Sigvata. Dziewczynka miała czarne oczy i ciemne włosy; zdaniem matki zapowiadała się na urodziwą. Sygyda nie pojmowała, jak niektórzy mogli dopatrzeć się podobieństwa do Kalfa; ludzie widzą to, co chcą zobaczyć — myślała z zadowoleniem. Ucieszyła się także, bo Kalf bez sprzeciwu przyjął wyjaśnienie, że matka Sygydy była ciemna. Według orzeczenia Anunda była obowiązana wyznać prawdę, gdyby Kalf wprost o nią zapytał. Zresztą utrzymując, że matka była ciemnowłosa, nie skłamała, choć Sunniva była znacznie ciemniejsza.

Jednakże widząc, jak Kalf miłuje dziewczynkę i jaki jest z niej dumny, czuła się źle, niczym zdrabcyżni. Ostatniego roku z całej mocy usiłowała być dla niego dobra i miła. Nie zawsze jej się to udawało, ale bądź co bądź znacznie lepiej niż w pierwszym okresie małżeństwa.

Ze zdumieniem stwierdziła, że stopniowo coraz bardziej cieszyła ją przyczynianie Kalfowi radości. W stosunku do Olwego to było naturalne; byli sobie tak bliscy, że musieli dzielić zarówno radości, jak i smutki. Z Kalfem natomiast było inaczej. Zadowolenie z jego radości wynikało z chęci przynajmniej częściowego odpokutowania za wyrządzoną mu krzywdę.

Sygyda bardzo często roztrząsała w myśli sprawę grzechu i pokuty, wyrosła przecież wśród zupełnie odmiennych zapatrywań.

Pytała Anunda, dlaczego wszechwładny Bóg pozwolił ludziom grzeszyć. Tym razem ksiądz nie na wiele się przydał. Rzekł, iż nie potrafi udzielić na to odpowiedzi, trzeba jednak zawierzyć Bogu, bo On pragnie naszego dobra. A w każdym razie Chrystus przez swoją śmierć odkupił rodzaj ludzki.

Sygyda z trudem zadowoliła się tą mętną odpowiedzią. Dopiero kiedy przypomniała sobie, jak ogromnie Olve

żałował, iż nic zawierzył Anundowi w sprawie ofiarnego mięsa, przestała szukać dalszych wyjaśnień.

Pojęcie grzechu i męki Chrystusowej powoli doprowadziło ją do głębszego zrozumienia Bożej miłości. Tym razem bowiem chodziło o rozumiały grzech, którego skutki mogła stwierdzić, a nie o postępek oceniany jedynie przez księży jako zły. Pojmowała także, że potrzebuje boskiego wybaczenia. Ksiądz przecież wyraźnie jej wyłożył, że Bóg do tego stopnia umiłował każdego pojedynczego człowieka, że grzech wobec bliźniego jest również występkiem przeciwko Niemu. Cieszyła się zatem możliwością pokutowania; zresztą czuła wewnętrzną potrzebę dania wyrazu swojemu żalowi. A mimo to pytała Anunda, dlaczego pokuta jest potrzebna, skoro Chrystus umarł za ludzkie grzechy.

— Śmierć Chrystusa wybawiła człowieka od wiekuistej kary, ale nie uczyniła ciebie godną stanięcia w obliczu Boga — odpowiedział Anund. — Przedtem musisz zostać oczyszczona. Tu na ziemi pokuta jest oczyszczeniem, a jeśli trzeba, dalszym ciągiem po śmierci będą męki czyśćcowe.

Kiedy spowiadała się z grzechu popełnionego z Sigvatem, Anund obiecał nałożyć na nią pokutę umacniającą miłość do bliźniego. Kazał jej przeto pielęgnować chorych w okolicy, wspomagać ubogich i wędrowców. Przychodziło jej to z większą łatwością, niż sądziła, szczególnie gdy pomyślała, jak niewiele brakowało, aby sama została wypędzona na żebry.

Wszystko natomiast, co ksiądz mówił o królu Olafie, szło na marne; zakorzeniona w niej głęboko nienawiść do króla była jak krzemień. Sygryda nawet słuchać nie chciała, gdy ksiądz twierdził, że stanowi ona zaporę między nią a chrześcijaństwem. Buntowała się nawet przeciwko księdzu w przekonaniu, że to on uczynił z nienawiści mur dzielący ją od Boga.

— Powiadałeś, że mamy prawo orężem zwalczać zło i przewrotność — oświadczyła mu pewnego dnia. — J e ś l i tak jest istotnie, ja mam prawo judzić do walki przeciwko królowi Olafowi.

— Proś Boga, aby pozwolił ci zrozumieć, jaki grzech w ten sposób popełniasz — odparł ksiądz Anund.

O to Sygryda się nie modliła. Była pewna swego, po co zatem byle głupstwem niepokoić Boga.

Z radością myślała o wojskach gromadzonych przeciwko Olafowi. Synowie Erlinga Skjalgssona podążyli ze zbrojnymi hufcami na wschód do Vikenu, jeśli tą drogą powróci, tam go przywitają. Gdyby natomiast zamierzał wracać łądem przez góry, spotkają go mieszkańcy trondheimskiego okręgu, do których przyłączają się przybyli z Vestlandu i Haalogalandu.

Sygryda z coraz większym podnieceniem oczekiwała nieuniknionej rozprawy. Tym razem była pewna, że król się nie wymknie.

Słyszała teraz równy oddech Kalfa leżącego u jej boku. On nigdy nie miewał trudności z zaśnięciem i chyba nic nie mogło wytrącić go z równowagi! Zachowa spokój, choćby wokół szalała burza czy też bitwa.

W kilka dni później Kalf pojechał do Gjevranu pogadać z Finnem synem Haraldą. Sygryda mu towarzyszyła; od dwóch tygodni nie widziała Ingeridy, a miała ochotę z nią pogwarzyć.

We dworze zastali goście; była tu najstarsza córka Rannveiga, wraz z dziećmi i mężem, synem gospodarzy z sąsiedniego dworu w Lundzie.

Niewiasty omawiały domowe zajęcia, podczas gdy mężczyźni rozprawiali o Olafie Haraldssonie. Kalf oświadczył, iż od przybyszów ze Szwecji właśnie dowiedział się o zamiarze powrotu króla do Trondheimu.

— Gorące przyjęcie zgotują mu tutaj — rzekł Finn.

Późnym wieczorem Kalf prosił Finna o rozmowę na osobności.

Poszli na skraj lasu i usiedli w miejscu, skąd widać było dolinę aż po Egge oraz cały fiord. Tego roku śnieg często padał, dotychczas jeszcze lśnił w słońcu na grzbietach wzgórz.

Kalf głęboko odetchnął wybiegając wzrokiem w dal. To było jego królestwo; niemal całe jego życie. Mieszkańców

tych stron wiązała z nim przysięga wierności, lecz jego z nimi łączyły dużo silniejsze więzy. A mimo wszystko zastanawiał się, czy ufają mu na tyle, że zechcą poprzeć zamiar, jaki teraz właśnie chciał wyłożyć Finnowi.

Spojrzał na towarzysza. Od chwili mianowania Kalfa namiestnikiem, Finn stał się potężnym i szanowanym mężem, teraz jego poparcie mogło stanowić znaczną pomoc.

Finn z uwagą słuchał, podczas gdy Kalf wyjaśnił mu, iż nie może nadal polegać na królu Kanucie, a bez jarłów Lade potęga Danów nie wyjdzie krajowi na dobre.

— Według tego, co mówisz, sam niewiele korzyści osiągniesz — rzekł w końcu Finn.

— Słusznie — przyznał Kalf. — Toteż może byłoby lepiej, gdybyśmy doszli do porozumienia z królem Olafem. Już poprzednio dowiódł, że wobec przemocy chętnie ucieka się do zdrowego rozsądku. Gdybym mógł prowadzić z nim rokowania, mając za plecami siły całego trondheimskiego okręgu, a może także Vestlandu i Haalogalandu, pewno bym uzyskał korzystniejsze warunki dla nas wszystkich.

— Szczególnie dla ciebie — zauważył Finn oschle.

— A gdyby nawet... — Kalf gniewnie potrząsnął głową.

— Czy sądzisz, że to, co będzie dla mnie z korzyścią, wyjdzie Trondheimowi na szkodę?

— Nie. — Finn zamyślił się. Po chwili ciągnął dalej: — Wierzę, że większość mieszkańców tych okolic ma więcej zaufania do ciebie niż do króla Kanuta, chociaż niełatwo przyłączyć się znowu do Olafa. Może by pomogło, gdybyś rozpuścił wieść, że jarl Haakon zginął na skutek zdrady. Może wobec tego i mieszkańcy Uttrondheimu także by się z tobą związali. Jeśli natomiast chodzi o Vestland i Haalogaland, mogę powiedzieć tylko jedno: Tore Hund nie jest skłonny do pojednania. Rozmawiałem z nim wiosną, opowiadał się za walką. A poza tym jakże zamyślasz spotkać się z królem dla prowadzenia układów?

— Kiedy zbliży się do szwedzkiej granicy i zapłoną ostrzegawcze stopy, ruszę na wschód z nielicznym orszakiem — rzekł Kalf. — Jeśli napotkam go na granicznych traktach, mogę przedstawić zgromadzonym wojskom jego życzenie

zawarcia ugody, zanim bitwa rozgorzeje. Zboże jeszcze stoi na pniu, a wojska królewskie będą rabowały i paliły, toteż dziwiłbym się niezmiernie przynajmniej trondheimczykowi, gdyby odnieśli się nieprzychylnie do korzystnych warunków ugody. A gdyby ci odpadli, wątpię, by inni stanęli do boju.

Finn nadal był pogrążony w myślach, po chwili jednak odezwał się:

— Wcale niezły to zamiar. O mnie zaś nigdy jeszcze nie powiedziano, że nie potrafię grać o wysoką stawkę. Pojadę z tobą do króla, jeśli mogę przydać się na coś...

Kalf podał mu rękę; na to właśnie liczył. Wobec króla lepiej, by nie występował sam imieniem kmieci. Gdyby zaś król upoważnił go do przedłożenia warunków pokoju, poparcie Finna będzie jeszcze cenniejsze.

Dopiero po kilku dniach Sygryda dowiedziała się, o czym Kalf rozmawiał z Finnem owego wieczora. Właśnie rozpalone ogniska i wici wzywały kmieci do boju, Kalf tymczasem gotował się do odjazdu na wschód z dwoma pachółkami.

— Dokąd zamierzasz się udać? — spytała Sygryda. Stali właśnie w komorze, Kalf spinał płaszcz na ramieniu.

— Ku wschodowi na spotkanie króla Olafa — odparł zwięźle.

Hełm wyleciał Sygrydzie z rąk i z trzaskiem uderzył o podłogę.

— Po co?

— Może uda się zawrzeć z nim ugodę.

— Ugodę z Olafem? — spytała skrzekliwym głosem, bo zasychało jej w gardle.

— Tak.

Nigdy w życiu Sygryda do tego stopnia nie utraciła panowania nad sobą, prawie nie wiedziała, co robi. Czepiała się Kalfa, łkała, błagała go, aby nie jechał.

Kalf uwolnił się z jej uścisku.

— Nie próbuj mnie przekonywać, to na nic się nie zda. Wszystko przemyślałem i doszedłem do tego, że tak będzie najlepiej.

— Jakże możesz uważać to za najlepsze, czyż postradał rozum? — Sygryda miała wypieki z podniecenia, a mówiła

prędko, nie czekając na odpowiedź. — Czyś zapomniał o żądzy władzy i zarozumiałstwie Olafa? I na jakiej podstawie mniemasz, że nie zamorduje cię, kiedy wpadniesz w jego ręce; sam mówiłeś, jak obchodzi się z posłami. Czyś zapomniał, że cię zdradził i jaką krzywdę ci wyrządził? A dlaczego nie mówiłeś o tym wcześniej?

— Zaczekaj, Sygrydo! — ujął ją za rękę i odsunął od siebie, po czym odpowiedział rozpoczynając od ostatniego pytania. — Gdybyś mogła siebie usłyszeć, zrozumiałabyś, dlaczego ci nie zwierzyłem moich zamiarów. Jeśli chodzi o resztę, mam słuszne podstawy do podjęcia takiego postanowienia. Przyrzekam ci, że jeśli zawrę pokój z królem, będzie to zaszczytna ugoda.

Sygryda nie chciała go słuchać. A kiedy odsunął ją na bok i wyszedł, rzuciła się na łożo, rozpaczliwie szlochając.

Nie do wiary, że mógł tak odejść! On się rozmyśli, wróci, pocieszy!

Słyszała głos Kalfa na dziedzińcu, a potem tętent końskich kopyt; odjechał wraz z pachołkami.

Kiedy Sygryda nareszcie wstała, pospieszyła wprost do Steinkjeru do księdza Anunda.

Zastała go w domu, na pukanie odezwał się niezwłocznie. Otworzyła drzwi z trzaskiem i rzuciła się ku niemu.

— Teraz już nie potrzebujesz mi przypominać, żem cokolwiek winna Kalfowi! — krzyczała. — Szala się wyrównała; zawiódł mnie nie mniej niż ja jego. Za moimi plecami uknuł zamiar pogodzenia się z królem Olafem. Teraz wyjechał, żeby z nim pogadać, a nawet nie pomyślał o pomśczeniu moich krzywd!

Przerwała i dopiero wtedy spostrzegła, że nie była sama z Anundem, w izbie znajdował się także ksiądz Jon.

— Jeśli Kalf nie pozwala sobie narzucić twego grzesznego pragnienia zemsty, winna mu jesteś nie mniej niż poprzednio, lecz więcej — odparł Anund.

— Stałabym się w jeszcze większym stopniu jego dłużniczką, gdyby mi pokazał krew Olafa na swoim mieczu!

Anund ciężko westchnął.

— Od przeszło dwudziestu lat słyszysz o chrześcijaństwie, Sygrydo, przed dziewięciu zimami przyjąłś chrzest. Ile jeszcze czasu minie, zanim pojmiesz, że nienawiść i krwawa pomsta są grzechem? — przerwał słysząc lekkie chrząknięcie Jona.

— Czy mogę coś rzec? — spytał ostrożnie ten ostatni.

— Oczywiście — odparł Anund.

— Może wymagamy za dużo, spodziewając się że ludzie, którzy byli świadkami krzewienia wiary gwałtem i przemocą, zrozumieją, że to jest złe w rozumieniu nauki?

— Może i masz słuszość — Anund przyglądał się Jonowi dłuższą chwilę.

— Wielką krzywdę wyrządza się temu krajowi wprowadzając chrześcijaństwo za pomocą siły i okrucieństwa — ciągnął dalej Jon. — Możemy dziękować Bogu za nawrócenie tutejszych mieszkańców, ale nie możemy spodziewać się, że ludzie, którzy widzieli krewnych i przyjaciół okaleczonych lub pomordowanych w imię dobra tej wiary, pojmą ją jako posłannictwo dobroci i miłości. Według mnie nawet nasz Pan nie spodziewa się tego po nich. — Tu zerknął na Anunda, jakby chciał się usprawiedliwić, po czym zwrócił się do Sygrydy: — Moim zdaniem w twoich uczuciach dla Olafa nie ma nic dziwnego. Ja także byłem w Maerinie i mnie on również się nie podoba. Ale może przyda ci się to, czym ja się pocieszam: musimy miłować bliźniego, ale z tego nie wynika, że musimy go lubić. Bo miłowanie innego człowieka w Bogu i życzenie mu łask Bożych wcale nie oznacza tego samego co lubienie. Nie możesz się zmusić do polubienia króla Olafa. Możesz natomiast dobrze czynić mimo nienawiści: możesz wymienić jego imię w modlitwie, możesz kazać odprawić mszę za niego. To zależy od twojej woli, możesz to robić mimo nienawiści i mimo tego, że życzysz mu śmierci.

— A jeżeli ten, którego nienawidzimy, jest tak zły, że nie zasługuje ani na modlitwę, ani na mszę? — spytała Sygryda.

— Taki właśnie potrzebuje jej najbardziej — wyjaśnił ksiądz Jon. — Możesz tak uczynić z miłości do Boga i ze względu na Niego. On bowiem pragnie zbawienia wszyst-

kich, nawet złych. Życzysz królowi śmierci, ale chyba nie życzysz mu potępienia?

— Nie — odparła Sygryda z wahaniem. Nie, jej nienawiść tak daleko nie sięgała.

— Wobec tego nie przejmuj się tą nienawiścią, dopóki będziesz czyniła wszystko, co zależy od twojej woli — zakończył ksiądz Jon.

Podczas rozmowy Sygryda usiadła na ławie, teraz milczała patrząc w ziemię. Anund też się nie odzywał, po chwili ksiądz Jon znowu przemówił:

— Na nic się nie zda łąsić na większe kęsy, niż można przełknąć. Sam jednak stwierdziłem, jak ważne jest spełnianie dobrych uczynków, na które nas stać. Jeśli bowiem nie nauczymy się panować nad nimi, źle będzie po napotkaniu dużych i ważnych. Gdybym ćwiczył się w poświęcaniu dla innych na co dzień, gdybym odmawiał sobie jedzenia i napitku, na które miałem ochotę, umocniłbym swoją wolę. A wówczas, stojąc w obliczu większej ofiary, chyba nie myślałbym w pierwszym rzędzie o ratowaniu siebie. Później zrozumiałem, dlaczego Bóg nie wysłuchał mojej modlitwy o pomoc w kuźni w Gjevranie: błagałem o własne nędzne życie, natomiast nie pamiętałem o zbawieniu Blotolfa, o jego duszę nie prosiłem ani słowem.

Sygryda spojrzała na księdza. Zwróciła już uwagę, że nie był tak pyzaty jak dawniej; może przez pamięć na Blotolfa poskromił łakomstwo. Nie śmiała zapytać.

Od tej rozmowy nienawiść do króla przestała już stanowić zaporę między Sygryda a chrześcijaństwem. Chętnie odmawiała pacierze za zbawienie duszy Olafa, skoro już nie potrzebowała życzyć mu szczęścia na ziemi. Ostatecznie król nie zdołał pozbawić wiecznej szczęśliwości ani Olwego, ani jej synów. Niechże i on zasłuży na nią — przy najbliższej sposobności.

Zbrojni ciągnęli ze wszystkich stron ku Verdalenowi, gdzie miały się spotkać kmiece wojska.

Nazajutrz po wyruszeniu Kalfa i Finna na graniczne trakty statki odpłynęły z Egge oraz z Gjevranu. Guttorm syn Haralda dowodził okrętem Kalfa, towarzyszyli mu dwaj jego synowie.

— Jeśli dojdzie do walki, bądź pewna, że jest ktoś, kto pamięta Olwego — zapewnił Sygrydę przed wyjazdem.

Wielu wyruszało także pieszo. Zewsząd podążali ludzie z tarczą na plecach, z włócznią w ręku lub toporem zawieszonym na szyi. Nigdy jeszcze tylu zbrojnych nie gromadziło się w trondheimskim okręgu, nawet starcy i otroki nie ostawiali w chatach. Gdyby nie przydali się do czego innego, zawsze mogą podawać strzały lub ciskać kamienie.

Sygryda rozmyślała o postępku Kalfa, nie pojmowała, jak mógł wyobrazić sobie pośredniczenie między królem Olafem a tymi ludźmi.

Prawdę mówiąc ostatnio przestała rozumieć Kalfa. Dotychczas była pewna, że go zna, że wie, czego może spodziewać się po nim, i pogardzała nim za słabość wobec niej.

Teraz była zła i rozgoryczona, ale nie mogła nim pogardzać. Zaczynała się zastanawiać, czy nie myliła się, biorąc jego dobroć za oznakę słabości. Sięgnęła myślą w przeszłość, pamiętała jedno z pierwszych swoich wrażeń: spokój i nieugiętość Kalfa wobec króla w Kaupangu. Pamiętała także, że odmówił złożenia przysięgi, choć jego bracia to uczynili.

Sygryda zawsze była przekonana, że posiada nad nim władzę, której inni nie mieli, i że wystarczy poczekać na odpowiednią porę, a zawsze owinie go dokoła palca. Teraz zaczynała powątpiewać, czy Kalf rzeczywiście ustępował w sprawach mających dla niego istotne znaczenie.

Jeżeli nie był słaby, to dlaczego czekał do ostatniego ranka z ujawnieniem celu swej podróży?

Rozmyślała nad tą sprawą nieustannie, nie znajdując odpowiedzi. Jednakże w miarę upływu dni miała coraz mniej żalu do niego.

Słuchała pełnego zapału opowiadania Tronda o przybranym ojcu; uwielbienie i miłość chłopca dla Kalfa były oczywiste. Zastanawiała się, co on rozumie pod określeniem: zaszczytna ugoda; może miał na myśli okup dla Tronda za ojca?

Poczucie winy powracało, ilekroć Sunniva spojrzała na nią czarnymi oczami ogromnie przypominającymi Sigvata. Czasem także wspominała wyprawę Sigvata do Rzymu. Cieszyła się, że tam pojechał, szczególnie ze względu na pokutę za grzech. Ale nie tylko dlatego: ta pielgrzymka dowodziła, że nie była po prostu jedną z licznych uwiedzionych. I miała nadzieję, że ciesząc się z tego nie popełniła nic złego.

Z prawdziwą ulgą myślała też, że skald na pewno nie zjawi się w trondheimskim okręgu. Bo według tego, co mówił o królu Olafie, niewątpliwie walczyłyby po jego stronie. A na samą myśl, że on i Kalf mogli się spotkać z bronią w rękę i że jeden z nich mógłby zabić drugiego — ciarki ją przechodziły.

Najwięcej jednak zaprzętało jej myśl spotkanie Kalfa z Olafem. Wyobrażała sobie, jak razem z Finnem i trzema pachółkami jedzie leśnymi drogami na spotkanie króla i jego hufców. Podziwiała go za odwagę. A choć pragnęła, by doszło do walki, chociaż życzyła królowi śmierci, nie mogła życzyć Kalfowi nieszczęścia.

Snuła różne zamiary na wypadek, gdyby się Kalfowi powiodło; musi się znaleźć inny sposób, żeby król postradał życie!

Oczekiwała już wieści lada chwila, gdy pewnego dnia idąc dziedzińcem zatrzymała się, by spojrzeć w niebo.

Wyglądało na to, że zbiera się na burzę: takich chmur nigdy jeszcze nie widziała. Zapadały nieprzyjemne ciemności. Sygryda przeżegnała się szepcąc modlitwę do Matki Bożej. Po czym zebrała motki wełny wyłożone do suszenia; wkrótce lunął deszcz.

Wieści nadeszły późnym wieczorem, przywiózł je pędzący co koń wyskoczy pacholek, jeden z tych, którzy towarzyszyli Kalfowi na wschód.

— Kmiecie zwyciężyli! Król Olaf poległ! — krzyczał wpadając na dziedziniec. Był tak ochrypnięty, że głos mu się łamał.

Ludzie wypadli z domostw i otoczyli go kołem; na widok Sygrydy rozstąpili się, patrząc na nią ciekawie.

Goniec zeskoczył z konia, zanim doń podeszła.

— Kalf syn Arnego wysłał mnie — zaczął, lecz zabrakło mu głosu, więc mówił dalej szeptem: — Całe popołudnie krzyczałem bojowe zawołanie. A po drodze obwieszczałem nowinę wszystkim napotkanym.

— Wejdz do izby, odpocznij, Kjetil — zaprosiła Sygryda. — Musisz być znużony.

Weszli razem do świetlicy, Sygryda posłała dziewczkę po piwo. Pił długo, w końcu zaczął mówić.

— Czy Kalf raniony? — spytała Sygryda.

— Nie.

— Jak mu się powiodła wyprawa do króla?

— Jaka wyprawa? — Kjetil rozejrzał się po świetlicy, Sygryda zrozumiała, że pytać o to nie powinna. — Wojska spotkały się w pobliżu Haugu, w dolinie Verd, tam gdzie droga skręca nad jezioro Leksdal. Wielka bitwa rozgorzała, straty były po obu stronach, ale większe wśród królewskich hufców. Zbrojni królewscy dzielnie walczyli, ale nasze wojska dwa razy liczniejsze, toteż z góry można było przewidzieć, kto zwycięży.

Kjetil opowiadał dalej, że główne siły kmiece walczyły pod znakami Kalfa syna Arnego. A Tore Hund pod własnymi znakami poczynał sobie walecznie, prowadząc hufce z Haalogalandu. Powiadają, że to on zadał królowi śmiertelny cios.

— Czy to pewne? — spytała Sygryda.

— Kiedy odjeżdżałem z placu boju, nikt niczego na pewno nie wiedział — odparł Kjetil. — Nie wiedzieli nawet, kto żyje, a kto poległ. Jedno, za co mogę ręczyć — król zginął, widziałem bowiem jego trupa, a Kalfa Arnessona

i Torego Hunda widziałem żywych po bitwie, i jeszcze rzecz mogę, żem nigdy nie oglądał tyłu zabitych i rannych naraz.

— Deszcz padał podczas bitwy, prawda? — Sygryda przypomniała sobie ulewę, która przeszła nad okolicą.

— Nie. Pociemniało mocno, ale nie padało.

— Czy Kalf powiedział, kiedy zamierza wrócić?

— Zamierza przypłynąć statkiem, skoro tylko się dowie o losie swoich braci podczas bitwy — odparł Kjetil. A kiedy chciała wybadać go dalej, wyszedł z nią na dziedziniec.

— Musisz mi opowiedzieć o wyprawie do króla — rzekła.

— O jakiej wyprawie? — powtórzył Kjetil. Zrozumiała, że miał surowo przykazane milczenie.

Sygrydzie wszystko wydawało się nierzeczywiste.

— Król Olaf nie żyje — powtarzała sobie ciągle od nowa. Powinna się cieszyć; Olve i jego synowie byli pomśczeni, nadeszła chwila, do której tęskniła od przeszło dziewięciu lat.

Tore zadał mu śmiertelny cios, a zatem dla wszystkich musi być jasne, czyja krew spadła na Olafa syna Harald.

Tłusty Olaf! Oczami wyobraźni widziała, jak siedzi na dziedzińcu Maerinu, gruby, zarozumiały, i skazuje ludzi na okaleczenie. Próbowała wyobrazić go sobie wydającego wyrok śmierci na Torego i odmawiającego wysłuchania Kalfa wstawiającego się za wychowancem.

Teraz leży martwy w Verdalenie.

Ze zdumieniem stwierdziła, że się nie cieszy. Miała tylko głuche uczucie niewytłumaczalnego bólu.

Co to pomoże, że król Olaf zginął, że padł z ręki Torego? Olve nadal leży martwy w Maerinie, synowie jego także nie ożyją. Treść, jaką jej życiu nadawała żądza zemsty, przepadła, została jedynie pustka.

Co uczyniłam z moim życiem?, pomyślała nagle, rzucając się niespokojnie w łożu.

„Płynęłaś z prądem niczym wrak” — powiedział kiedyś ksiądz Anund.

Była małżonką Kalfa od dziewięciu zim, a nie znała go. Szukała Boga, lecz pragnienie zemsty zawsze brało górę nad chęcią pełnienia Jego woli. Im dłużej rozmyślała, tym wyraźniej stwierdzała, że nawet w żalu i pokucie nigdy nie pragnęła obalić lodowej zapory, którą w jej duszy stworzyła nienawiść i żądza zemsty.

Anund miał słuszność, teraz to zrozumiała. Nienawiścią i pragnieniem krwawego odwetu niczego nie osiągamy. Nie dostrzegała tego jednak, póki oślepią ją nienawiść. Obecnie zaś, gdy nareszcie przejrzała — było za późno. A mimo wszystko miała wątpliwości: gdyby wskrzesić króla Olafa, czy jej nienawiść też by ożyła?

Anund miał słuszność, ale stawiał bardzo wysokie wymagania zarówno innym, jak sobie. Cel przez niego wskazany był niedościgniony jako gwiazda, która łśni, mruga, budzi nadzieję. A jeśli w dążeniu do osiągnięcia niemożliwego celu spotyka człeka niepowodzenie, wtedy łagodnie i pocieszająco rozprawia o łasce i przebaczeniu. Nigdy jednak nie ustaje w żądaniu wysiłku oraz sięganiu po to, co nieosiągalne.

Ksiądz Jon był inny; Sygryda coraz lepiej pojmowała, dlaczego mimo wszystko wielu mieszkańców gminy go kochało. Nie sięgał wzrokiem tak wysoko jak Anund, nie wymagał od ludzi więcej, niż mogli z siebie dać. Borykali się z codziennymi trudnościami jak każdy. A rozwiązywał je kolejno, po jednej, w miarę jak się nasuwały.

Sygryda dochodziła stopniowo do przekonania, że obaj mieli słuszność. Bóg był „agape”, miłością tak ogromną, że ludzie nie są zdolni jej pojąć — Olve to powiedział bardzo dawno temu — ale drobne uczynki miłosierdzia też mogą być „agape”.

Wiele dróg prowadzi do Boga — zapewniał Anund.

Godziny mijały, sen nie nadchodził. W końcu Sygryda wstała i wyszła na dwór.

Na północnym wschodzie niebo płonęło nad wzgórzami rzucając odblask na fiord. W tę jasną noc gwiazdy migotały blade, a świerki stały spokojnie, ciemne niczym wyrzeżane w kamieniu. Drgnęła gwałtownie, bo gałązka zaszeleściła, lecz zaraz się roześmiała: zając kicał w poprzek dziedzińca.

Wspomniała pewną noc, gdy wyszła po piwo dla Olwego. Kjartan Pogromca Eskimosów leżał wtedy pijany na podwórzu i nastraszył ją. Ale Kjartan nigdy już nie będzie leżał pijany ani prawił urojonych bajd. Razem z Grjotgardem został pogrzebany w Osterdal; dzielnie walczył, nim padł u boku ulubieńca.

Sygyda nagle zatęskniła do starego gawędziarza. Usiadła na ławie, dłonie spłótła na podołku, oparła się o ścianę. Ale nie było w niej spokoju, wstała przeto i zaczęła przechadzać się wzdłuż i wszerz.

Pies na uwięzi zaskomlał, podeszła do niego i zagadała, lecz on w odpowiedzi tylko szczyrzył zęby.

Myśli kłębiły się nieustannie. Sygyda była znużona, a równocześnie przedziwnie trzeźwa, obrazy snujące się w jej wyobraźni były jasne niczym poranne niebo. Zupełnie jakby wspomnienia i zasłyszane niegdyś słowa nabrały życia.

Pamiętała, co Kalf opowiadał o śmierci Torego, kiedy dopytywała się, w jaki sposób do uszu króla doszło, że chłopak był u Kanuta.

Kalf odparł, iż ktoś doniósł królowi o złotym naramieniu ofiarowanym Toremu przez Kanuta.

— A jak to wykrył? — spytała wtedy.

— Sam się temu dziwowałem aż do ostatniej chwili przed jego zgonem — wyjaśnił Kalf. — Stałem obok Torego i daremnie po raz ostatni usiłowałem wyprosić łaskę króla dla niego. Wtedy wystąpiła jego żona. Podeszła z pochyloną głową, powoli, jakby zdjęta żalem. Ale potem uniosła ją i wtedy dostrzegłem twarz tej kobiety i oczy płonące nienawiścią. „Obiecałam, że odpokutujesz za to, żeś mnie zdradził” — szepnęła.

— Czy Tore jej odpowiedział? — spytała Sygyda.

— Roześmiał się, a potem rzekł: „Jakże się cieszę: dowiodłaś, iż na to zasługujesz, przynajmniej nie potrzebuję żałować”.

Obaj jej synowie patrzyli śmierci w oczy jak dojrzały mężczyźni, bez skargi ni zmużenia oka. Może zapamiętali ostatnie słowa Olwego skierowane do nich: „Cokolwiek zajdzie, musicie być dzielni!”

Nagle ujrzała przed sobą Olwego, leżał pod progiem izby w Maerinie; słyszała, z jakim trudem dobywał każde słowo.

Powiedział, że cierpi znacznie mniej, niż na to zasługiwał. Biskup Grimkjel utrzymywał, że Olve odpokutował za grzechy przed śmiercią, lecz ona nie rozumiała jego myśli. Anund także twierdził, że Olve miał dobrą śmierć.

Ptaki już świergotały i śpiewały, niebo płonęło coraz silniej, aż upodobniło się do ogniska w noc letniego przesilenia, a Sygryda tymczasem powoli dochodziła prawdy. Śmierć Olwego była jako zachód słońca na de płomiennego letniego nieba, ale blask słońca nigdy nie gaśnie całkowicie, tylko przygasa na krótko, by znowu rozgorzeć w przedświcie nowego dnia. A nadto Sygryda przeczuwała, że Olve nie lękał się czyścowego ognia, bo pragnął czynić pokutę; pragnął oczyszczenia.

Azemsta... „Zemsta należy do Pana” — powiedział Anund. Olve na pewno nie pragnął, by ktokolwiek mścił się za niego.

Niemniej jednak Sygryda szukała pomsty, judziła synów przeciwko królowi. I... zadrzała na tę myśl... nie! A jednak zmusiła się do powiedzenia sobie: Czyś sama nie popychała ich ku śmierci?

Nie, król Olaf zawinił temu, co się stało — myślała uparcie. Mógł przedłożyć jej synom ugodę i obu uratować, gdy Kalf wstawiał się za Torem. Wtem przypomniała sobie słowa Anunda: „Winy nie można dzielić”. Zły postępek króla jej nie rozgrzeszał.

Co uczyniła dla obznajomienia synów z myślami Olwego — jak niegdyś uważała za słuszne? Troszczyła się przede wszystkim o zemstę, o schedę i bogactwo dla synów, o okup, do którego wedle niej mieli prawo, zamiast o przekazanie im spuścizny o wiele cenniejszej, bo niezniszczalnej.

Przyszło jej na myśl, że była niesprawiedliwa wobec siebie. Z początku rzeczywiście próbowała, lecz nie potrafiła zrozumieć Olwego. I nikt nie mógł jej pomóc. Może łatwiej byłoby pojąć jego słowa o miłości, gdyby zechciała wyzbyć się nienawiści do króla.

Pocieszała się, że przynajmniej Grjotgard przy pomocy Anunda zrozumiał trochę, nim go zamordowali. Czy jednak nie odrzucił wszystkiego precz w porywie wściekłości...

Skąd mogła wiedzieć na pewno, czy synowie znaleźli spokój i zbawienie? Na samą myśl skamieniała z przerażenia. Grjotgard skonał w złości i okrucieństwie, Tore ze wzgardą dla oszukanej.

Sygyda znowu usiadła. Zamknęła oczy, próbowała się modlić, czepiała się modlitwy jak skały na oceanie. Myśli jednak niczym spienione fale zatapiały modły.

Burza w niej przycichała stopniowo, śpiew ptaków docierał do jej świadomości, obmywał umysł niby drobna fala w słoneczny dzień spłukująca brzegi.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy na blask nowego dnia, światłość jakby przeniknęła do jej wnętrza; światłość będąca Bożą miłością oraz odkupieniem.

Nareszcie mogła skłonić czoło i dziękować Bogu za łaskę, za to, że wziął na siebie ludzkie grzechy. Synowie jej zostali ochrzczeni zgodnie z prośbą Olwego; jeśli nawet zgrzeszyli, pomarli jako chrześcijanie, a więc mieli udział w miłosierdziu Pańskim. Musieli jednak pokutować w czyścowym ogniu przez zwykłych siedem dni lub więcej, ale mogli być pewni zbawienia.

Może gorzej jest z żyjącymi. Myślała o Helenie, o Helenie Grjotgarda. Błada i cicha okazywała Sygydzie posłuszeństwo, lecz pozostawała oziębła, prawie z nikim nie rozmawiała. Nie chciała nikogo poślubić, a wszak niejeden z domowników pragnął ją pojąć za żonę. Siedziała zatem w Egge w panieńskim stanie, choć mijała jej dwudziesta zima. Sygyda czuła się za nią w pewnej mierze odpowiedzialna, nie chciała jednak zmuszać dziewczyny. Nie wiedziała, co począć.

„Bądź dobra dla Heleny” — prosił Grjotgard.

Wzdrygnęła się, kiedy na dziedziniec wszedł strażnik z posterunku na wzgórzu.

— Statek Kalfa syna Arnego wpłynął do fiordu — powiedział dostrzegając Sygydę. — Jeśli dworscy mają go witać, już trzeba ich budzić.

Sygyda podniosła się z wolna i poszła do świetlicy. Słońce weszło nad nieboskłonem, blask raził oczy.

Kiedy okręty wpływały do przesmyku, Sygyda wyszła im na przywitanie. Zanim statek Kalfa dobił do przystani, usłyszała głos Finna Arnessona.

— Mówię ci, zostaw mnie na statku! Czy myślisz, że chcę iść do dworu do tej diablicy, którą poślubiłeś? Puszczaj, świnió! — krzyczał na pachółków z Egge, którzy chcieli znieść go na ląd. Większość załogi stanowili mieszkańcy tej gminy, Sygyda jednak rozpoznała między nimi Arnego Arnessona, brata Kalfa. Leżał cicho z zamkniętymi oczami, ledwo żywy. Obok niego spoczywał nieznajomy mężczyzna.

— Uspokój się, Finn — powiedział ten ostatni. — Nie drażnij Kalfa, bo cię odeśle z powrotem na pole Stiklestad, żebyś tam zgnił.

— Wolę zgnieć przy królewskim trupie, niż ozdrowieć pod dachem Kalfa!

Finn nie przestawał lżyć niczym obłąkaniec, podczas gdy niesiono go na brzeg, a następnie do dworu.

Zaraz po nim zabrano mężczyznę, z którym rozmawiał, oraz Arnego Arnessona, ale jako zbyt ciężko rannego złożono go nie na tarczy, lecz na noszach.

Dopiero gdy wszyscy ranni znaleźli się na brzegu, Kalf zszedł na pomost. Sygyda wyciągnęła do niego rękę i z przerażeniem spostrzegła, że miał nogę obwiązaną zakrwawioną szmatą i kulą.

— Kjetil mówił, że nie jesteś ranny — rzekła.

— I nie byłem, kiedy odjeżdżał z doliny Ver.

— A czy bitwa się nie skończyła?

— Owszem.

— To jakże ci się to przydarzyło?

— Jeden z rannych na placu boju rzucił we mnie mieczem.

— Czy nie twój brat, Finn? — Sygyda nie mogła powstrzymać pytania.

Kalf w milczeniu skinął głową.

— Miał rację ten człowiek, który powiedział, żeś powinien go zostawić na placu, niechby zgnił.

— Nie powiedział, że powinienem — sprostował Kalf.

— To był Torberg.

Szli drogą pod górę, gdy Sygryda nagle przystanęła.

— Gdzie Guttorm?

— On nie wróci — odparł Kalf.

Doszli do Egge w milczeniu.

— Zajmij się rannymi — powiedział Kalf wchodząc na dziedziniec. — Znasz się na ranach i chorobach lepiej niż ktokolwiek we dworze.

— Olve znał się na ranach. Ja wiem tylko tyle, ilem się od niego nauczyła.

— Zanim opuściliśmy Verdalen, kazałem opatrzeć rany moich braci. Torberg i Finn nie są ciężko ranni, gorzej natomiast z Arnem. Lepiej zajrzyj do nich i opatrz ich należycie.

— Dopilnuj tylko, by Finn nie miał przy sobie broni — zauważyła wchodząc do świetlicy tak głośno, aby Finn ją usłyszał. Niech wie, że uważa go za zdolnego do wszystkiego, nawet do użycia broni przeciwko niewieście — dobrze mu to zrobi.

— Nie skalałbym nawet noża twoją krwią — warknął Finn. — Wolałbym, żebyś mnie nie opatrywała. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdybyś miała uroczne oczy.

— Zdaje mi się, że byłeś mniej śmiały w Vaagenie, kiedy Tore wywiódł cię w pole w sprawie grzywny dla króla Olafa — powiedziała Sygryda, po czym wysłała służebną po masło, zioła oraz opaski, sama zaś zakasała rękawy i zabrała się skwapliwie do oglądania ran Torberga.

— Niedługo znów staniesz na nogi — zapewniła go.

— Masz lekką rękę — odparł z uśmiechem, lecz ona mu nie odpowiedziała.

Następnie w milczeniu zajęła się Finnem. Lecz kiedy podeszła do Arnego, od razu zmiarkowała, że sama nie da rady. Lepiej posłać umyślnego po księdza Anunda.

Musiała opatrzeć wielu rannych. Potem, ledwo się z nimi uporała, pospieszyła pocieszyć Ragnhildę.

Ragnhilda uczepiona Sygrydy łkała jak dziecko w beznadziejnej rozpacz. Nic jej nie mogło pocieszyć, nawet powrót synów w dobrym zdrowiu. Sygryda pozostała u niej, dopóki dziewczka nie przysłała z wezwaniem na posiłek.

Finna i Torberga przywieziono do biesiadnej sali, czuli się na tyle dobrze, że mogli usiąść do jedzenia. Ksiądz Anund też przyszedł z nimi.

— Biegła jesteś w opatrywaniu ran — zauważył.

— Jak wiesz, ostatnio nieraz zajmowałam się chorymi — odparła Sygryda. Po czym zwróciła się do Kalfa, gdyż była ciekawa dowiedzieć się szczegółów o bitwie.

— Słyszałam, że Tore zabił króla.

— Bodaj go spotkała za to nagroda na dnię piekieł! — wybuchnął Finn syn Arnego. — Zamordował króla, który nie miał sobie równego w przeszłości, ani nie będzie miał w przyszłości!

— Tore istotnie zadał królowi śmiertelny cios — wyjaśnił Kalf nie zwracając uwagi na Finna. — Wbił mu włócznię pod zbroję.

— Czy „Mścicielkę z Selu”?

Kalf skinął potakująco, po czym ciągnął dalej.

— Ale królowi zadano więcej ran. Najpierw w nogę tuż ponad kolanem ciął go szutnik imieniem Torstein. Potem, po zranieniu przez Torego, otrzymał jeszcze pchnięcie w szyję.

— Kto to zrobił?

— Nie wiem, ktoś stojący obok mnie. Może jeden z synów Araifinna albo Guttorm syn Haralda.

— Jeśli ten człowiek walczył u twego boku, byłeś dość blisko, by sam dosięgnąć Olafa.

Kalf powtórnie kiwnął głową.

— Nie wiesz, kto zabił króla? — Finn znowu przerwał rozmowę. — A może boisz się przyznać, że sam to zrobiłeś?

— Gdybym zabił króla, niewiele bym ryzykował przyznając się. — W głosie Kalfa brzmiał ton, który powstrzymał Sygrydę od dalszego zadawania pytań.

— Guttorm nie pominąłby sposobności pomszczenia Olwego — powiedziała tylko.

— Na pewno.

— Czy Tore odniósł rany? — spytała Sygryda.

Widziałem, że miał jedną rękę broczącą. Ale nie wiem, czy własną krwią. Po bitwie zaś powiadano, że ochmistrz Björn ciął Torego w ramię, gdy jego kolczuga oparła się królewskiej włóczni. Wątpię jednak, by mu ciężką krzywdę wyrządził.

O bitwie Sygryda nie dowiedziała się niczego więcej aż do wieczora, kiedy została sama z Kalfem.

— Nie spotkałeś królewskiego orszaku jadąc na wschód? — spytała.

— Tak. Spotkałem.

— Król nie chciał cię wysłuchać?

— Chciał wiedzieć dlaczego ja, przysłyj jarl, włóczę się po dzikich górach jak myśliwy. Kiedy powiedziałem, że jadę przedłożyć mu ugodę, spytał moich braci, czy sądzą, iż można mi zaufać. Finn mu odradził; twierdził, że im piękniej gadam, tym mniej w tym prawdy. Niewiele miałem do dodania. Finn podmawiał króla, aby mnie kazał zabić, Olaf jednak pozwolił mi odjechać w pokoju.

— Ładnego masz brata! Najpierw doradza królowi zabójstwo, potem rzuca w ciebie mieczem. Nie wiem, po coś go tu przywłókł; zamiast podziękowania — lży!

— Może i ma powody ku temu.

— Czasami zupełnie cię nie pojmuję — Sygryda uważnie badała oblicze małżonka w świetle kaganka. Znowu miała uczucie, że go nie zna. Przedziwna sprawa, była tuż, znała każdy rys jego twarzy, często z góry mogła przewidzieć, co powie albo kiedy się uśmiechnie.

— Czyżby? — Kalf uśmiechał się smętnie. — Ale chyba się cieszysz śmiercią króla Olafa?

Sygryda nie wiedziała, dlaczego odpowiedziała uczciwie, wszak o wiele prościej było dać odpowiedź wymijającą.

— Nie cieszę się — rzekła nie patrząc na Kalfa.

— Dlaczego nie? — spytał zdumiony. — Całymi latami na to czekałaś.

Znowu miała ochotę jakoś się wykręcić. Nagle jednak powiedziała sobie, że dość kłamstw i połowicznych prawd; wiedziała, do czego to prowadzi. W miarę swoich możliwości będzie wobec niego uczciwa.

— Byłam jako pies ścigający wiewiórkę, który obszcze-kuje drzewo, gdzie mu zniknęła, choć ona dawno uciekła za siódmą górę.

Kalf nie odpowiadał, lecz widać było, że rozważa jej słowa.

— Olve na pewno by nie chciał, żeby ktoś szukał pomsty za niego — dodała po chwili.

Nigdy dotychczas nie mówiła z nim poważnie o Olvem. Teraz jednak na jego pytanie opowiedziała o zgonie Olwego.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy przygarnął ją ku sobie, promieniowało od niego ciepło, poczuła się bezpieczna, ukojona. A kiedy zamilkła, on zaś leżąc obok tulił ją w milczeniu, miała wrażenie, iż jego ramię odgradza ją od świata niczym puklerz.

Była przekonana, że go nie potrzebuje, nie był taki, jakim w jej mniemaniu być powinien. Tak samo — jej zdaniem — mogła utrzymać w ryzach i jego, i siebie. A przecież on ciągle był przy niej, skłonny do pocieszenia i obrony. Z bólem musiała stwierdzić, że była skłonna przyjąć jego pomoc dopiero teraz, kiedy przegrała własną grę.

— Czemu wzdychasz?

Sygryda wzdrygnęła się, bo nawet nie zdawała sobie sprawy, że wzdycha.

— Czasem sama siebie też nie pojmuję.

— Wiele jest spraw trudnych do pojęcia — przerwał, a ona znowu patrzyła nań z podziwem. Na ogół nie marnował czasu na rozmyślania.

— Czy masz na myśli coś szczególnego?

Kalf milczał, po czym odpowiedział pytaniem.

— Przestałaś nienawidzić króla Olafa?

— Nie można nienawidzić zmarłego — odparła.

— Może masz słuszność. — A po chwili: — Przyjęłaś to inaczej, niż się spodziewałem.

— Czego się spodziewałeś?

— Że będziesz mnie wypytywała o śmierć króla. Myślałem także, że opowiem ci więcej niż to, co słyszałaś w biesiadnej.

— Wystarcza mi świadomość, że nie żyje. Obejdę się bez opowiadania o śmiertelnej walce.

— Teraz to widzę i dlatego właśnie mam szczególną ochotę opowiedzieć ci wszystko, co zamierzałem przemilczeć.

— Czy stało się coś niezwykłego? — Sygryda tego dnia widziała dość ran i krwi, nie miała chęci wyobrażać sobie wszystkich wymierzonych ciosów.

— Tak. Bo chociaż król Olaf zginął podczas bitwy, nie poległ w walce.

— Jakże to mogło b y ć ? — T y m razem Sygryda zapłonęła ciekawością.

— Byłem tuż obok króla, widziałem, że został ranny w nogę. — zaczął Kalf. — Rana nie wydawała się niebezpieczna, mniejsza niż moja — dodał wskazując na swoją nogę. — Nie miał powodu wycofywać się, o ile mogłem stwierdzić, słaby zaś nie był nigdy. Aż tu nagle znieruchomiał, spojrzął w niebo i jakby zapomniał o walce toczony dokoła. Sam niemal o niej zapomniałem; ledwo uniknąłem ciosu mieczem i na dobre unieruchomiłem tego, kto mi go chciał zadać. Kiedy znowu spojrzałem na króla, przegięty do tyłu opierał się o głaz. Miecz odrzucił daleko od siebie i podniósł ramiona w modlitwie. Twarz jego zdawała się opromieniona blaskiem. Mogłem zabić go wtedy, ale nawet gdyby o moje życie chodziło, nie zdołałbym się do tego przymusić.

— Czy wtedy Tore pchnął go włócznią?

— Tak. Ale byłem zbyt zajęty własną obroną, by widzieć dokładnie, co się dzieje.

Sygryda milczała. Gdyby przed wyjazdem Kalf powiedział jej, że nie zabije króla, chociaż nastęrczy się sposobność w boju, nazwałaby go tchórzem.

— Nie wiem, czy w przeciwnym razie zdobyłbym się na zadanie mu ciosu. — Kalf wypuścił ją z objęć i usiadł. Patrzył przed siebie. — Darował mi życie w górach, chociaż byłem

w jego mocy. To także do niego nie pasowało — dodał zamyślony. — W czasie bitwy pociemniało, jakby się zbierało na burzę, ale nie padało.

— Tu mieliśmy deszcz.

— Czyli że to była zwykła niepogoda. — Kalf odetchnął z ulgą. — Wielu zlekło się podczas bitwy, wierzyli, że to znak.

— Ciekawam, co się stało z Torem — zauważyła po chwili Sygryda. — Miałam nadzieję, że zajrzy do nas w drodze na północ.

— Gdyby taki miał zamiar, już by tu był.

— Czy Finn syn Haralda zszedł cało z pola bitwy?

— Tak sędzę. Sam kierował statkiem w powrotnej drodze.

— A zatem z naszych najbliższych tylko Guttorm poległ.

— Straciłem brata, Kolbjórna — rzekł Kalf półgłosem. Odetchnął ciężko, jakby załkał.

Sygrydzie przyszło na myśl, jak musiał się wahać, nim stanął do boju przeciwko swoim braciom; niewątpliwie czuł się współwinnym śmierci Kolbjórna.

Nagle przygarnęła go do siebie, przytuliła jego głowę do piersi. Sama nie wiedziała, co czuje, czy to była litość, dobroć, a może pewnego rodzaju kochanie. Wiedziała tylko, że musi mu pomóc. Obojętne, czy był słaby czy silny wobec niej; czy mógł, czy nie mógł zastąpić jej Olwego, to już nie miało znaczenia. Dość, że był sobą.

Poczuła, że Kalf się odpręża, przyjmuje i odwzajemnia oznaki jej czułości i wtedy uświadomiła sobie, iż w sercu opłakuje grzech, który na zawsze będzie ich dzielił.

3

Tore Hund płynąc na północ oczywiście odwiedził Egge. Przyjechał dwa dni później niż Kalf; jeździł w głąb Inndalu, by sprawdzić, czy królewskie wojska umykające do Szwecji nie palą i nie plądrują po drodze.

Na jego widok Finn syn Arnego nie skrywał, co o nim myśli, Tore jednak prawie bez słowa puścił obelgi mimo uszu. I ledwo uznał, że już przystoi się oddalić, popędził jak najszybciej do Steinkjeru do księdza Anunda.

Księdza jednak nie było w domu; Tore przyłapał go dopiero nad wieczorem. Anund towarzyszył mu do Egge.

Domownicy byli już zgromadzeni w biesiadnej sali, zrobiono też zaraz miejsce dla Anunda obok poczesnego miejsca, Tore siadł przy księdzu.

Sygyda widząc ich razem zdziwiła się trochę, zresztą z twarzy Anunda mogła wyczytać, że zaszło coś niezwykłego. Ledwo ksiądz wypił powitalny łyk piwa, zwrócił się do Kalfa.

— Czy widziałeś, że Tore został ranny w dłoń podczas bitwy?

— Widziałem krew na jego ręku — odparł Kalf. — Dlaczego pytasz?

— Czy widziałeś ranę?

— Nie przyglądałem się.

— Czy ktoś z obecnych widział? — Anund wzrokiem obiegł zebranych w sali. Nikt nie odpowiedział.

— Dlaczego pytasz? — Torberg syn Arnego leżący na ławie uniósł się i podparł na łokciu.

— Powiadaj sam, jeśli chcesz — rzekł Anund do Torego.

— Mniejsza z tym — odparł Tore. Więcej tej sprawy nie poruszano. Ludzie nie byli rozmowni i wcześniej rozeszli się na spoczynek.

Następnego ranka zaraz po śniadaniu Sygyda szukała Torego, chciała wiedzieć, co zaszło. Razem udali się w kierunku Hvammu.

Rozmawiali o wielu sprawach. Ilekroć jednak Sygyda usiłowała sprowadzić rozmowę na ową ranę, Tore się wykręcał.

Opowiadał, kto i po czyjej stronie brał udział w walce, a kto był nieobecny. Większość tych ludzi Sygyda знаła tylko z imienia. Z ulgą natomiast posłyszała, że skalda Sigvata nie było wśród królewskich towarzyszy. Einar Tambarskjelve również nie stanął do bitwy. Jeszcze nie

wrócił do domu z wyprawy, którą podjął ostatniej zimy po bytności u króla Kanuta.

— Pewno czekał, aż się przekona, czy Olafowi powiedzie się w Norwegii — zauważyła Sygryda.

— Bardzo możliwe — Tore się roześmiał.

Potem opowiadał o Bjarkóy, o swoim synu Sigurdzie. Chłopak zamierzał się żenić z Islandką, córką godego Snorre. Zwała się Aud, miała już męża Islandczyka, ale się z nim rozwiodła.

— Z jakiej przyczyny? — spytała Sygryda.

— Nie mam jasnego rozeznania w tej sprawie — odparł Tore. — Powiadają, że obrzucali się podgłówkami, a mąż jej był okrutnym złośnikiem. Według tego, co słyszałem, w końcu ciskał w nią kamieniami.

— Ona chyba też była niezgorszą złośnicą. Czy Sigurd da sobie radę z nią, jak sądzisz?

— To jego sprawa. W każdym razie okrutnie mu do niej pilno, choć sporo starsza od niego.

Sygryda znowu próbowała sprowadzić rozmowę na ranę Torego, on tymczasem dalej gadał o Bjarkóy. W końcu spytała wprost:

— Co Anund miał na myśli pytając o twoją rękę?

— Nic szczególnego.

— A jednak w tym coś być musi, inaczej tak by nie pytał.

— Czy przyrzekniesz, że mnie nie narazisz na pośmiewisko?

— Czy zrobiłam to kiedykolwiek?

Tore się uśmiechnął.

— Zapomniałaś, jak to było, kiedy zabroniłem ci zabierać szczeniaka na zimową obiadę do Trondarnes?

— Myślisz o tym, że ukryłam Fenrira w skrzyni z twoim odświętym przyodziewkiem?

Tore skinął głową i oboje wybuchnęli śmiechem.

Sygryda przyjrzała się z uwagą Toremu. Mimo włosów przyprószonych szronem w wyrazie jego twarzy było coś, dzięki czemu przypominał Torego z lat, które spędziła na Bjarkóy. Nie mogłaby określić tego wyraźnie, może coś w oczach, może w uśmiechu.

Tore prędko spoważniał, wyciągnął przed siebie rękę.

— Podczas bitwy niemal mi odrąbali kciuk. Spójrzj teraz!

Nie dostrzegła rany, tylko szramę wąziutką jak nitka między kciukiem a wskazującym palcem. Zdziwiona spojrzała bratu w oczy.

— Jak to się stało?

— Po bitwie podszedłem do zwłok króla — wyjaśnił Tore. — Chciałem wydostać moją włócznię wbity w jego ciało. Zanim po nią sięgnąłem, spojrzałem na Olafa — twarz jego jakby promieniała. Przyszedł mi na myśl ksiądz, którego niegdyś zabiłem w Irlandii przed wielu laty, jego twarz była podobnie rozjaśniona. A co stało się potem, tego zupełnie nie pojmuję.

Przyszło mi do głowy, co ksiądz Anund rzekł owego lata, kiedy Torberg Skavhogg budował mój okręt. Powiedziałem mu wtedy, że jeżeli mam uwierzyć w jego Boga, muszę otrzymać znak. A on na to: Jeśli istotnie tego potrzebujesz, otrzymasz znak, gdy Bóg zechce! Czy pamiętasz, że już ci o tym napomknąłem, a ty spytałaś, czy nigdy nie pragnąłem otrzymać znaku?

Sygryda nie pamiętała.

— Pewno. Nic w tym dziwnego. Ale kiedy stałem nad zwłokami króla, napadło mnie uczucie jakby lęku, bałem się, że Bóg króla Olafa w taki czy inny sposób jest blisko mnie i że zdarzy się coś przedziwnego. Zmusiłem się do wyciągnięcia włóczni. Krew króla Olafa spłynęła wzdłuż drzewca na moją rękę, wzdrygnąłem się niczym młokos, który zabił po raz pierwszy. A potem zrobiło mi się gorąco w dłoń; chyba na mgnienie oka straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem, kłęczałem z włócznią wyjętą z ciała Olafa i zdrową ręką.

— Uwierzyłeś w chrześcijańskiego Boga? — spytała Sygryda.

— A jakże może być inaczej?

— Co na to Anund?

— Najpierw wielkim głosem dziękował Bogu. Potem podrapał się po głowie i orzekł, że musimy zbadać sprawę.

— Wobec milczenia siostry ciągnął dalej: — Ktoś twierdził,

że po bitwie widziano króla żywego. W każdym razie zwłoki jego nie leżały, tam gdzie padł. Sam się zastanawiałem, czy nie ożył. Co ty sądzisz?

Sygyda ociągała się z odpowiedzią. Wszystko ma granice — myślała. Trudno przypuszczać, by Tore ją okłamywał, a mimo to rozzłościła się.

— Wedle mnie robicie dużo hałasu o nic. Najpierw Kalf opowiada, że ludzie uważali za cud zwykłą niepogodę...

— To nie była zwykła niepogoda — przerwał Tore.

— Zapewniam cię, że tu lało niczym z cebra.

— Naprawdę? — Tore się zdziwił.

— Teraz znowu ty opowiadasz mi o znakach. Powiem ci, co sądzę: ochmistrz Björn rąbnął cię toporem w głowę, a nie w ramię, jak twierdził Kalf.

— Mam ci pokazać ślady na ramieniu?

— Jeśli nawet masz ślad na ramieniu, to nie przeszkadza, że ci wstrząsnął czaszkę.

— Wierz, w co chcesz — zawołał rozbawiony Tore.

Tore wkrótce odpłynął na północ, brakowało go Sygydzie. O cudownym znaku więcej nie rozmawiali, ale od śmierci Rannveigi nie widziała brata w równie beztróskim usposobieniu.

Przed wyjazdem powiedziała mu, że pewno nie potrzebuje już srebrnego młotka, który mu niegdyś dała, a wobec tego skłonna jest zwolnić go z obietnicy noszenia go stale.

Z uśmiechem odparł, iż myli się ogromnie, jeśli przypuszcza, że dostanie go z powrotem. Mówił o tym z Anundem i teraz każe go przekuć na krzyż.

Synowie Arnego pozostali w Egge dłuży czas, choć ani Finn, ani Torberg wyraźnie nie byli temu radzi. Spieszno im było do domu, jednakże Arne, zdaniem Sygydy, która opatrywała jego rany, nieprędko jeszcze będzie zdolny wyjechać.

Ku własnemu zdumieniu Sygyda polubiła ich wszystkich, nawet Finna. Od bitwy pod Stiklestadem nie był łagodniejszy w mowie, mimo to słowne utarczki z Sygydą

cechowało mniejsze rozgoryczenie. Z czasem żadne z nich nie brało ich zupełnie poważnie.

Pewnego dnia spytała go, na jakiej podstawie żywił tak ogromne zaufanie do króla Olafa. Po tym bowiem, co Tore i Kalf mówili o bitwie, pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o królu.

— Był najlepszym królem.

— Już to słyszałam — przerwała Sygryda — i nie zgadzam się z tobą. Przez niego straciłam męża, dwóch synów i bratańca.

— Czy obecny twój małżonek nie jest dość dobry dla ciebie? — wybuchnął Finn.

— Nie sądziłam, że tak bardzo troszczysz się, co myślę o Ralfie, skoro radziłeś królowi, aby go zabił, kiedy mu przedkładał zawarcie ugody!

— Co innego, jeśli ja sam mu wymyślam... — Finn przerwał. — Czy Kalf istotnie myślał o ugodzie, nie wiesz?

— Jestem pewna, że tak — odparła Sygryda. — Byłam wściekła na niego, kiedy jechał na wschód, o mało oczu mu nie wydrapałam...

— Nie wierzyłem mu wtedy. I dotychczas zachowałem wątpliwości.

— Nie dowierzasz ludziom, taki już jesteś. Nie wierzyłeś także, że Olve był chrześcijaninem.

— Nie. Bo nie był!

— Na rozkaz króla Olafa pochowano go obok maerińskiego kościoła. Jeśli mi nie wierzysz, spytaj księdza Anunda.

Finn milczał chwilę.

— Myślałem, że Olve chce zwieść króla udając chrześcijanina.

— Co by na tym zyskał?

— Może król zezwoliłby wam, tobie i synom, zachować majątności Olwego. — Znowu zamilkł, po czym podjął: — Teraz lepiej rozumiem, dlaczego król gorzko żałował, że kazał zamordować Torego Olvessona.

— Żałował?

— Darował życie dwom zaufanym króla Kanuta, którzy wpadli w jego ręce podczas ucieczki z Norwegii na Ruś.

Powiedział wtedy, iż może tym okupi tamto odebrane życie. Powiedział nawet dużo więcej — ciągnął dalej Finn wobec milczenia Sygrydy. — Sam przyznał, iż zbyt często rządził krajem za pomocą surowości i przemocy, zamiast prawa.

— Nietrudno żałować poniewczasie — zauważyła Sygryda oschle. Zamilkła jednak wspominając własne smutne doświadczenie.

Wkrótce po świętym Bartłomieju zaczęły się upały niezwykle jak na tę porę roku. Synowie Arnego jeszcze gościli w Egge, ale Finn i Torberg już byli na odjezdnym; Kalf dał im statek, aby mogli odpłynąć na południe. Stosunki między braćmi były dość oziębłe, ale lepsze niż bezpośrednio po bitwie.

Pewnego dnia Kalf z kilku pachołkami zszedł na fiord, zamierzali bowiem urządzić pływackie zawody. Sygryda przedła w świetlicy i gawędziła z Arnem Arnessonem, kiedy wpadła służebna.

— Koniec świata! — wrzasnęła. — Ragnarók blisko, wilkołak pożera słońce!

Sygryda wyskoczyła na dziedziniec, gdzie już zgromadziła się większość domowników; wszyscy krzyczeli i wskazywali palcami. Istotnie, jakiś czarny cień przysłaniał słońce, choć niebo było bezchmurne.

Sygrydę ogarnął potworny strach. Przeżegnała się, jak i wszyscy; potem pobiegła szukać dzieci. Po chwili wróciła z Sunnivą na rękę i z Trondem.

Ludzie padali na kolana; niektórzy mruzcili pacierze, inni wzywali świętych, a jeden czy dwa głosy — dawnych bogów.

Cień powoli wpełzał na słońce, a tymczasem coraz straszniejszy lęk obezwładniał Sygrydę, jakby zmora chciała ją zadławić.

Na widok Kalfa i pachołków wracających znad fiordu poczuła ulgę, myślałby kto, że mogli przydać się tu na coś!

Mrok gęstniał.

Sygryda bała się pozostawać na dziedzińcu. Z Sunnivą w objęciach i Trondem następującym jej na pięty wpadała do

izby, to wybiegała na dwór, by znowu umknąć do sali biesiadnej; w końcu Kalf ją zatrzymał.

— Najwyżej poumieramy — zawołał. — A to musi nastąpić prędzej lub później.

Jego spokój wywarł na niej wrażenie. Stanęła i rozejrzała się po dziedzińcu, spostrzegła księdza Jona, Kalf także go zauważył.

— Chciałem się wypowiadać — rzekł. — Ty też powinnaś to zrobić.

Miał słusność, oczywiście. Dlaczego sama nie wpadła na tę myśl? Oboje podeszli do księdza.

— Chodźcie do kościoła — powiedział ksiądz Jon. — Jest więcej chętnych do spowiedzi.

On również był zdumiewająco spokojny. Do kościoła podążała za nimi spora gromadka.

Dłuższa chwila minęła, nim Kalf i Sygryda wyszli na dwór. Stojąc u wrót kościelnych razem z dziećmi, Kalf otoczył małżonkę ramieniem i wskazał palcem na południowy wschód.

Niebo w tej stronie pociemniało, jakby groziło straszliwą burzą. Blask słońca przygasał coraz wyraźniej.

Sunniva wybuchnęła płaczem, pewno zrozumiała, że zbliża się coś złego. Trond pobladł i zagryzał wargi. Kalf natomiast głęboko zaczerpnął tchu.

— Czy możemy mieć lepszą śmierć? Spowiadaliśmy się i po uzyskaniu przebaczenia czekamy na sąd Boży.

On ma słusność — pomyślała Sygryda. Mimo to jego pewność nie mogła stłumić niepokoju i lęku przed nieznanym. Podniosła wzrok na Kalfa.

Kiedyś porównała go do sosny, zawsze był jednaki, latem i zimą, wśród burzy i spokoju. Przyjął chrzest, złożył przysięgę; później nigdy nie zwątpił w wierze. Cokolwiek księża mówili, on wszystko przyjmował bez zadawania pytań. Ona natomiast była liściastym drzewem, zmieniała się od wczesnej wiosny do pełni lata, od płomiennej jesieni do opustoszałej zimy. Przyjmowała słowa kapłana albo im się sprzeciwiała, czuła bliskość Boga lub wierzyła, że odwrócił się od niej.

Ciemności gęstniały; Sygryda wstrzymując oddech zerknęła w stronę tarczy słonecznej. Jęknęła. Ze słońca pozostał tylko wąski oślepiający skrawek, który w mgnieniu oka zniknie, a razem z nim znikną niebo i ziemia.

Zapadła taka cisza, jakby cała ziemia wstrzymywała oddech, nawet ptaki umilkły.

Nagle z dworskiego dziedzińca buchnął lament, któremu niczym echo odpowiedziało zawodzenie po sąsiednich dworach.

Przeżegnała się, uklękła tuląc Sunnivę i zaczęła odmawiać Pater noster.

Kalf oraz Trond padli obok niej na kolana.

Ale nic się nie stało. Po chwili Sygryda otworzyła oczy i zwróciła je ku wschodowi, by ujrzeć znak Boga ukazujący się na niebiosach.

Żadnego znaku!

Znowu pojaśniało. Tarcza słoneczna powiększała się stopniowo, ptaki zaczynały śpiewać. Lament na dziedzińcu zamierał, potem nadzieja zabrzmiała w rozgwarze głosów.

— Bóg jeden wie, co to był za znak — rzekł Kalf wstając.
— Ale najwyraźniej już przeminął.

Nie było końca dziwowaniu się, co też mogła oznaczać ciemność na jasnym niebie; całymi miesiącami ludzie prawie o niczym innym nie rozprawiali.

Finn syn Arnego utrzymywał, że to Bóg dał wyraz swojemu zagniewaniu, ponieważ kmiecie zamordowali króla Olafa, który ochrzcił kraj. I poza tym stwierdzeniem — według niego — nie było o czym gadać.

Powoli inni zaczęli myśleć podobnie. Wspominali ciemności podczas bitwy pod Stiklestadem, a im więcej ludziska gadali, tym więcej się dziwowali.

Na samo wspomnienie bitwy pod Stiklestadem ogarniała ich trwoga.